REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN

wSIECI

Nr 4 (71)
KWIECIEŃ 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

TECHNOLOGIA ZBRODNI NKWD

JAK NAS ZABIJANO W KATYNIU

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

W POLSCE PL

Nowy program historyczny

Sieć Historii

Andrzej Potocki
i wyjątkowi goście

W PIĄTKI
o godz. 12:25

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI 196

upc — NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox, 121 dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI 32

NETIA — NA POZYCJI 192

VECTRA — NA POZYCJI 825

eprasa.pl df7f188d7b

PAMIĘĆ Z KATYNIEM W TLE

Był rok 1975. Byliśmy w drugiej klasie szkoły średniej, jako uczniowie XV LO im. Narcyzy Żmichowskiej. I pojechaliśmy do Paryża; mieszkaliśmy na przedmieściach, bodaj w Villeneuve-Saint-Georges, w rodzinach francuskich, wcześniej uczniowie tamtej szkoły mieszkali z kolei w naszych domach. Żmichowska była wówczas szkołą z językiem wykładowym francuskim, a nasz nauczyciel pan Jan Markiewicz starał się rzeczywiście, byśmy poznali i język, i kulturę Francji. W programie wycieczki nie było rzecz jasna zwiedzania emigracyjnych „siedlisk reakcji". Na szczęście jednak mieliśmy na tyle dużo czasu dla siebie, że w grupie – chyba – kilku osób pojechaliśmy do księgarni polskiej na St. Germain-des-Prés. I tam zobaczyłem ówczesny hit – książkę z przedmową gen. Władysława Andersa „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów". Nie tylko ja ją kupiłem. Wydaje mi się, że z pół klasy. Ale może pamięć zawodzi! W swej spontanicznej decyzji o zakupie książki zakazanej nikt pewnie nie kalkulował; wyobraźnia nie wliczała w scenariusz dalszych następstw, rewizji na lotnisku ani innych szykan. I słusznie. Niech żyje beztroska! Bezpiecznie znalazłem się z nią w domu. Nikt też nie doniósł ani nie stchórzył. Na szczęście zdążyłem ją przeczytać i już w latach 70. nie mogłem mieć złudzeń co do faktów. Polskich oficerów, jak wówczas się wydawało, 15 tysięcy osób zamordowali Sowieci. „Komisja szwajcarska" ustaliła prawdę na tyle, na ile było to możliwe; późniejsze kłamstwa sowieckie nikogo nie mogły przekonać. Dlatego książka ta była w kraju zakazana, do końca.

Książki tej już nie mam. Zabrano nam ją w Wielki Piątek w 1982 r., gdy w naszym – Małgosi i moim – niewielkim mieszkaniu przy ul. Puławskiej pojawili się smutni panowie z SB, wzmocnieni autorytetem pana prokuratora, i zrobili nam klasyczny kocioł. Nasza córka miała wówczas trzy miesiące i stała się jedną z młodszych represjonowanych Polek w okresie stanu wojennego. Jej pieluchy znalazły się bowiem w brudnawych łapach szperaczy po cudzym domu, a zakazana literatura i ulotki pokryły podłogę w naszym małym, małżeńskim gniazdku. Pstryk! Pstryk! Pan fotograf towarzyszący ekipie sfotografował rozrzucony materiał. Trwało to co najmniej kilka godzin; kolejni goście wpadali do kotła. Dzień dobry, ale już nie do widzenia. Musieli zostać do końca niechcianego spotkania z niechcianymi pseudogośćmi. „Zbrodnia katyńska", wraz z kilkudziesięcioma innymi książkami, ulotkami i gazetkami ze stanu wojennego, znalazła się w rękach smutnych panów. Na pytanie mojej żony, gdzie możemy się zgłosić po naszą własność, pan kapitan z SB jakoś dziwnie się zdenerwował. Byliśmy jednak uparci, w końcu mieliśmy w rękach nakaz rewizji, wprawdzie wystawiony przez kpt. Michałowskiego dla kpt. Michałowskiego, ale zawsze to dokument państwowy. Z orłem, takim dziwnym orłem – PRL-owskim. Gdy podjąłem pracę w IPN w grudniu 2000 r., starałem się znaleźć całą sprawę, zarówno dokumentację dotyczącą rewizji, jak i powód, dla którego – mimo obietnic – nie zostałem wówczas zatrzymany (stało się to później, w listopadzie 1982 r., ale w innych okolicznościach). Oczywiście żadnego śladu nie było. Jak wiadomo, znaczna część dokumentacji z lat 80. – tym bardziej tak detaliczna – została pod koniec dekady zniszczona. Mam nadzieję jednak, że może w tym przypadku niecała.

Tak sobie marzyłem po latach, że może kpt. Michałowski sprywatyzował naszą literaturę faktu, w tym „Zbrodnię katyńską w świetle dokumentów" z przedmową gen. Władysława Andersa. Byłoby to sympatyczne! Młody 17-latek przeszmuglował zakazaną literaturę do PRL rozbijającą kłamstwo katyńskie, by funkcjonariusz SB mógł skorzystać z niedostępnej także dla niego wiedzy o totalitarnym systemie komunistycznym, któremu służył – a jakże – jeszcze w stanie wojennym. Jeden więcej nawrócony! Gdybym to wszystko zrozumiał już w 1975 r., to na pewno kupiłbym jeszcze więcej książek w księgarni na St. Germain-des-Prés.

JAN ŻARYN

eprasa.pl 07118807

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 4 (71) KWIECIEŃ 2019

16 PRZEZ WIELE LAT GŁOWIONO SIĘ NAD MOTYWAMI ZBRODNI KATYŃSKIEJ. TYMCZASEM SPRAWA WYDAJE SIĘ OCZYWISTA: CELEM BYŁO ZABICIE MAKSYMALNIE DUŻEJ LICZBY PRZEDSTAWICIELI POLSKICH ELIT – PISZE KRZYSZTOF JASIEWICZ

52 PAMIĘĆ O ZWYCIĘSKIEJ WOJNIE Z AUSTRIĄ W 1809 r. STAŁA SIĘ DLA POLAKÓW ŹRÓDŁEM DUMY I WIARY W SKUTECZNOŚĆ ZBIOROWEGO WYSIŁKU W WALCE O ODZYSKANIE UTRACONEGO PAŃSTWA – OCENIA JAROSŁAW CZUBATY

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 ZŁOTY NA WAGĘ... ZŁOTA. OŚWIATA, GŁUPCZE!
PROF. PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 RZECZ O CZERWONEJ POMOCY, CZYLI MOPR W POLSCE
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

13 STALIN – ŻĄDZA ODWETU
MACIEJ MACIEJOWSKI

16 KATYŃ 1940: „U DRZWI TWOICH STOJĘ, PANIE"
KRZYSZTOF JASIEWICZ

20 POTENCJAŁ MILITARNY KOREI PÓŁNOCNEJ
RAFAŁ LEŚKIEWICZ

22 PRAWDZIWY CHIŃSKI BOHATER
MICHAŁ ORZECHOWSKI

26 „ZA PRZYNALEŻNOŚĆ DO ARMII KRAJOWEJ"
BOGUSŁAW LITWIN

30 SZANDRUK I DIACZENKO – JEDEN CEL, DWIE DROGI
MARIUSZ KWAŚNIAK

34 LIBERALIZM TOTALNY I DEMOKRACJA MAFIJNA
ZYGMUNT ZIELIŃSKI

FELIETONY

37 1940 – SOWIETÓW FINAŁ CIĘŻKICH ZMAGAŃ Z KALENDARZEM
PAWEŁ SKIBIŃSKI

51 ORMIAŃSKI PATRIARCHA
GRZEGORZ GÓRNY

73 ROK 1952. EDUKACJA ALTERNATYWNA
WACŁAW LESZCZYŃSKI

74 TAJNE AKCJE I NASZE MITY
PAWEŁ KOWAL

74 UNIA KULINARNA I EUROPEJSKA
RYSZARD CZARNECKI

84 TAJEMNICE NAZWISK
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

95 REAGAN
ANTONI DUDEK

95 SPÓJRZ W LUSTRO
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

98 TYLKO GUZIKI NIEUGIĘTE
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU

38 KWIECIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

42 ŚWIĘTO ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH
JACEK KROCHMAL

POLSCY WYNALAZCY

44 CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (3)
BOLESŁAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

48 „ŚWIATOWE ŻYCIE" HRECZKOSIEJÓW
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

52 WYPRAWA GALICYJSKA 1809
JAROSŁAW CZUBATY

ZDARZYŁO SIĘ

57 ADWOKAT NAJTRUDNIEJSZYCH POLSKICH SPRAW
JAN PARYS

60 SPOTKANIA Z JANEM OLSZEWSKIM
ZBIGNIEW KRZYSZTOŃ

62 MŁODZI ANTYKOMUNIŚCI Z RMN
JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

ZIEMIAŃSTWO

64 PIECZĘTUJĄ SIĘ „JASTRZĘBCEM" OD CZASU UNII W HORODLE
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

eprasa.pl df7f188d7b

FOT. EAST NEWS/ AKG-IMAGES; EAST NEWS/ MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO; WIERZEJSKI/FOTONOVA

57 JAN OLSZEWSKI MIAŁ IDEALISTYCZNY STYL UPRAWIANIA POLITYKI, GDZIE JEST ONA ZWIĄZANA Z MORALNOŚCIĄ. POJMOWAŁ POLITYKĘ JAKO DZIAŁALNOŚĆ, W KTÓREJ OBOWIĄZUJĄ PEWNE GRANICE, CZYLI ZASADY. TO DZIŚ RZADKIE. BYŁ OSOBĄ WYJĄTKOWĄ W NASZYM ŻYCIU PUBLICZNYM – WSPOMINA JAN PARYS

PRASPORT

67 KATYŃ I OLIMPIADA W „OJCZYŹNIE ŚWIATOWEGO POKOJU"
GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

70 MIĘDZY LACHAMI A BUDRYSAMI NA EMIGRACJI
KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNIE

75 JADWIGA, ŻONA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA
MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

76 MICHAŁA ŚWIDRA PAMIĘCI...
JANUSZ KOTAŃSKI

78 POWROTY WIERZYŃSKIEGO
MAREK KLECEL

82 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

85 WYDARZENIE HISTORYCZNE ROKU

PUPILE HISTORII

86 CHART ROSYJSKI
MAGDALENA SZCZEPANIAK

CZYM STRZELAĆ

87 PANCERNIKI TYPU VITTORIO VENETO
KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 SZKOŁY MATKI DAROWSKIEJ
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 PO PROSTU CZEKOLADA
KRZYSZTOF ŻARYN

TAJEMNICE AAN

92 WYZWOLENIE OBERLANGEN
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

NAC PREZENTUJE

93 SCHRONY – ZIMNOWOJENNY SPADEK
ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

94 CZEKOLADA NA PRZETRWANIE
PAWEŁ BRUDEK

HISTORIA OKŁADKI

96 W CELI ŚMIERCI
MICHAŁ KORSUN

OPOWIEŚCI IPN

99 GROBY PAŃSKIE W CZASACH ZNIEWOLENIA
RADOSŁAW MORAWSKI

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja:
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Koncepcja: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor; Rekonstruktorzy: Tomek Prus, Mariusz Pawlik (GRF Bemowo), Marcin Bąk (Movement Designers); Charakteryzacja: Klaudyna Pabudzińska-Kossek; Kostiumy i rekwizyty: GRF Bemowo, REKO.waw

Specjalne podziękowania dla Dyrektora Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL oraz Jarosława Wróblewskiego za pomoc przy realizacji sesji.

eprasa.pl df7f188d7b

Obchody Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych"

Z okazji święta 1 marca, już ósmy rok z rzędu, zrzeszający ponad sto podmiotów Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych", przy współpracy z instytucjami publicznymi, przygotował w Warszawie i okolicach serię przybierających bardzo różne formy wydarzeń ku czci uczestników powstania antykomunistycznego lat 1944–1963. Zorganizowano m.in. kilkadziesiąt uroczystości w miejscach upamiętnień bohaterów podziemia (m.in. na powązkowskiej „Łączce", pod dawnym więzieniem przy ul. Rakowieckiej – obecnie Muzeum „Żołnierzy Wyklętych" i Więźniów Politycznych PRL, w katowniach praskich, przy pomniku Męczenników Terroru Komunistycznego na Służewie, cmentarzu przy ul. Wałbrzyskiej, w Willi „Jasny Dom" we Włochach czy pod dawną siedzibą Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego), a także wiele marszów, biegów, nabożeństw, prezentacji filmowych, koncertów, wystaw, konferencji, wykładów i prezentacji.

Centralne obchody tradycyjnie miały miejsce 1 marca wieczorem na pl. Piłsudskiego w Warszawie. Brali w nich udział najważniejsi dostojnicy polskiego państwa z prezydentem RP oraz przedstawicielami Rady Ministrów na czele. „Dziś chylimy głowy, ale patrzymy z dumą i wdzięcznością na kombatantów i najbliższych Żołnierzy Niezłomnych. Niech nikt już nie śmie nigdy w jakikolwiek sposób obrazić tamtych ludzi. Ten, kto to robi, okrywa się wieczną hańbą, i mam nadzieję, że Polska zawsze będzie o tym pamiętała. Tak jak będzie pamiętała o bohaterstwie Żołnierzy Niezłomnych. Cześć Waszej pamięci, Żołnierze Wyklęci, Polska o Was nie zapomni, Żołnierze Niezłomni!" – zaakcentował w swoim przemówieniu prezydent Duda. Głos zabrali także m.in. premier Mateusz Morawiecki, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk oraz przedstawiciele Społecznego Komitetu: Bogusław Nizieński, Marek Wernic i Izabella Dąbrowska. Kulminacyjnym punktem ceremonii było odczytanie apelu pamięci, po czym kilkadziesiąt delegacji złożyło wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza. Następnie sformowany został marsz pamięci, którego uczestnicy przeszli do archikatedry św. Jana na Starym Mieście, by wziąć udział w uroczystej mszy św., która zwieńczyła obchody.

1 marca w Ostrołęce miała także miejsce uroczystość zakończenia budowy oraz przekazania władzom miasta kluczy do Muzeum „Żołnierzy Wyklętych", w której udział wzięli premier Mateusz Morawiecki oraz wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Placówka powstała dzięki działaniom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w odpowiedzi na inicjatywę społeczności ostrołęckiej mającej na celu upamiętnienie bohaterów powstania antykomunistycznego w jednym z ośrodków związanych z ich walką.

Rzym: W hołdzie Kazimierzowi Papée

W związku z przypadającą w tym roku 100. rocznicą nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską, a także 40. rocznicą śmierci ambasadora RP, 4 marca w dniu jego imienin w Rzymie odbyła się uroczystość w hołdzie ostatniemu dyplomacie II RP w Watykanie Kazimierzowi Papée. Był on legionistą 2. Brygady Legionów Polskich, przedstawicielem polskim w Wolnym Mieście Gdańsku, a następnie w latach 1939–1976 ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej. Polska delegacja, w której skład weszli m.in. szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk i senator RP prof. Jan Żaryn oraz kombatanci, złożyła kwiaty na grobach papieży Piusa XI oraz Jana Pawła II, a następnie udała się na grób Kazimierza Papée i jego małżonki Leonii Dobrzańskiej (siostry majora „Hubala") na cmentarzu Prima Porta. Delegacja uczestniczyła również wraz z wnuczką ambasadora RP w nabożeństwie pod przewodnictwem kard. Zenona Grocholewskiego w polskim kościele św. Stanisława. Odbył się także wykład prof. Jana Żaryna poświęcony historii tej niezwykłej ambasady oraz relacji dyplomatycznych pomiędzy Polską na uchodźstwie a Stolicą Apostolską po wojnie. Uroczystości zostały zorganizowane przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Ambasadę RP przy Stolicy Apostolskiej na czele z ambasadorem Januszem Kotańskim.

Rajd szlakiem ks. W. Gurgacza TJ

9–10 marca w Beskidzie Sądeckim odbył się Zimowy Rajd Śladami Ks. Władysława Gurgacza, stanowiący część III edycji projektu Rajd Śladami „Żołnierzy Wyklętych". Uczestnicy rozpoczęli rajd od odwiedzenia grobu duchownego na krakowskim wojskowym cmentarzu Rakowickim. Następnie odwiedzili miejsca związane z patriotyczną działalnością kapłana. Kolejnym etapem było przejście szlakiem górskim, partyzanckimi ścieżkami, w towarzystwie grupy rekonstrukcyjnej GRH Żandarmeria na Halę Łabowską. Organizatorem była Fundacja im. Janusza Kurtyki, współorganizatorem – Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI; EAST NEWS/GRZEGORZ GAŁAZKA

eprasa.pl df7f188d7b

Seminarium „Pamięci pomordowanych na Wołyniu"

W celu upamiętnienia 75. rocznicy wymordowania mieszkańców Huty Pieniackiej przez żołnierzy Dywizji SS „Galizien", 28 lutego w Sali Odczytowej Centralnej Biblioteki Rolniczej w Warszawie odbyło się seminarium naukowe „Pamięci pomordowanych na Wołyniu". Podczas konferencji wykłady wygłosili m.in. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski oraz dr Leon Popek (Oddziałowe Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN w Lublinie). Obecny był także wiceprezes IPN prof. Krzysztof Szwagrzyk. Seminarium odbyło się w ramach uroczystości upamiętniających 75. rocznicę mordu na polskiej ludności Huty Pieniackiej współorganizowanych przez Instytut Pamięci Narodowej, Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Stowarzyszenie Huta Pieniacka.

Pod patronatem „wSieci Historii": konferencja o zbrodniach sądowych

W dniach 14–15 marca w Kielcach odbyła się II Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Zbrodnie sądowe w latach 1944–1989. Konformizm czy relatywizm moralny środowisk prawniczych?". Jej celem była wymiana doświadczeń przedstawicieli świata nauki i wymiaru sprawiedliwości na temat organów sądowych PRL oraz roli systemu prawnego w umacnianiu ustroju komunistycznego. Wśród prelegentów byli uczeni z Polski, Czech i ze Słowacji. Organizatorami sesji były: Instytut Pamięci Narodowej Delegatura w Kielcach, Wydział Prawa Wyższej Szkoły Ekonomii, Prawa i Nauk Medycznych im. prof. Edwarda Lipińskiego w Kielcach, współorganizatorem – Winnicki Instytut Kooperatywny w Winnicy.

CO BĘDZIE

Pod patronatem „wSieci Historii": „Tak teraz postępują uczciwi ludzie... Polacy z Wileńszczyzny ratujący Żydów"

W połowie marca 2019 r., z inicjatywy Instytutu Polskiego w Wilnie, ukaże się na Litwie dwujęzyczna publikacja „Tak teraz postępują uczciwi ludzie... Polacy z Wileńszczyzny ratujący Żydów" autorstwa Ilony Lewandowskiej. Przedsięwzięcie ma na celu przypomnienie, że Polacy uhonorowani tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata znajdują się nie tylko na polskiej liście, lecz także na listach obywateli Białorusi, Ukrainy czy Litwy, a także, że lista Sprawiedliwych nie jest zamknięta i nie wyczerpuje historii pomocy udzielanej Żydom w czasie wojny. Nie zawsze bowiem przetrwała pamięć o tych, którzy świadczyli dobro zagrożonym, nie zawsze ich pomoc została po latach należycie udokumentowana. W czasie, gdy za pomaganie Żydom niemieccy okupanci karali śmiercią, starano się, by nikt się o tym nie dowiedział. To milczenie w wielu przypadkach trwało długo, także po zakończeniu wojny. Ci, którzy pozostali na Litwie, byli zamknięci w świecie Związku Sowieckiego, gdzie nie należało przyznawać się do zrobienia czegokolwiek nielegalnego, nawet za niemieckiej okupacji. Podstawą książki Ilony Lewandowskiej są wywiady. Pierwszą część stanowią rozmowy z ludźmi, którzy swoją pracę badawczą poświęcili analizie Holokaustu lub upamiętnieniu tych, którzy ratowali Żydów. Ma to służyć uzyskaniu możliwie najpełniejszego obrazu dramatycznych wydarzeń okresu wojny. O historii Holokaustu na Litwie, jego lokalnych uwarunkowaniach oraz próbach rozliczenia się Litwy z trudną historią wojny i okupacji autorka rozmawiała z dr. Arūnasem Bubnysem, litewskim historykiem, dyrektorem Departamentu Badawczego Centrum Badania Ludobójstwa i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy. Dr Marcin Urynowicz, historyk z Instytutu Pamięci Narodowej, przedstawił sytuację Polaków w czasie okupacji i konsekwencje związane z ukrywaniem Żydów, a także kryteria przyznawania tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Danutė Selčinskaja, kierowniczka Wydziału Wiecznego Upamiętnienia Ratujących Żydów Państwowego Muzeum Żydowskiego im. Gaona Wileńskiego, zwróciła uwagę m.in. na trudności w zdobywaniu informacji na temat pomocy, jakiej udzielano Żydom w czasie wojny na obszarze dzisiejszej Litwy, omówiła także aktualny stan badań i zbiorów archiwalnych. Druga część książki koncentruje się wokół kilkunastu przejmujących historii rodzinnych, które, mimo że wydarzyły się przeszło 70 lat temu, nadal żyją nie tylko w pamięci świadków, ale także w świadomości kolejnych pokoleń. Bazując na dostępnych źródłach i dokumentach, rozmowach z ukrywanymi oraz rodzinami Sprawiedliwych, autorka wybrała 11 historii rodzinnych i jednego bohatera zbiorowego – Kościół katolicki. Czytelnik znajdzie w książce historię Marii Fedeckiej, która

uratowała życie wielu dzieciom i rodzinom żydowskim, historię Ignacego i Katarzyny Bujelów z Wojdat oraz uratowanej przez nich żydowskiej dziewczyny Fejgi Dusiackiej, pozna losy Haliny Płokszto, którą z wileńskiego getta wyniosła, ratując jej życie, niania Weronika Tuniewicz, a schronienia udzielili Urszula i Władysław Płoksztowie. W książce znalazły się również historie Janiny Strużanowskiej, Marii Paszkiewicz, rodzin Mikołajunów, Rakowskich, Kruminisów-Łozowskich, Woronieckich, Waszkinelów, a także karmelity o. Andrzeja Gdowskiego, benedyktynki s. Marii Mikulskiej oraz dominikanki s. Anny Borkowskiej. Tekstom, wzbogaconym o materiały otrzymane od rodzin Sprawiedliwych oraz z archiwum Państwowego Muzeum Żydowskiego im. Gaona Wileńskiego, towarzyszą przejmujące fotografie autorstwa Bartosza Frątczaka. Portretuje on ocalonych, rodziny osób ratujących Żydów, ale dokumentuje także znikające ślady niezwykle bogatego żydowskiego życia na Wileńszczyźnie.

eprasa.pl df7f188d7b

Nowy cykl wykładów „Łazienki (nie tylko) Królewskie"

Muzeum Łazienki Królewskie zaprasza na cykl wykładów wybitnych historyków poświęconych najważniejszym postaciom międzywojennej Polski i ich związkom z Łazienkami Królewskimi, które w okresie II RP stały się miejscem szczególnym nie tylko na mapie Warszawy, ale i całego kraju. W odrodzonej Polsce, która powróciła na mapy Europy po 123 latach zaborów, dawną rezydencję króla Stanisława Augusta Poniatowskiego wyznaczono na jedną z siedzib naczelnych władz wskrzeszonego kraju. Łazienki urosły tym samym do rangi symbolu ciągłości państwa – po odzyskaniu niepodległości królewska rezydencja zaliczona została w poczet Gmachów Reprezentacyjnych Rzeczypospolitej. W latach 1918–1939 Łazienki Królewskie były rezydencją naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, a następnie, po wejściu w życie konstytucji marcowej, prezydentów II RP: Gabriela Narutowicza, Stanisława Wojciechowskiego i Ignacego Mościckiego. W Łazienkach Królewskich toczyło się życie państwowe i wojskowe – to tu podejmowano ważne decyzje i goszczono wybitne osobistości. Kwitło tutaj również życie kulturalne i sportowe stolicy, a łazienkowskie ogrody pełne spacerowiczów wpisywały się w radosną atmosferę dwudziestolecia międzywojennego. Józef Piłsudski przyjmował w Łazienkach Królewskich życzenia noworoczne i wręczył sztandar żołnierzom ruszającym na wojnę z bolszewicką Rosją. W kaplicy rezydencji wziął ślub, przyjeżdżał na spektakle wystawiane w Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii i na zawody jeździeckie odbywające się na hipodromie usytuowanym w południowej części Łazienek. Lubił też samotne przechadzki po Ogrodzie Romantycznym. Łazienki Królewskie splotły się także z życiem zawodowym i prywatnym prezydentów II RP. Gabriel Narutowicz, już jako minister, mieszkał na terenie rezydencji. W Łazienkach przebywał również, pełniąc prezydenckie obowiązki, Stanisław Wojciechowski. Ignacy Mościcki organizował w rezydencji bale i podejmował gości z rumuńskim królem na czele. Cykl „Łazienki (nie tylko) Królewskie" obejmuje pięć wykładów. Rozpoczął się 20 lutego wykładem prof. Grzegorza Nowika „Józef Piłsudski w Belwederze i Łazienkach 1918–1922". 13 marca natomiast prof. Patryk Pleskot mówił o Łazienkach Królewskich w życiu (i śmierci) prezydenta Gabriela Narutowicza. Kolejne spotkania odbędą się w następujących terminach:

- 17 kwietnia 2019 r., godz. 18.00, pałac Na Wyspie, „Z Kalisza do Warszawy. Belweder i Łazienki w życiu prezydenta Stanisława Wojciechowskiego", dr Elżbieta Steczek-Czerniawska.
- 29 maja 2019 r., godz. 18.00, pałac Na Wyspie, „Piłsudski – lata ostatnie (1926–35) z Belwederem i Łazienkami w tle", prof. Włodzimierz Suleja.
- 26 czerwca 2019 r., godz. 18.00, pałac Na Wyspie, „Prezydent Ignacy Mościcki: Między Zamkiem a Belwederem, z odpoczynkiem w Łazienkach...", prof. Andrzej Chojnowski.

Wokół niezwykłości XX-wiecznych dziejów Polski

29 marca o godz. 18.00 w Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia" przy ul. Marszałkowskiej 21/25 w Warszawie odbędzie się spotkanie z cyklu „Kościół – Naród – Państwo, czyli niezwykły wiek XX w dziejach Polski". Tym razem będzie ono poświęcone działalności katolików świeckich w latach 1956–1989. Prelegentami będą prof. Paweł Skibiński oraz dr Rafał Łatka. Spotkanie poprowadzi prof. Jan Żaryn.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

16 marca (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

29 marca (piątek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce...

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05.

...i w telewizji wPolsce.pl

W każdy piątek o godz. 12.40 zapraszamy do oglądania w telewizji wPolsce.pl omówienia najciekawszych artykułów „wSH". Gośćmi Andrzeja Rafała Potockiego są członkowie redakcji i autorzy naszego miesięcznika.

eprasa.pl df7f188d7b

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Złoty na wagę... złota

W 1923 r. Rzeczpospolitą – biedną, wyniszczoną Wielką Wojną i krwawymi bataliami o granice, a przecież podejmującą heroiczne wysiłki, aby stać się państwem prawdziwie zjednoczonym, nowoczesnym i liczącym się na Starym Kontynencie – dotknął kolejny kataklizm. Tylko tak można określić adekwatnie klęskę hiperinflacji, jakiej uległa wówczas marka polska. Zresztą nie bez winy kolejnych polskich rządów, które początkowo – wobec trudności w znalezieniu środków na kolejne niezbędne reformy, inwestycje, wypłaty pensji i świadczeń – uciekały się do najprostszej metody uzupełniania „budżetowej dziury", czyli drukowania „pustego", szybko tracącego na wartości pieniądza, a później próbowały nieskutecznie zahamować skutki tej krótkowzrocznej polityki. Efektem tej katastrofalnej, choć i – przyznać trzeba – wymuszonej okolicznościami, polityki finansowej była utrata kontroli nad systemem pieniężnym państwa przez odpowiadające za niego instytucje.

W tak nadzwyczajnych okolicznościach w grudniu 1923 r. ówczesny prezydent Rzeczypospolitej w porozumieniu z parlamentem powołał na stanowisko premiera, a zarazem ministra skarbu Władysława Grabskiego – znanego polityka, ale przede wszystkim doświadczonego działacza gospodarczego i znakomitego ekonomistę. Po otrzymaniu od sejmu pełnomocnictw odnoszących się do działań w zakresie gospodarki Grabski stanął na czele rządu „fachowców", który miał charakter pozaparlamentarny. Dzięki podjęciu zdecydowanych reform finansowych i podatkowych nowemu gabinetowi udało się zdławić hiperinflację i naprawić sytuację gospodarczą.

Najważniejszym elementem reformatorskiego programu nowego premiera było zastąpienie marki polskiej nowym pieniądzem – złotym polskim. Został on wprowadzony do obiegu w kwietniu 1924 r. Nowa waluta została oparta na parytecie złota, co oznaczało, że jednostka pieniądza była odpowiednikiem wartości określonej wagi złota. Wartość złotego ustalono na 9/31 grama (czyli ok. 1/3 grama) czystego złota. Jego kurs był oparty na kursie franka szwajcarskiego (walutę tę uważano za najbardziej stabilną w Europie). Nowy pieniądz dobrze przysłużył się polskiej gospodarce. Tę wielką reformę państwo polskie przeprowadziło – wobec obaw przed uzależnieniem przyszłej polityki finansowej od zagranicy – własnymi siłami, rezygnując z wielkich pożyczek i doradztwa przedstawicieli innych państw.

Oświata, głupcze!

Uczniowie szkoły powszechnej im. św. Wojciecha w Krakowie, 1932 r.

FOT. NAC

Jednym z powodów do dumy międzywojennej Polski był dynamiczny rozwój szkolnictwa. Był on zresztą wynikiem ponadpartyjnego, ogólnonarodowego, godnego pochwały konsensu co do wagi oświaty i znaczenia wykształconych kadr dla młodego, odradzającego się po zaborach państwa.

Najważniejszym aktem prawnym regulującym zagadnienie oświaty w II Rzeczypospolitej był wydany już w lutym 1919 r. dekret o obowiązku szkolnym, wprowadzający obowiązkową siedmioletnią, bezpłatną szkołę powszechną dla wszystkich dzieci od 7. do 14. roku życia. U progu niepodległości sytuacja w szkolnictwie była zróżnicowana w zależności od regionu – w byłym zaborze pruskim nauczaniem początkowym było objętych ok. 90 proc. dzieci, w austriackim – ponad 70 proc., rosyjskim – ponad 50 proc. Na szczeblu szkolnictwa średniego funkcjonowało publiczne ośmioklasowe gimnazjum. Szkolnictwu wyższemu nadano autonomię i uprawnienia samorządowe. Status szkół akademickich miało pięć uniwersytetów (w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu, Warszawie i Wilnie), dwie politechniki (w Warszawie i we Lwowie), Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego i Wyższa Szkoła Handlowa (później Szkoła Główna Handlowa) w Warszawie, Akademia Górnicza i Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski. Funkcjonowało też wiele wyższych szkół zawodowych – szkoła inżynierska Wawelberga i Rotwanda w Warszawie czy wyższe szkoły pedagogiczne. Do 1938 r. liczba szkół wyższych powiększyła się dwukrotnie – do 25(!), a kształciło się w nich ponad 50 tys. żaków. Ustrój szkolny przebudowały reformy ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Janusza Jędrzejewicza z 1932 r. Utrzymano wówczas siedmioletni obowiązek szkolny, przy czym wstęp do gimnazjum dawało ukończenie sześciu klas. Czteroletnie ogólnokształcące gimnazjum stanowiło przepustkę do dwuletniego profilowanego liceum, skąd droga wiodła na uczelnie. Reforma podniosła rangę szkolnictwa zawodowego (opartego na zawodowych szkołach niższych, gimnazjach i liceach). Warto pamiętać, że mogło również funkcjonować szkolnictwo mniejszości narodowych, a państwo polskie przywiązywało wagę do wspierania szkolnictwa polskiego na obczyźnie. Partnerem rządu w dziedzinie oświaty i szkolnictwa były zawodowe związki nauczycielskie, a także społeczne – m.in. Polska Macierz Szkolna, uniwersytety robotnicze i ludowe. Rezultaty? O ile w 1921 r. odsetek analfabetów wynosił prawie 35 proc., o tyle w 1938 tylko nieco ponad 15 proc.

eprasa.pl df7f188d7b

RZECZ O CZERW

CZYLI

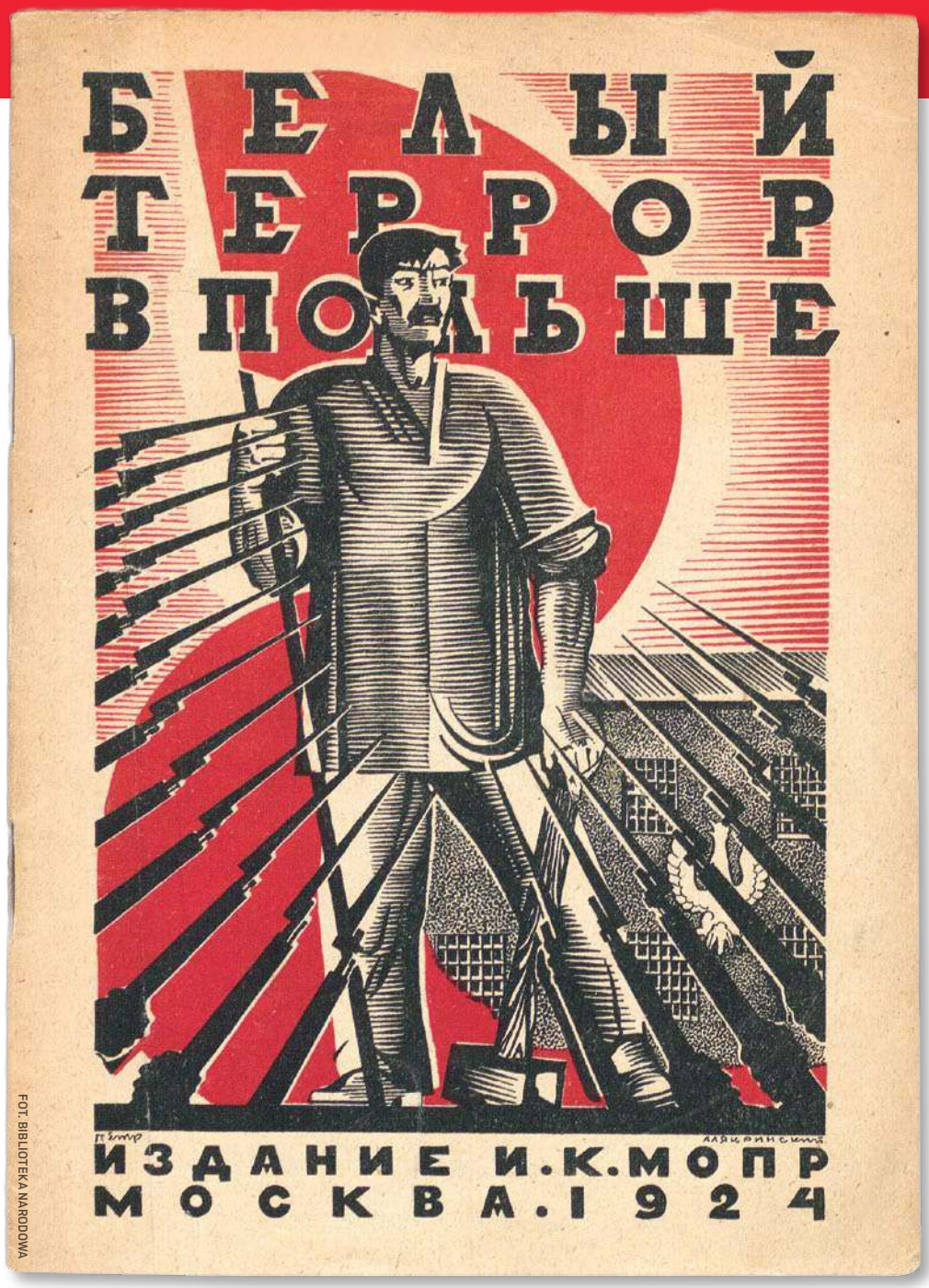

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Do głównych zadań MOPR należały prowadzenie agresywnej propagandy w obronie uwięzionych komunistów i ataki na rządy. Na zdjęciu antypolski plakat MOPR z 1924 r.

PRZEGRANA BOLSZEWIKÓW W WOJNIE Z POLSKĄ W 1920 r. OZNACZAŁA POWSTRZYMANIE POCHODU REWOLUCJI NA ZACHÓD EUROPY. REPRESJE, JAKIM PODDANO DZIAŁACZY KOMUNISTYCZNYCH W NIEMCZECH, NA WĘGRZECH I W POLSCE, SKŁONIŁY KIEROWNICTWO SOWIECKIE DO UTWORZENIA W 1922 r. MIĘDZYNARODOWEJ ORGANIZACJI POMOCY REWOLUCJONISTOM. SIEDZIBA MOPR MIEŚCIŁA SIĘ W MOSKWIE. CAŁOŚĆ ORGANIZACYJNIE PODLEGAŁA MIĘDZYNARODÓWCE KOMUNISTYCZNEJ

eprasa.pl df7f188d7b

ONEJ POMOCY, MOPR W POLSCE

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

Głównym zadaniem MOPR było niesienie pomocy aresztowanym lub skazanym na karę więzienia rewolucjonistom oraz ich rodzinom. Organizacja ta pełniła funkcję łącznika pomiędzy strukturami partyjnymi a uwięzionymi komunistami. Próbowała sprawować kontrolę nad ich postępowaniem, dbała o to, by docierała do nich literatura partyjna i aby nie zerwali związków z komunizmem. MOPR prowadziła także kampanie propagandowe, występując w obronie uwięzionych i atakując przy tej okazji rządy poszczególnych państw. Inauguracyjna kampania MOPR miała na celu obronę rewolucjonistów bułgarskich po ich klęsce we wrześniu 1923 r. Pierwszym przewodniczącym MOPR został Julian Marchlewski. Ideę MOPR udało się nagłośnić 18 marca 1923 r., w rocznicę wybuchu Komuny Paryskiej. Odtąd komuniści obchodzili też Międzynarodowy Dzień Więźnia Politycznego. Marchlewski pełnił swoją funkcję aż do śmierci w 1925 r. Po nim przewodniczącą została Klara Zetkin – do 1927 r., a następnie Jelena Stasowa.

W Polsce w 1924 r. utworzono organizację Czerwona Pomoc jako sekcję MOPR. Formalnie była ona niezależna od struktur KPRP (potem KPP). Faktycznie jednak bez korzystania z ich struktury organizacyjnej nie mogłaby istnieć. W tym samym roku rozpoczęto wydawanie organu organizacji – pisma „Więzień Polityczny". Na jego łamach opisywano warunki w aresztach i więzieniach.

Już w 1924 r. w jednym z raportów policyjnych opisywano sposób funkcjonowania komuny więziennej (zatwierdzonej przez partię, o ścisłej dyscyplinie, reprezentującej ją przed kierownictwem więzienia). W raporcie akcentowano, że komitet więzienny obserwuje i ocenia postępowanie poszczególnych więźniów, a informacje o nich przekazuje partii. Funkcjonariusze policji zwracali uwagę na to, że „więzienie jest dla mniej uświadomionych doskonałą szkołą partyjną; doskonałą, gdyż tematy partyjne są omawiane, przy czym więzień może bezkarnie rozprawiać bez narażania się na represje, czego na wolności musi się obawiać. Kilkuletni pobyt w więzieniu daje gwarancję dokładnego wyszkolenia więźnia".

CELEM CZERWONEJ POMOCY BYŁO PODRYWANIE AUTORYTETU I DEZAWUOWANIE POLSKICH WŁADZ W KRAJU ORAZ NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Komunistyczna agitacja

Agitatorzy Czerwonej Pomocy w odezwie do robotników z 1925 r. podkreślali, że obecnie wszystkie „rządy burżuazyjne" rozwinęły wobec „walczących robotników i chłopów okrutny biały terror". W tekście eksponowano także przypadki przemocy fizycznej wobec aresztowanych komunistów. Osadzeni w więzieniu zwolennicy tej organizacji utrzymywali kontakt z partią, przekazując grypsy podczas widzenia. O przekazywanie wspomnianych informacji słusznie podejrzewany był adwokat Teodor Duracz. W okresie tym przynależność do MOPR była w wielu przypadkach przygotowaniem do wstąpienia w szeregi KPP.

Kilka lat później Czerwona Pomoc wydała ulotkę, w której pochwalała zamach dokonany 29 sierpnia 1931 r. przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) na Tadeusza Hołówkę. Czytamy tam: „Zamach był wyrazem nienawiści mas pracujących do krwawej okupacji polskiej. Hołówko zginął, ale system okupacji pozostaje". Dopełnieniem była odezwa do policjantów, w której wzywano ich, „by się zastanowili nad swoim położeniem, nad katowską rolą, jaką spełniają".

Kierownictwo MOPR tak określało swoje zadania: „Walka w obronie więźnia politycznego winna być ściśle powiązana z walką chłopa o ziemię, przeciwko licytacjom, komasacji, szarwarkom, przeciwko nakładaniu wszelkich kar na chłopów, przeciwko ekspedycjom krwawego faszyzmu, popularyzując hasło: ani grosza rządowi głodu, terroru i wojny, rozpowszechniając zdobycze budownictwa socjalistycznego w Zw[iązku] Radzieckim, głosząc obronę socjalistycznej ojczyzny przed zamachami interwencyjnymi polskiego i międzynarodowego faszyzmu". Apelowano, żeby oddziaływać na „koła literacko uzdolnione". Miało temu służyć wydawanie pism, wierszy, odezw, listów otwartych poświęconych sprawom więźniów politycznych, a także opisów procesów, aresztowań. Postulowano, aby korespondować z uwięzionymi studentami czy uczniami, następnie tworzyć koła ich imienia lub organizować »

eprasa.pl df7f188d7b

» z myślą o nich różne „imprezy pomocy”. Sympatii działacze MOPR mieli też poszukiwać „w sferach lekarskich, prawniczych, tworząc specjalne komisje lekarskie i prawnicze (poradnie) dla celów pomocy chorym, wychodzącym z więzienia, pomocy prawnej itp.”.

W interesie Sowietów

Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech w 1933 r. komuniści wzmacniali poczucie zagrożenia wybuchem wojny. Nawoływano do uchwalania rezolucji broniących ZSRS oraz zerwania rzekomego sojuszu pomiędzy Hitlerem a Piłsudskim. W jednym z okólników MOPR czytamy: „Należy szeroko popularyzować zdobycze ZSRR we wszelkich dziedzinach budownictwa socjalistycznego, przeciwstawiając rozkwit gospodarczy, kulturalny i pełnię wolności najszerszych mas ZSRR gnijącemu światu kapitalistycznemu, z jego rozkładem gospodarczym i kulturalnym, szowinizmem, reakcją itd. W kampanii należy ożywić istniejące komitety antyfaszystowskie i antywojenne, rozbudować sieć tych komitetów i brać czynny udział w tworzeniu kół przyjaciół ZSRR itp.”. Jak wynika z materiałów MOPR, odchodzono wówczas od ograniczania jej aktywności do pomocy więźniom i ich rodzinom. Postulatywnie stwierdzano, że MOPR musi docierać „do każdej chaty chłopskiej, nie przepuszczając chłopów pepeesowców, Stronnictwa Ludowego itp. Winny to robić nasze organizacje wiejskie, mężowie zaufania Czerwonej Pomocy na wsiach i folwarkach”. W okresie tym zmienił się – co zrozumiałe – stosunek MOPR do partii socjalistycznych, SL i organizacji kulturowo-oświatowych. Kształtując je, MOPR odżegnywała się od KPP i kreowała na organizację bezpartyjną. Wśród głoszonych wówczas przez MOPR haseł najważniejsze było żądanie amnestii oraz zniesienia obozu w Berezie Kartuskiej.

Od 1932 r. obowiązki sekretarza MOPR pełnił Bolesław Bierut. Próbował on angażować w działalność tej organizacji osoby cieszące się uznaniem społecznym, niemające jednak nic wspólnego z komunizmem. Czerwona Pomoc próbowała także tak jak w latach wcześniejszych kierować życiem komun więziennych. Według zaleceń tej organizacji z 1936 r. członkiem komuny więziennej „może być każdy, stojący na gruncie walki z faszyzmem, bez różnicy przynależności względnie orientacji politycznej”. Warunkiem pozostawania w komunie była dyscyplina wobec ciał kierowniczych komuny i Czerwonej Pomocy oraz udział w akcjach i walkach przeciw faszystowskiej administracji. Kierownictwem komuny był zarząd (ZK) odpowiedzialny przed komuną i przed kierownictwem Czerwonej Pomocy na wolności. Jak dalej zaznaczano, członkiem komuny nie mógł być konfident ani „sypak”.

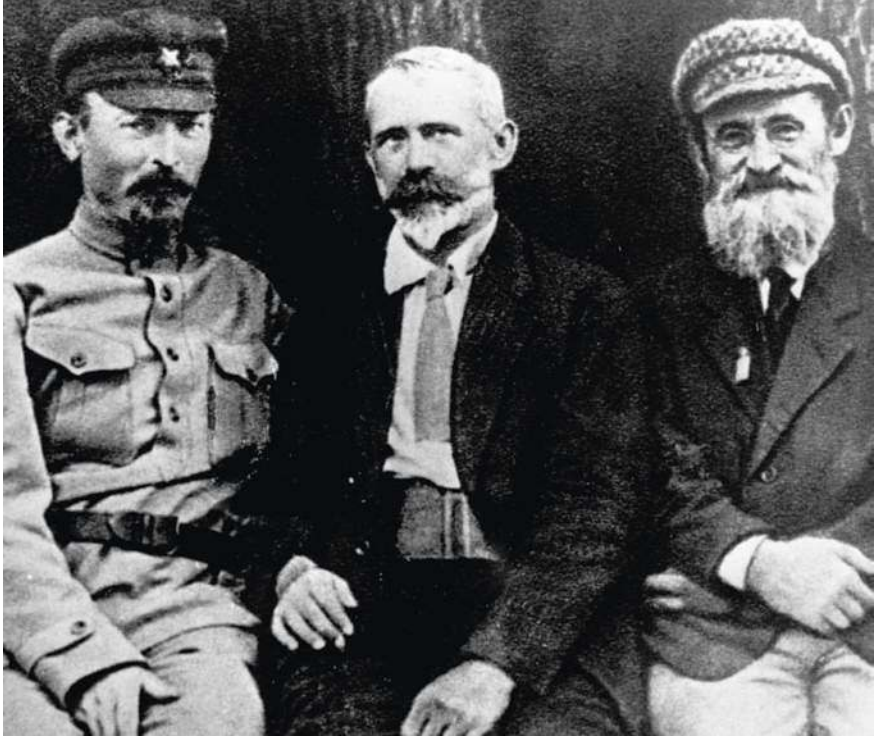

FOT. EAST NEWS/ RIA NOVOSTI

Julian Marchlewski, pierwszy przewodniczący MOPR, należał do ścisłej elity przywódców bolszewickich. Na zdjęciu pośrodku, po lewej szef CzeKa Feliks Dzierżyński, po prawej Feliks Kon, jeden z twórców MOPR

Przeciw Polsce

Czerwona Pomoc była organizacją podległą KPP, działającą w sposób nielegalny, aktywnie zaangażowaną w zwalczanie polskich władz i realizującą aktualną politykę Międzynarodówki Komunistycznej. Nie znaczy to jednak, że pomoc udzielana przez tę organizację poszczególnym więzionym komunistom nie przybierała wymiaru charytatywnego. Stanowiła jednak zarazem swoistą przykrywkę dla innych zadań, jak kontrola szeregów partyjnych czy działania o charakterze kontrwywiadowczym, polegające na zapobieganiu próbom pozyskiwania przez Policję Państwową informatorów w szeregach więźniów politycznych. Celem pośrednim było także pozyskiwanie sojuszników spośród grup społecznych i zawodowych niejednokrotnie dalekich od wspierania komunizmu oraz podrywanie autorytetu i dezawuowanie polskich władz w kraju i na arenie międzynarodowej.

Omawiając działalność MOPR, należy pamiętać, że w więzieniach II RP panowały nie najlepsze warunki. Nie można też nie dostrzegać, że poszczególnych komunistów traktowano w sposób brutalny, lecz brutalność była typową cechą ówczesnego więziennictwa, charakteryzującego się standardami daleko odbiegającymi od współczesnych. Nie była też wyłącznie przypisana do polskiego więziennictwa. Przyznać jednak trzeba, że wraz z „krzepnięciem” II RP warunki w więzieniach się poprawiały. Warto zaznaczyć, że w opinii wielu osób porównywanie warunków w więzieniach polskich i sowieckich zawsze wypadało na korzyść polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie sposób też konfrontować – co miało miejsce w dwudziestoleciu międzywojennym – działań służb mundurowych II RP wymierzonych w ugrupowania komunistyczne z represjami stosowanymi przez Sowietów wobec ich wrogów politycznych i klasowych. Podkreślił to np. Kazimierz Pużak w 1928 r., który – zabierając głos w trakcie debaty sejmowej nad ustawą o amnestii – powiedział: „Kto jak kto, ale komuniści nie mają prawa występować w obronie całkowitej amnestii dla przestępców politycznych wtedy, gdy tam, gdzie mają wpływy, amnestii więźniom politycznym odmawiają”. ■

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej Oddziału w Rzeszowie

eprasa.pl df7f188d7b

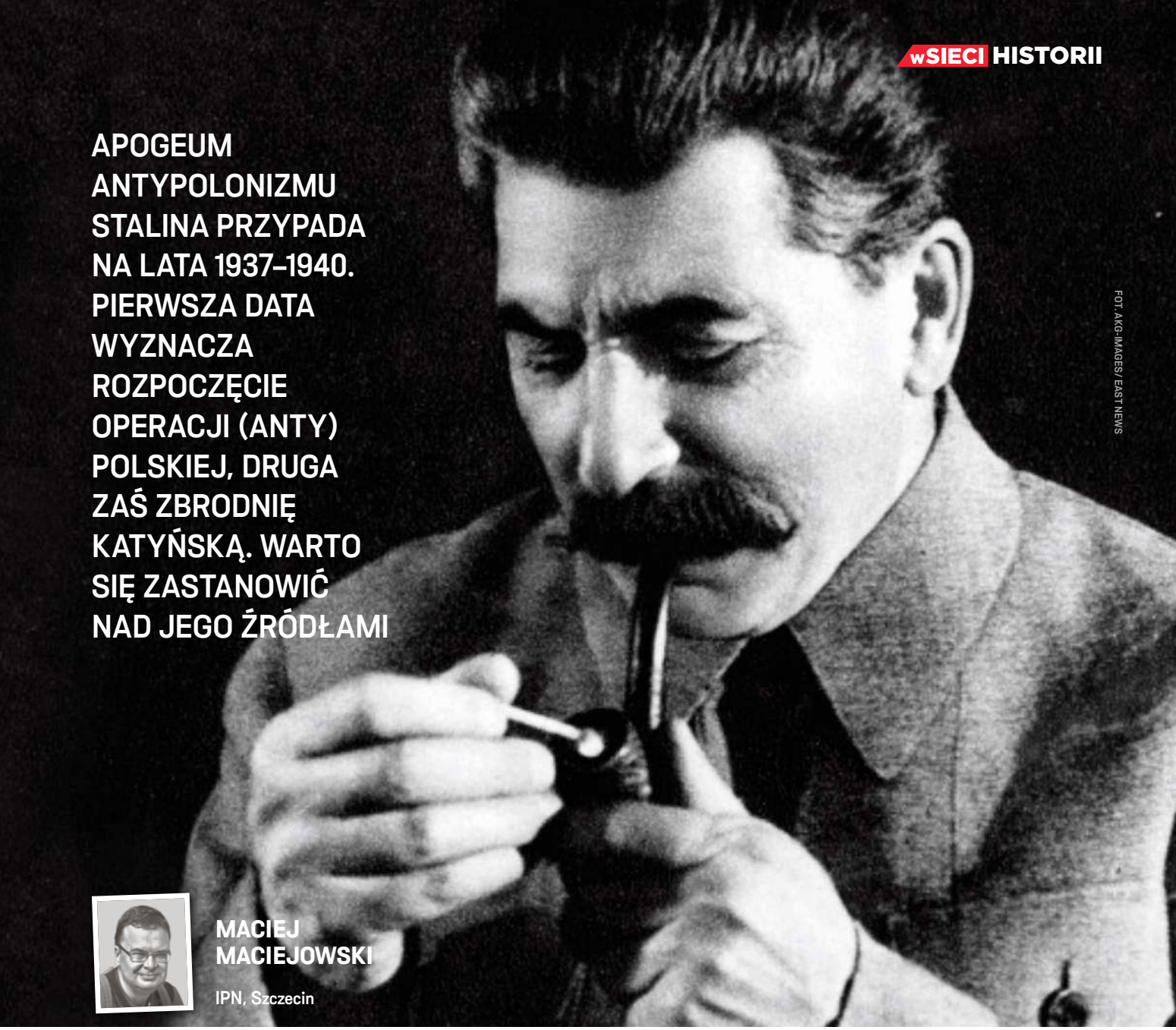

FOT. AKG-IMAGES/ EAST NEWS

APOGEUM ANTYPOLONIZMU STALINA PRZYPADA NA LATA 1937–1940. PIERWSZA DATA WYZNACZA ROZPOCZĘCIE OPERACJI (ANTY) POLSKIEJ, DRUGA ZAŚ ZBRODNIĘ KATYŃSKĄ. WARTO SIĘ ZASTANOWIĆ NAD JEGO ŹRÓDŁAMI

MACIEJ MACIEJOWSKI

IPN, Szczecin

ŻĄDZA ODWETU

W publicznych wystąpieniach oraz w prywatnych rozmowach Stalin nierzadko dawał wyraz rosyjskiej ksenofobii i kompleksom: „Historia dawnej Rosji sprowadzała się m.in. do tego, że bito ją nieustannie za zacofanie. Bili ją chanowie mongolscy. Bili bejowie tureccy. Bili feudałowie szwedzcy. Bili jaśnie panowie polsko-litewscy. Bili kapitaliści angielsko-francuscy. Bili wszyscy – za zacofanie”. Warto zwrócić uwagę, że w przytoczonej wypowiedzi właściwie poza Polakami (komunistyczna Mongolia od lat 20. XX w. popadła w całkowitą zależność od ZSRS) reszta wymienionych nacji nie sąsiadowała z ZSRS i pozostawała poza jego bezpośrednim zasięgiem. Polacy znajdowali się więc w czołówce na liście wrogów Stalina. Nawet w Jałcie podkreślał on wobec aliantów zachodnich, że „w historii Polska była korytarzem, przez który wrogowie przetaczali się, aby napaść na Rosję”.

Stosunek Stalina do Polaków kształtował się pod wpływem realiów historycznych i konkretnych wydarzeń międzynarodowych. Był też jednak uwarunkowany osobistymi »

eprasa.pl df7f188d7b

» doświadczeniami późniejszego przywódcy ZSRS. Pierwsze antypolskie kompleksy mogły się zrodzić u młodego Stalina w wyniku obserwacji stosunków społecznych na Kaukazie u schyłku XIX w. W tym czasie Polacy w Gruzji stanowili znaczącą grupę etniczną, nie tyle pod względem liczebności, ile pozycji, jaką zajmowali w lokalnej społeczności. Byli wśród nich urzędnicy, wojskowi służący w armii carskiej, przedsiębiorcy, inżynierowie, nauczyciele, naukowcy związani z kulturą katolicką, traktowaną zawsze w Rosji z dużą podejrzliwością. Mogli więc być postrzegani przez Stalina komunistę jako część uprzywilejowanego społecznego porządku, który należało zniszczyć.

Niedobre doświadczenia

Polska była jednym z nielicznych krajów, które Stalin miał okazję poznać osobiście. W grudniu 1912 r. na wezwanie przebywającego w Krakowie Lenina, dzięki pomocy polskiego szewca, przekroczył nielegalnie granicę rosyjsko-austriacką i znalazł się w galicyjskiej Trzebini. Pobyt w lokalnej dworcowej restauracji zapadł mu głęboko w pamięć z powodu zachowania polskiego kelnera, który zignorował zamówienie, gdyż Stalin złożył je po rosyjsku. To, wydawałoby się, banalne wydarzenie urosło do rangi głównego wrażenia, jakie wyniósł Stalin z krótkiej wizyty w Galicji. Świadczy o tym jej szczegółowe zrelacjonowanie polskiemu ambasadorowi Stanisławowi Kotowi 30 lat później, w trakcie bankietu wydanego na Kremlu na cześć gen. Władysława Sikorskiego 3 grudnia 1941 r. Następnym i ostatnim razem Stalin znalazł się na ziemiach polskich w zgoła odmiennych okolicznościach, podczas wojny w 1920 r.

Antypolska fobia Stalina mogła się zrodzić również na skutek aktywnej infiltracji kierownictwa partii bolszewickiej dokonanej przed wybuchem I wojny światowej przez agenta ochrany Romana Malinowskiego. Ten, polskiego pochodzenia, metalowiec-tokarz, działacz i deputowany bolszewicki do Dumy był od 1910 r. tajnym współpracownikiem carskiej policji politycznej. O jego randze może świadczyć to, że był wysoce wynagradzany za swoją działalność. 23 lutego 1913 r. w wyniku jego denuncjacji Stalin został aresztowany i w czerwcu tego roku został skazany na czteroletnią katorgę na Syberii. Mimo to Malinowski cieszył się nadal zaufaniem Stalina, o czym może świadczyć ich korespondencja prowadzona już po zesłaniu. Z niej Malinowski zaczerpnął wiedzę o planach ucieczki Stalina, o czym nie omieszkał poinformować przełożonych. Na skutek tego donosu więzień w marcu 1914 r. został przeniesiony z Kraju Turchańskiego do wsi Kuriejki pod kołem podbiegunowym.

Do końca lutego 1913 r. Malinowski wydał w ręce ochrany praktycznie wszystkich członków Komitetu Centralnego. Co interesujące, gdy pojawiły się wśród bolszewików pierwsze podejrzenia odnośnie do jego dwuznacznej postawy, na czele jego obrońców stanęli Lenin i Stalin. Jak słusznie zauważa Simon Sebag Montefiore: „Stalin, uosobienie paranoi, nie podejrzewał największego zdrajcy, z jakim się zetknął w swojej karierze politycznej. Sprawa Malinowskiego umocniła jednak obsesyjną podejrzliwość jego i jego towarzyszy. Malinowski wszedł do bolszewickiej świadomości. Niczym duch Banka nawiedzał radziecką historię. Od tej pory w bolszewickim świecie konspiracji nie było rzeczy nieprawdopodobnych". Stalin zapamiętał, że człowiek, który zwabił go na przyjęcie połączone z kwestą na cele partyjne, następnie wydał go w ręce carskiej policji, miał polskie korzenie.

Wojna z Polską. Nadzieje

W rozwoju negatywnego nastawienia Stalina do Polaków szczególną rolę odegrała wojna polsko-bolszewicka (1919-1920). W tym krwawym konflikcie, będącym zarówno częścią rosyjskiej wojny domowej, zmagań bolszewików z „burżuazyjną Ententą", jak i kolejną wielką wojną polsko-rosyjską, Stalin miał swój znaczący udział. Wiosną i latem 1920 r., podobnie jak całe kierownictwo partii bolszewickiej oraz dowództwo Armii Czerwonej, uważał, że pokonanie Polski

Latem 1920 r. zagony bolszewickiej konnicy docierały już na Kujawy i Pomorze (na zdjęciu oddział Armii Czerwonej w Działdowie)

FOT. EAST NEWS; BIBLIOTEKA NARODOWA

umożliwi realizację dalekosiężnych celów pierwszego państwa komunistycznego. Zdobycie Warszawy i upadek Polski miały stanowić otwarcie nowego – „europejskiego" etapu w dziejach rewolucji, zapowiadały początek klęski Ententy, załamanie porządku pokojowego ustanowionego w Wersalu oraz katastrofę kapitalizmu. Przewidywano, że zniszczenie suwerennej Rzeczypospolitej umożliwi utworzenie w osłabionej powojennym kryzysem Europie federacji sowieckich republik, czego m.in. domagali się uczestnicy obradującego w Moskwie w dniach 19 lipca–7 sierpnia 1920 r. II Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. W dalszej kolejności należało się spodziewać eksterminacji europejskiej opozycji antybolszewickiej.

Stalin, mimo że mniej ulegający nastrojom euforii niż inni członkowie bolszewickiego kierownictwa, również przewidywał tylko jeden, zwycięski dla Armii Czerwonej scenariusz w wojnie z Polską. Konsekwentnie sprzeciwiał się dyplomatycznemu rozwiązaniu konfliktu. Świadczy o tym jego odpowiedź na zapytanie Lenina o opinię w sprawie zachodniej mediacji: „Myślę, że imperializm nigdy nie był tak słaby jak teraz w momencie klęski Polski, my zaś nigdy nie byliśmy tak silni jak obecnie, dlatego też im ostrzej będziemy się zachowywać, tym Rosja i rewolucja międzynarodowa odniosą więcej korzyści".

Wojna z Polską. Porażka

Latem 1920 r. w kulminacyjnym etapie ofensywy bolszewickiej Stalin pełnił ważną funkcję komisarza politycznego Frontu Południowo-Zachodniego dowodzonego przez Aleksandra Jegorowa. Pierwszym celem, jaki stawiali sobie Stalin i Jegorow, było zdobycie Lwowa, głównego ośrodka w Galicji Wschodniej. W dalszej kolejności ambitny komisarz frontu planował przez Karpaty wkroczyć na Bałkany, a następnie skierować się do Europy Środkowej, a nawet do Włoch. W telegramie skierowanym do Lenina 24 lipca 1920 r. proponował wywołanie bolszewickich rebelii na Węgrzech i w Czechosłowacji. Zalecał także zniszczenie państwa rumuńskiego. Rozważał utworzenie Galicyjskiej Republiki Rad (GRR), na czele której miał stanąć polski komunista Stanisław Kosior, późniejszy główny organizator operacji (anty)polskiej na Ukrainie w 1937 r. GRR miała być tworem niezależnym od planowanej i już

Polski plakat polityczny z 1944 r.

istniejącej Ukraińskiej Republiki Rad, co świadczy o chęci rozczłonkowania Polski.

W tym momencie doszło do zasadniczych rozbieżności pomiędzy dążeniami Stalina a planami Lenina, naczelnego dowódcy Armii Czerwonej Siergieja Kamieniewa oraz ludowego komisarza spraw wojskowych i marynarki wojennej Lwa Trockiego. Stalin nie mógł się pogodzić z tym, że Frontowi Południowo-Zachodniemu przyznano zdecydowanie drugorzędne zadanie oraz że najbardziej mobilna jednostka ówczesnej Armii Czerwonej będąca częścią tegoż frontu – 1 Armia Konna miała przejść pod dowództwo Michaiła Tuchaczewskiego i jego Frontu Zachodniego. Jako dyletant w sprawach wojskowych nie rozumiał zasady „ekonomii sił", sądząc, że wobec słabnącej Polski można działać równorzędnie na dwóch kierunkach. Lenin uważał natomiast, że do realizacji nadrzędnych celów niezbędne jest zdobycie Warszawy, stąd przyznanie pierwszeństwa Frontowi Zachodniemu. Koncepcję Stalina miał nawet skwitować słowami: „Kto u diabła idzie na Warszawę przez Lwów?". W konsekwencji niesubordynacja Stalina i Jegorowa, którzy w trakcie rozpoczynającej się Bitwy Warszawskiej odmówili przekazania 1. Armii Konnej Tuchaczewskiemu, stała się jedną z przyczyn klęski Rosji bolszewickiej w tej wojnie. 14 sierpnia 1920 r. Stalin został odwołany do Moskwy, a 29 sierpnia ustąpił z członkostwa w Rewolucyjnej Radzie Wojennej frontu.

Między ideą a ambicją

Dotkliwą porażkę, jaką poniósł Stalin w trakcie wojny z Polską latem 1920 r., można rozpatrywać na dwóch płaszczyznach. Pierwsza, ideowa, wiąże się z zahamowaniem możliwości ekspansji rewolucji w Europie, z którą przywódcy Rosji bolszewickiej wiązali wielkie plany. Lenin pod koniec września 1920 r. publicznie mówił wręcz o „gigantycznej, niebywałej klęsce". Był to również cios w starannie skrywaną przez bolszewików imperialną tożsamość, będącą wszakże dziedzictwem Rosji carskiej. Poczucie, że ziemie polskie na zawsze pozostaną w rosyjskiej strefie wpływów, zostało zakwestionowane. Powstanie II Rzeczypospolitej wiązało się z oderwaniem określonego terytorium, a także ogłoszeniem suwerenności przez Litwę, Łotwę i Estonię. Po podpisaniu traktatu ryskiego w 1921 r. w ZSRS postrzegano Polskę jako najsilniejszego pod względem militarnym sąsiada, a także potencjalnego agresora.

Niemniej upokarzająca dla Stalina była porażka jego osobistych koncepcji. Zdobycie Lwowa miało utorować Frontowi Południowo-Zachodniemu drogę na Bałkany, a tym samym podnieść prestiż skupionej wokół niego koterii polityczno-wojskowej. Zamiast spodziewanych korzyści osoba Stalina została w dłuższej perspektywie związana z piętnem klęski w wojnie z Polską. W związku z powyższym przez pewien czas jego wysoka pozycja w ówczesnej hierarchii partii bolszewickiej mogła być kwestionowana, tym bardziej że pierwsze próby Stalina obciążenia porażką innych zostały źle przyjęte. Konsekwencją tego było nawet odesłanie niedoszłego zdobywcy Lwowa na krótko na Kaukaz, gdzie przebywał do końca listopada 1920 r. W przyszłości Stalin będzie wkładał wiele wysiłku w zatarcie śladów swojej ówczesnej niesubordynacji oraz niekompetencji wojskowej.

Od 1920 r. Polska i Polacy jako sprawcy powyższej klęski musieli chorobliwie pamiętliwemu i mściwemu Stalinowi kojarzyć się jak najgorzej. Po zakończeniu konfliktu z II Rzecząpospolitą Stalin będzie postrzegał Polaków, podobnie jak wcześniej Niemców po rosyjskich doświadczeniach z I wojny światowej jako dobrych, a więc groźnych żołnierzy. Potwierdzi to w rozmowie z polskim ambasadorem Stanisławem Kotem 14 listopada 1941 r.: „Z żołnierzem polskim zetknąłem się na wielu frontach i umiem go ocenić". Połączenie respektu z doznanym upokorzeniem zrodzi w Stalinie żądzę odwetu.

eprasa.pl df7f188d7b

„U DRZWI TWOICH STOJĘ, PANIE"

Z POCZĄTKIEM KWIETNIA 1940 r. RUSZYŁY Z KOZIELSKA, STAROBIELSKA I OSTASZKOWA PIERWSZE TRANSPORTY JENIECKIE PODĄŻAJĄCE DO MIEJSC KAŹNI, ODPOWIEDNIO: KATYNIA, CHARKOWA I TWERU

KRZYSZTOF JASIEWICZ

Jeszcze w dniu Wszystkich Świętych 1939 r. setki polskich oficerów, a także różni policjanci i inni jeńcy byli w ruchu. Ale zaczęło się też ostateczne kompletowanie kontyngentów osadzanych w obozach specjalnych NKWD. „Dnia 1.11 po 3-ch tygodniach pobytu w Bołoto wyjechaliśmy, 1500 oficerów kolejką wąskotorową do Tołkino, a następnie szerokotorową do Briańska, gdzie dostaliśmy w dniu 2.11 śniadanie (kapuśniak i kasza jaglana)" – zapisał jeden z nich. „W dniu 2.11, Dzień Zaduszny, o godz. 19-tej odśpiewaliśmy »Wszystkie nasze dzienne sprawy«, »Pod Twą obronę« przed Matką Boską. Po odśpiewaniu ucałowaliśmy obraz. W nocy z 2 na 3.11 o godz. 21 wysadzili nas na stacji Kozielsk, skąd pieszo 8 km przeszliśmy do obozu centralnego Kozielsk" – zanotował w notesie znalezionym przy zwłokach w Lesie Katyńskim 34-letni porucznik artylerii rezerwy z Hrubieszowa, Maksymilian Trzepałka. Został zidentyfikowany jako wywieziony z obozu 19 kwietnia 1940 r. („lista śmierci" nr 035/1 pozycja 41 z 16 kwietnia 1940 r.) do Katynia, gdzie skończył życie śmiercią męczeńską. Zamordowano go być może w identyczny dzień, jak ten pięknie opisany przez Stanisława Swianiewicza, jedynego ocalałego z tej masakry świadka: „Gdyśmy wyszli na zewnątrz, uderzyły mnie zapachy wio-

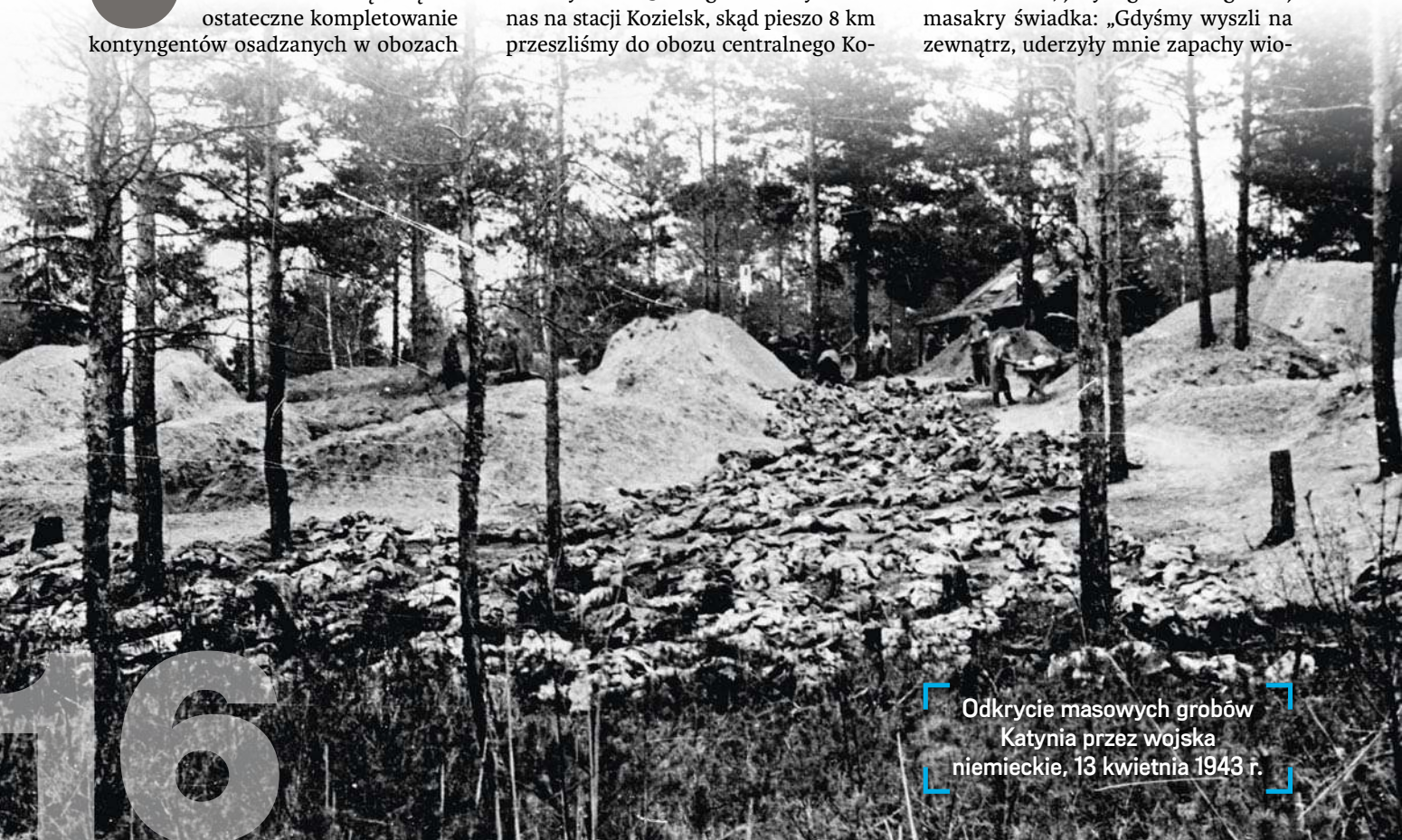

Odkrycie masowych grobów Katynia przez wojska niemieckie, 13 kwietnia 1943 r.

sny od okolicznych pól i lasów, chociaż gdzieniegdzie leżały płachty śniegu. Był śliczny, wiosenny poranek. Wysoko w błękitach bujał skowronek".

Sowieccy oprawcy

W ruchu byli też ich „sędziowie" oprawcy. Poprzedniego dnia, 31.10.1939 r., wyruszyli z Moskwy w służbową podróż do Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska major bezpieczeństwa państwowego Wasilij Michajłowicz Zarubin, kapitan bp G.I. Antonow i kapitan bp M. Jefimow. Ich przyjazd zapowiadały stosowne jednobrzmiące telegramy kończące się zdaniem: „Wszystkie polecenia / dalej jedno z powyższych nazwisk / należy wykonać". Zadaniem owych wysokich rangą oficerów była selekcja zdobycznego kontyngentu ludzkiego. Wśród selekcjonerów należy zwrócić uwagę na kombriga Zarubina. Był asem sowieckiego wywiadu o wieloletniej praktyce, także jako tzw. nielegał, czyli agent wykonujący swoje zadania ze sfabrykowanym życiorysem, udający miejscowego obywatela. Po zakończeniu operacji katyńskiej kierował, wspólnie z żoną, siatką agenturalną w USA, która wykradła Amerykanom plany bomby atomowej. Jego żona, Jelizawieta Juliewna Gorskaja, z domu Rozencweig, rumuńska Żydówka oddała tu nieocenione usługi, nawiązując bliższe relacje towarzyskie z małżeństwem Rosenbergów. Interesujące, że córka Zarubina z pierwszego małżeństwa – Zoja Wasiliewna Zarubina, rocznik 1920, też była funkcjonariuszem sowieckiego wywiadu. Doskonale wykształcona, zwłaszcza biegła w językach obcych (władała perfekcyjnie niemieckim, angielskim i francuskim), absolwentka Wyższej Szkoły NKWD-MGB, cieszyła się zaufaniem najwyższych władz sowieckich. Pojawia się jako tłumaczka na międzynarodowych konferencjach przywódców koalicji antyhitlerowskiej w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, gdzie ważyły się losy powojennego świata. Jej matka, o której nie mamy wiedzy, ponownie wyszła za mąż za Nauma Isaakowicza Ejtingtona, wysokiego rangą funkcjonariusza NKWD pochodzenia żydowskiego (nazwiska operacyjne: Leonid Aleksandrowicz Kotow i Leonid Naumow), cieszącego się dużym zaufaniem naszego „rodaka", Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Kotow był człowiekiem od mokrej roboty, kierował grupą specjalną z centrali,

Wasilij Michajłowicz Zarubin

zajmującą się mordowaniem krajowych i zagranicznych przeciwników władzy sowieckiej (m.in. zorganizował zabójstwo Lwa Trockiego w Meksyku) i organizowaniem aktów dywersji w „państwach kapitalistycznych". W 1951 r. wydalony ze służby i aresztowany pod zarzutem przynależności do organizacji syjonistycznej. Z tego powodu zwolniono ze służby jego pasierbicę a zarazem córkę Zarubina, Zoję, która odmówiła potępienia ojczyma. Pikanterii dodaje to, że 1 listopada 1939 r. kombrig przybył do Kozielska w towarzystwie siedmioletniego syna z drugiego małżeństwa. O nim też nic nie wiemy. Może od małego był przygotowywany do wielkiej kariery szpiegowskiej lub też hartowany w nienawiści do „wrogów władzy sowieckiej"?

Tak właśnie rozpoczęła się operacja katyńska, chociaż myśl wymordowania polskich elit zrodziła się w głowie Stalina zapewne wiele lat wcześniej, być może po upokarzającej klęsce w 1920 r. Klamrą spinającą był 26 października 1940 r., gdy na mocy rozkazu nr 01365 podpisanego przez narkoma Ławrentija Berię „za skuteczne wypełnienie zadań specjalnych" 143 funkcjonariuszy NKWD otrzymało wysokie premie finansowe. Przez wiele lat głowiono się nad motywami zbrodni. A w gruncie rzeczy nawet według znanego stanu badań i źródeł polskich, sowieckich i innych – sprawa wydaje się zupełnie oczywista. Celem operacji katyńskiej było zabicie maksymalnie dużej liczby przedstawicieli polskich elit, wojskowych i cywilnych, a przy okazji realizacja celów imperium, takich jak wyłowienie z tej masy osób o dużym autorytecie do ewentualnego przyszłego rządu „polskiego", przyjaźnie usposobionego do ZSRS. Po drugie, oficerów, którzy będą dowodzić „polską" jednostką, a później armią, uznającą urzędową „przyjaźń" z Sowietami i walczącą u jej boku z Niemcami. Wreszcie osoby nadające się do zorganizowania prosowieckiej partyzantki na terenie Generalnego Gubernatorstwa i prowadzenia tam akcji dywersyjnej, zmierzającej do wywołania ogólnonarodowego powstania. Że chodziło od początku o wybicie maksymalnie dużej liczby przedstawicieli elit, świadczy to, że już 19 września 1939 r. Rada Wojenna Frontu Ukraińskiego wydała dyrektywę nakazującą zablokowanie granicy polsko-rumuńskiej, tak aby „w żadnym wypadku nie dopuścić do wyjścia polskich żołnierzy i oficerów z Polski". Obstawiono też granicę z Litwą i Łotwą. Po co? Nie stoi to w sprzeczności z treścią znanego dokumentu, w którym wpływowy szef Głównego Zarządu Politycznego Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej Lew Mechlis twierdził, że polscy oficerowie, którzy dotrą do Francji, mogą stanowić kadry dla 100 tys. armii, ale jest też druga strona medalu, o czym nie »

JEDEN Z GŁÓWNYCH OPRAWCÓW KOMBRIG ZARUBIN PO ZAKOŃCZENIU OPERACJI KATYŃSKIEJ KIEROWAŁ, WSPÓLNIE Z ŻONĄ, SIATKĄ AGENTURALNĄ W USA, KTÓRA WYKRADŁA AMERYKANOM PLANY BOMBY ATOMOWEJ

FOT. EAST NEWS/AKG-IMAGES; EAST NEWS/FINE ART IMAGES

eprasa.pl df7f188d7b

» wspomina sowiecki dygnitarz, że jeśli oficerowie pozostaną, to stworzą potężną konspirację i partyzantkę.

Masowi mordercy

Jak się wydaje, można wyodrębnić sześć sposobów organizacji egzekucji i dwa – a zasadniczo jeden sposób zabijania. Chociaż żadna z ofiar nie może nam pomóc, to dysponujemy zeznaniami dwóch ważnych świadków, którzy owe egzekucje zapewne widzieli z bliska albo przynajmniej wiedzieli, jak to się robiło od bezpośrednich wykonawców. Będąc przesłuchiwanymi przez rosyjską prokuraturę wojskową w charakterze świadków w sprawie, usiłowali się zasłaniać niepamięcią i poruszali się w obrębie wiedzy śledczych, którzy zbyt mocno nie kwapili się, by dojść do prawdy, a przesłuchiwani nie byli zainteresowani zmianą swojego statusu ze świadka na podejrzanego.

W pierwszych latach po rewolucji istniały dwa sposoby zabijania: strzałem w tył głowy (względnie w kręgi szyjne, co zmniejszało krwawienie) lub strzałem w korpus. Pierwszy sposób stosowano w egzekucjach małych grup (ok. 10 osób) w piwnicach. Skazańców wyprowadzano – według uprzednio sporządzonej listy – z cel, następnie nakazywano im rozebrać się do naga. Prowadzono ich pod ścianę, na ogół drewnianą lub obłożoną drewnem, tam ustawiano tyłem do katów. Ci ostatni z odległości 1,5–2 m jednocześnie na komendę strzelali salwą w głowy z rewolwerów, najczęściej typu nagan. Ciała wynoszono na zewnątrz, pakowano na wozy lub ciężarówki i wywożono na tajne miejsca pochówku, dobrze zamaskowane i będące pod stałym nadzorem. Stąd bierze się maniera wykopywania „dołów śmierci" w ośrodkach wypoczynkowo-sanatoryjnych CzeKa-GPU-OGPU-NKWD, które od zawsze były pilnie strzeżone oraz powiedzenie, że „pójdziesz pod »scienku«". Rozbieranie do naga brało się z prozaicznych powodów. Człowiek nagi czuje się bezbronny, zagubiony i nie stawia oporu, a jego rzeczy mogły się przydać mordercom. Wszak był to czas powszechnych niedoborów. Jednak ten schemat miał wady. Ofiara mogła w momencie strzału się poruszyć lub w akcie desperacji próbować uciekać, stawiać opór, względnie strzał mógł być niezbyt precyzyjny, co komplikowało przeprowadzanie egzekucji. Drugi wariant stosowano w egzekucjach masowych, używając karabinów maszynowych. Skazańcy byli rozbierani do bielizny (tu pewnie chodziło o pozyskanie ich ubrań) i ulokowani na otwartej przestrzeni. W tej sytuacji chaotyczne strzały, głównie w korpus, nie zawsze musiały być śmiertelne, istniało ryzyko przypadkowego postrzelenia funkcjonariuszy ochraniających miejsce i konieczności dobijania rannych. Z takich egzekucji ktoś mógł się uratować, udając zabitego lub salwując się skuteczną ucieczką. Następuje więc indywidualizacja procedur zabijania w ramach wielkich operacji masowych, i tak jest już w epoce zbrodni katyńskiej.

Ewolucyjnie tworzy się też formacja katów. Panowała zasada, że każdy czekista powinien taki problem umieć rozwiązać, stąd śledczy, który prowadził daną sprawę zakończoną wyrokiem śmierci, sprowadzał oskarżonego do piwnicy i strzałem w tył głowy kończył jego niekomunistyczne życie. Większe zbrodnie wymagały logistyki, a to spowodowało, że funkcjonariusze wydziałów administracyjno-gospodarczych szybko zaczęli, wspólnie ze strażnikami więzień i aresztów, zajmować się zabijaniem, bo to oni musieli najpierw wykopać doły, a potem wywozić zwłoki i je zakopywać, maskując groby. Obowiązywała zasada jak najmniejszej liczby wtajemniczonych, co owocowało tym, że katem, jego pomocnikiem, kierowcą i grabarzem były te same osoby. Następowała też naturalna selekcja – odpadali ludzie słabi psychicznie i fizycznie.

W NKWD OBOWIĄZYWAŁA ZASADA JAK NAJMNIEJSZEJ LICZBY WTAJEMNICZONYCH, CO OWOCOWAŁO TYM, ŻE KATEM, JEGO POMOCNIKIEM, KIEROWCĄ I GRABARZEM BYŁY TE SAME OSOBY

Ostatnie minuty

Wiosną 1940 r., gdy zaczęły się masowe egzekucje, stosowano sprawdzone metody. Strzelano w głowę, ale także w korpus. Tu wracamy do sposobów organizowania egzekucji i zadawania śmierci. Pierwszy, dla którego nadałem nazwę twerski (od Tweru, w czasach sowieckich Kalinin), opisał Dmitrij Stiepanowicz Tokariew, major bp, szef Kalininskiego Obwodowego Zarządu NKWD. Ofiarę wywoływano z celi – to pierwsze drzwi, prowadzono długim piwnicznym korytarzem do kolejnej celi – to drugie drzwi, tam sprawdzano tożsamość. Za stołem siedziała przeważnie trójka: prokurator, nadzorujący operację oficer – obaj z Moskwy – oraz szef danego Zarządu Obwodowego NKWD. Pytano o nazwisko, imię, imię ojca, rok urodzenia i ostatnio zajmowane stanowisko. Gdy wszystko się zgadzało, zakładano skazańcowi kajdanki, dwaj inni funkcjonariusze brali go pod ramiona, zmuszając do pochylenia się i otwierali trzecie drzwi prowadzące do wygłuszonej wojłokiem celi śmierci. Za nimi stał kat w skórzanym fartuchu, w butach gumowych, pilotce i goglach na głowie (aby nie pobrudzić się krwią, strzępami ciała i mózgu). Strzał był z przyłożenia albo z bardzo bliskiej odległości. Potem zwłoki, z głową owiniętą szynelem (z powodów jak wyżej) wynoszono na podwórko i wrzucano na ciężarówkę. Zabijano zawsze nocą, a przed świtem grzebano. Na zakończenie kaci (było ich kilku, bo ustawiczne strzelanie mogło doprowadzić do kontuzji typu „łokieć tenisisty") wraz z pomocnikami myli się, używając także wody kolońskiej, ponieważ ich ciała były przesiąknięte silnym zapachem prochu i krwi.

Drugi sposób, nazwałem go charkowski, opisał Mitrofan Wasiljewicz Syromiatnikow, sierżant, starszy bloku więzienia wewnętrznego Charkowskiego Obwodowego Zarządu NKWD. Wszystko jest identyczne jak w wersji twerskiej, z jednym wyjątkiem. Skazani przechodzą z celi przez pomieszczenie, gdzie od razu sznurem wiąże się im z tyłu ręce i dalej przez kolejne drzwi do sprawdzenia tożsamości i do wieczności. Logiczne jest pytanie, dlaczego w Twerze używano kajdanek, a w Charkowie sznura, czyżby

eprasa.pl df7f188d7b

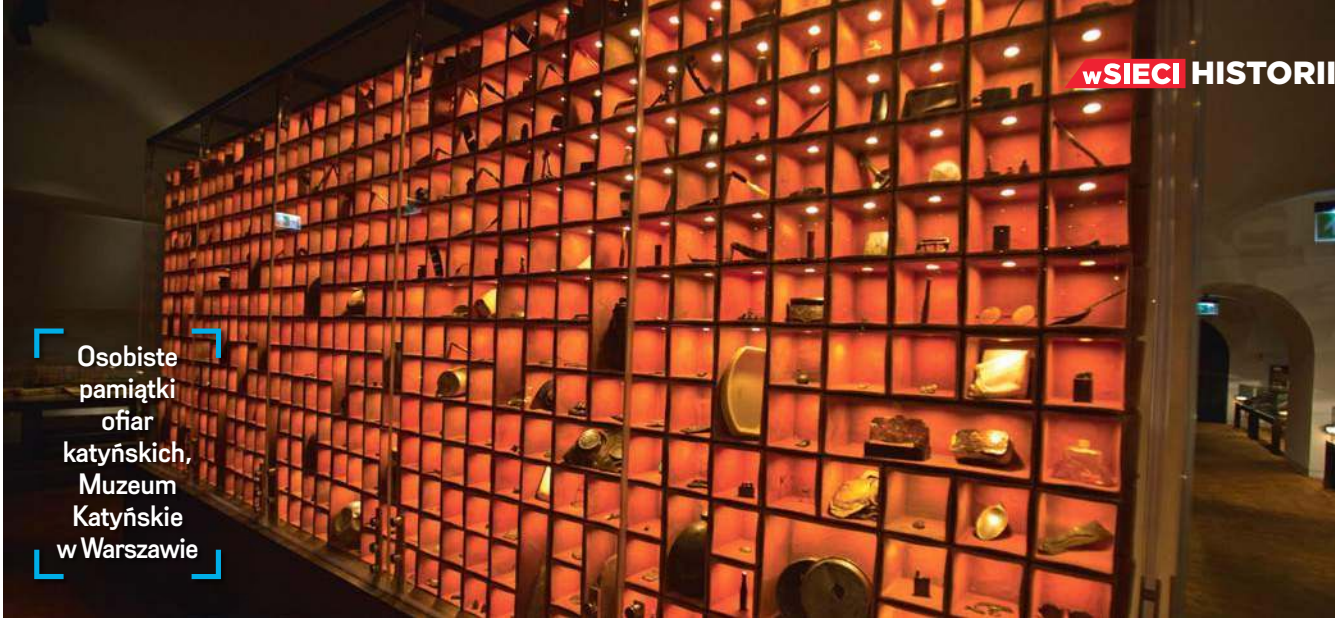

Osobiste pamiątki ofiar katyńskich, Muzeum Katyńskie w Warszawie

FOT. JULITA SZEWCZYK

nie mieli kajdanek? Powód był prosty. Tam obowiązywało niemal od zaraz przyspieszone tempo. Skrępowanych skazańców w grupach doprowadzano pod drzwi celi, w której sprawdzano personalia, ale na korytarzu było słychać stłumione strzały. Skazańcy wiedzieli, co ich czeka, lecz zachowywali się – jak stwierdził Syromiatnikow – „z godnością".

Jeśli sięgniemy do opisu ekshumacji z 1943 r., to zobaczymy, że w dołach były zwłoki bez i ze skrępowanymi rękoma, powiązane specyficznie (na głowie płaszcz, na szyi pętla dobiegająca i krępująca ręce; próba wyprostowania się prowadziła do zaciśnięcia pętli na szyi), niektóre głowy miały dwa, trzy, a nawet więcej postrzałów. Znaleziono pewną liczbę zwłok postrzelonych w różne miejsca korpusu. Na niektórych znajdowały się specyficzne ślady po pchnięciach i nakłuciach bagnetami typu sowieckiego. Tak powstają cztery, tym razem hipotezy, co do sposobu przeprowadzenia egzekucji. Wszystkie cztery muszą być przeprowadzone za dnia.

Trzeci sposób to kompilacja według Iwana Kriwoziercowa. Ów człowiek mieszkający w pobliżu Lasu Katyńskiego pewnie sam słyszał rozmaite hipotezy co do przyczyn powstania wyżej opisanych obrażeń, a także widział ciała z bliska. Według niego oficerów przywożono więźniarkami ze stacji Gniezdowo (nieprawda, bo zdarzały się transporty przybywające bezpośrednio ze Smoleńska i stacji położonych wokół niego), skazanych doprowadzano do środka willi NKWD. Tam sprawdzano tożsamość (nieprawda, bo z zachowanej relacji mjr. Adama Solskiego wynika, że sprawdzanie odbywało się także na powietrzu), następnie delikwenta wprowadzano do kolejnego pokoju, tam zakładano mu gumowy knebel, krępowano z tyłu ręce i upychano do innego „worona", który obsługiwał trasy wewnętrzne (tu możliwość zagospodarowania śladów po bagnetach – być może opornych zmuszano siłą). Samochód podjeżdżał w okolice dołu śmierci, skazańców wyprowadzano pojedynczo, po drodze strzelano w głowę, następnie ciało przenoszono na noszach pod dół; tam podlegały badaniu lekarza NKWD (wręcz nieprawdopodobne, by zadawano sobie tyle trudu; każdy postrzał w głowę powinien, może z pewnym opóźnieniem, skutkować śmiercią, choćby poprzez przygniecenie innymi zwłokami i ziemią). Gdy były jakieś oznaki życia, lekarz dobijał jednym-dwoma strzałami (to wytłumaczenie liczniejszych postrzałów głowy).

Czwarty sposób, też moja nazwa – smoleński stachanowski. Tłumaczy on ten szczególny sposób krępowania ciał przed egzekucją. W pewnym momencie, na razie nie znamy powodu, nastąpiło znaczące przyśpieszenie tempa mordowania dostarczanych kontyngentów. Być może – to też moja hipoteza poparta pewnymi tropami – postanowiono w tych samych miejscach zamordować więźniów (listy białoruska i ukraińska). Zrodziło to swego rodzaju współzawodnictwo. I w więzieniu smoleńskim za dnia, kiedy już nie zabijano w piwnicy, krępowano ofiary w ten makabryczny sposób, przewożono je nad sam dół do Katynia i tam zabijano.

Piąty sposób, zwany przez miejscowych „smiertnyj wakzał" („dworzec śmierci") lub „krasnyj wakzał" („czerwony dworzec"). Podobno stosowano go w Lesie Katyńskim w czasie Wielkiego Terroru. Był tam niewielki barak otoczony jakby kojcem. Przywożono grupę oficerów – dokonuję adaptacji tego wariantu już do obywateli polskich; „woron" miał pojemność 30-osobową – i zapędzano ich w części lub całości do tego miejsca śmierci (jeśli w części, to chwilowo uratowani byli zamykani w jednym z budynków gospodarczych w pobliżu willi NKWD, i w niej nocą byli rozstrzeliwani; oni musieli mieć związane ręce, bo słyszeli dobrze strzały). Przed budynkiem stała ławka. Strażnicy wydawali komendę, aby usiąść (mieściło się tam około 10 osób), a potem, że wolno zapalić. Na tę ostatnią reagowali schowani w baraku kaci, którzy unosili jedną z desek ściany i oddawali salwę (tu też możliwość dodatkowych postrzałów w głowę).

Wreszcie, pozostali przy życiu – to szósty sposób – z pomocą adrenaliny usiłowali się wydostać z pułapki, a kaci wybiegali na zewnątrz i wspólnie ze strażnikami wybijali pozostałych. Jak głosiła pewna pogłoska wśród mieszkańców żyjących w pobliżu miejsca egzekucji, kiedyś z takiego kojca uciekło pięciu oficerów, których straże z psami ganiały i zabijały już w lesie. Zostali ponoć pochowani w oddzielnej mogile, na której po zakończeniu operacji katyńskiej ktoś postawił pięć krzyży. Jakiś czas one stały, co zapamiętali starsi ludzie. Ten sposób pozwala wytłumaczyć wszelkiego typu obrażenia i postrzały na zwłokach, jak też znalezione w pniach drzew pociski (tłumaczenie, że kiedyś była tam strzelnica, nie bardzo przekonuje; zapewne wycięto by wszystkie drzewa).

Ze znanych dokumentów wynika, że polscy oficerowie kontynuowali etos dawnego rycerstwa. Głęboko wierzyli w Boga, kochali Ojczyznę, cenili nad życie honor. Byli mężni i odważni, nawet w tej ostatniej chwili, która dla nich zaczęła się w dniu Wszystkich Świętych szatańskiego 1939 r.

eprasa.pl df7f188d7b

POTENCJAŁ MILITARNY KOREI PÓŁNOCNEJ

OD WIELU LAT OCZY CAŁEGO ŚWIATA ZWRACAJĄ SIĘ W STRONĘ JEDNEGO Z OSTATNICH BASTIONÓW WSPÓŁCZESNEGO TOTALITARYZMU – KOREI PÓŁNOCNEJ. WYWIAD PRL DYSPONOWAŁ W SWOIM CZASIE PRECYZYJNYMI DANYMI, KTÓRE POZWALAŁY OSZACOWAĆ JEGO POTENCJAŁ MILITARNY

RAFAŁ LEŚKIEWICZ

IPN Warszawa

Kolejne próby rakiet balistycznych, a przede wszystkim broni nuklearnej, realizowane przez reżim nieobliczalnego Kim Dzong Una, choć zwykle nieudane, spędzają sen z powiek przywódcom największych potęg militarnych świata. Pewnym światełkiem w tunelu, nadzieją na zmianę postawy północnokoreańskiego dyktatora były deklaracje i ustalenia podjęte podczas spotkania prezydenta USA Donalda Trumpa i Kim Dzong Una w Singapurze 12 czerwca 2018 r. Choć – jak można założyć – biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia, ponownie skończy się wyłącznie na deklaracjach.

Przyglądając się dyskusji na temat potencjału militarnego Korei Północnej, warto sięgnąć do dokumentów i spróbować odpowiedzieć sobie na pytanie o genezę tego potencjału. Intensywne inwestycje w armię północnokoreańską czyniono od początku lat 70. XX w. Kulminacja dyskusyjnie rozumianego rozwoju militarnego Korei przypadła na końcówkę lat 80. XX w. Wówczas, nie zważając na trawiący kraj kryzys, wszechobecny głód i biedę, inwestowano w najbardziej strategiczną gałąź państwa, czyli w rozbudowę i wyposażenie armii.

Oczywiście nie jest łatwo ocenić stan posiadania północnokoreańskiej armii – trudno o dostęp do wiarygodnych dokumentów. Ciekawym źródłem wiedzy o zagadnieniach militarnych są dokumenty pochodzące z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Znajdują się tu m.in. akta komunistycznego wywiadu wojskowego.

Sojuszniczy wywiad

Analizy przygotowywane przez Zarząd II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, który miał w stolicy kraju Phenianie (obecnie Pjongjangu) swoją placówkę wywiadowczą zbierającą chociażby informacje, jaki jest potencjał militarny Korei, a także jak były rozmieszczone jednostki wojskowe i jakim dysponowały arsenałem, stanowią wartościowe źródło wiedzy dla tych wszystkich, którzy interesują się armią północnokoreańską.

Informacje zawarte w tych aktach komunistycznego wywiadu pochodziły z bardzo dobrych źródeł: od oficerów polskiej armii współpracujących na miejscu, w Korei, z armią tego kraju, mając przy tym dostęp do dokumentów oraz bywając

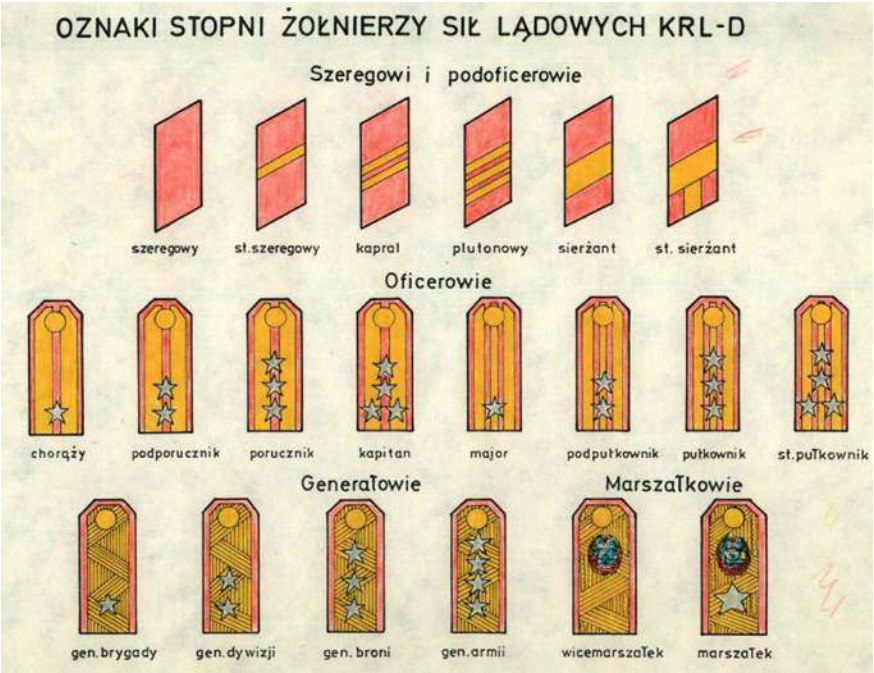

FOT. IPN

eprasa.pl df7f188d7b

w konkretnych, opisywanych w raportach jednostkach wojskowych.

Wobec niezwykle skromnych współczesnych materiałów wywiadowczych dotyczących Korei Północnej, zachowane akta komunistycznego sojusznika tego kraju, jakim była Polska jeszcze 30 lat temu, mająca wewnątrz Korei swoją aktywną placówkę dyplomatyczną, dają miarodajne wyobrażenie o stanie armii i jej wyposażeniu w niedalekiej przecież przeszłości.

W strukturze organizacyjnej sił zbrojnych Korei Północnej na ich czele stał, co oczywiste, Kim Ir Sen. Był jednocześnie przewodniczącym Komitetu Wojskowego Komitetu Centralnego Partii Pracy Korei. Komitet ten składał się z przewodniczącego oraz 18 członków, w tym 10 czynnych wojskowych, 7 emerytowanych oraz syna Kim Ir Sena, Kim Dzong Ila. Za politykę obronną odpowiadał Komitet Obrony Państwowej z jej przewodniczącym. Na poziomie rządowym za wojsko odpowiadał minister ludowych sił zbrojnych, wspierany przez czterech zastępców. Oczywiście w strukturze armii funkcjonowało również stanowisko szefa Sztabu Generalnego wraz z jego dwoma zastępcami, z których jeden odpowiadał za wywiad wojskowy.

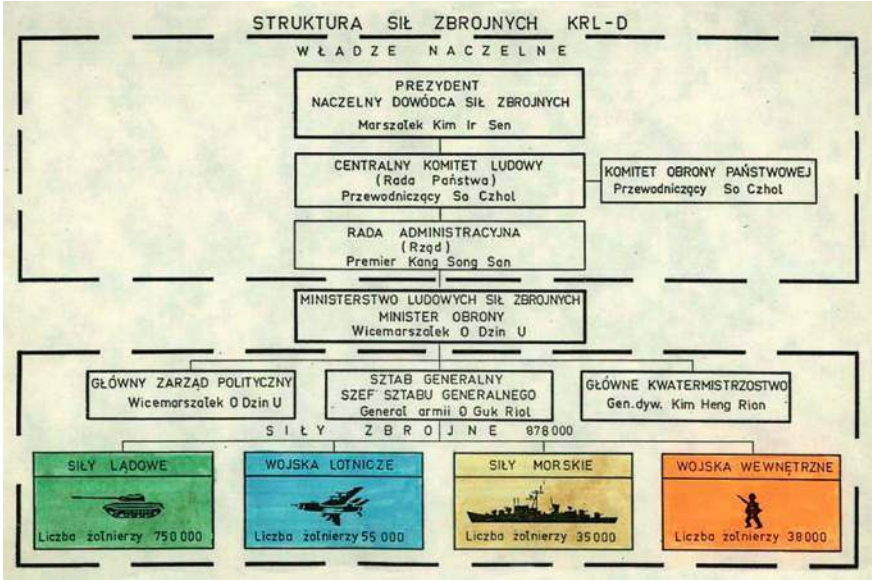

FOT. IPN

Sprzęt w liczbach

Na siły zbrojne, czyli Koreańską Armię Ludową, składały się wojska lądowe, powietrzne, obrony powietrznej kraju, marynarka wojenna i wojska wewnętrzne. Największe liczbowo były wojska lądowe, liczące ok. 750 tys. żołnierzy. W ich skład wchodziły 3 sztaby armii, 8 korpusów armijnych, 34 dywizje piechoty, 2 dywizje pancerne, 5 dywizji zmechanizowanych, 9 samodzielnych brygad piechoty, 7 samodzielnych brygad pancernych, a także brygada rakiet operacyjno-taktycznych.

Jeśli chodzi o wyposażenie, dysponowano 3,5 tys. czołgów i 1140 transporterami opancerzonymi. Artyleria składała się z 4650 dział i haubic. Na wyposażeniu było ponadto 2 tys. wyrzutni rakiet i 54 wyrzutnie rakiet taktycznych typu ziemia-ziemia o zasięgu do 70 km. Wśród innego sprzętu wojskowego znajdowało się 3,3 tys. dział przeciwpancernych, 11 tys. moździerzy oraz 8 tys. dział przeciwlotnicznych.

Siły powietrzne liczyły 55 tys. żołnierzy, w tym 3 eskadry bombowców, 10 eskadr myśliwsko-bombowych, 12 eskadr myśliwców, a także lotnictwo transportowe. W ramach ochrony przeciwlotniczej działały 4 brygady rakiet przeciwlotniczych oraz dywizjony i samodzielne baterie dział przeciwlotniczych.

Jeśli chodzi o wyposażenie w samoloty, to siły powietrzne KRLD były w posiadaniu ok. 800 maszyn bojowych i 179 śmigłowców. Oczywiście wszystkie produkcji ZSRS (Ił-28; Su-7; MiG-15 i MiG17; MIG-21).

MIMO PROPORCJONALNIE DUŻYCH INWESTYCJI W ARMIĘ SIŁY ZBROJNE KOREI BYŁY LICZNE, ALE NIEZBYT NOWOCZESNE

Kim Ir Sen, rujnując swój kraj gospodarczo, inwestował w siły zbrojne. Pod koniec lat 80. XX w. na cele militarne przeznaczano łącznie 10 proc. całego produktu krajowego brutto (czyli ponad 4 mld dol.). Zasadniczo jednak, mimo proporcjonalnie dużych w stosunku co całego budżetu inwestycji w armię, siły zbrojne Korei, choć liczne, były niezbyt nowoczesne. Potencjał zbrojny wyglądał na bardzo duży. Łącznie liczebność regularnych, stojących pod bronią w gotowości operacyjnej sił zbrojnych Korei Północnej kształtowała się na poziomie blisko 900 tys. żołnierzy, z czego prawie 40 tys. stanowiły wojska wewnętrzne. Uwzględniając rezerwistów, cała armia osiągała imponującą wielkość – ok. 4 mln żołnierzy. Warto wspomnieć, że w tym okresie populacja kraju wynosiła ok. 20,5 mln mieszkańców.

Marynarka i wojska wewnętrzne

Rozmieszczenie sił powietrznych według wywiadu PRL wyglądało następująco: 13 dużych baz lotniczych i prawdopodobnie 30 mniejszych, rozmieszczonych w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej.

Z kolei marynarka wojenna Korei Północnej dysponowała 35 tys. żołnierzy zorganizowanych w dwie floty (tzw. wschodnią i zachodnią). W sumie w ich skład wchodziło 450 okrętów, a wśród nich 20 podwodnych, 4 fregaty, 30 kutrów rakietowych, 32 jednostki patrolowe, 182 kutry torpedowe, 163 kutry artyleryjskie i 18 okrętów desantowych.

Ostatnim ogniwem północnokoreańskich sił zbrojnych były wojska wewnętrzne. Zajmowały się głównie ochroną budynków urzędów centralnych i gospodarczych oraz patrolowaniem wybrzeża.

Z olbrzymim prawdopodobieństwem można założyć, że do dzisiaj zrąb siły uderzeniowej wojsk Korei Północnej opiera się na strukturach utrwalonych w latach 80. XX w. Jedyne, co się zmieniło, i to w sposób diametralny, to broń o charakterze nuklearnym, która jest obecnie ewidentnym straszakiem Kim Dzong Una wobec potęg współczesnego świata.

eprasa.pl df7f188d7b

Młody Tashi na koniu

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA (x4)

Opracował
i przetłumaczył:

MICHAŁ ORZECHOWSKI

PRAWDZIWY CHIŃSKI BOHATER

WSPOMNIENIA CHENG HO-CHINGA/LOBSANGA TASHIEGO

LOBSANG TASHI PRZESZEDŁ DŁUGĄ DROGĘ OD RANGI PUŁKOWNIKA W CHIŃSKIEJ KOMUNISTYCZNEJ ARMII LUDOWO-WYZWOLEŃCZEJ DO TYBETAŃSKIEGO UCHODŹCY

Pochodzę z prowincji Shantung w północno-wschodnich Chinach, na południe od Pekinu. Podczas wojny przeciwko Japonii byłem uczniem szkoły podstawowej. Moja szkoła została zbombardowana przez Japończyków, a dziewięciu moich przyjaciół zostało zabitych. Jako ocaleni zrozumieliśmy, że nie ma sensu prowadzić dotychczasowego, normalnego życia podczas gdy szalała wojna. Dlatego wstąpiliśmy do wojska w 1945 r. Wtedy jeszcze Czang Kaj Szek rządził w Shangtungu, ale kiedy komuniści przejęli władzę, przeszliśmy na ich stronę i ostatecznie zwyciężyliśmy w tej wojnie. Dostałem awans i objąłem dowodzenie nad setką żołnierzy podczas walk w Korei.

eprasa.pl df7f188d7b

Pierwsze zetknięcie z Tybetem

Pierwszy raz zobaczyłem Tybetańczyka w połowie lat 50., kiedy podjąłem służbę w Powo Tamo w południowym Tybecie. Zgodnie z wymogami poprosiłem bowiem o przeniesienie do zewnętrznych regionów Chin, aby pomagać przy budowie społeczeństwa komunistycznego, tak jak tego wymagał Mao Ze Dong. O Tybecie wiedziałem tylko tyle, że w latach 50. wkroczyła tam Armia Ludowo-Wyzwoleńcza, jak ją nazywano, i że po tym wydarzeniu Tybet stał się częścią Chin.

W Powo Tamo zauważyłem, że Tybetańczycy różnią się od nas, Chińczyków. Nie mówili naszym językiem, mieli inne tradycje i uważali nas za obcokrajowców. Chińskie natomiast wojsko patrzyło na Tybetańczyków z wyższością, jak na barbarzyńców. Mieliśmy jednak surowe rozkazy, by traktować ich dobrze, więc nigdy otwarcie nie okazywaliśmy naszego nastawienia. Ja sam zresztą coraz bardziej zacząłem lubić Tybetańczyków. Byli szczerzy, mili i zawsze uśmiechnięci. Rosła także nasza popularność, szczególnie wtedy gdy płaciliśmy dwukrotne ceny za wszystko, co kupowaliśmy. Ceny mocno szły w górę, bo bieda doskwierała ludności tubylczej.

W roli okupanta

W związku z moimi awansami i coraz wyższą rangą wojskową miałem dostęp do tajnych planów i dokumentów. Była tam m.in. bardzo precyzyjna instrukcja wskazująca, jak pokonać tybetański opór i zdobyć pełnię władzy. Liczyliśmy na to, że dzięki naszej łaskawej polityce coraz więcej Tybetańczyków przejdzie na naszą stronę. Komunistyczne kadry infiltrowały więc urzędy, w których zatrudniano sprawdzone osoby. Dużo uwagi poświęcaliśmy pracy propagandowej. Obserwowaliśmy wszystkich – zarówno osoby, które nam sprzyjały, jak i te nam przeciwne. Oszacowano, że jeśli 60 proc. populacji będzie po naszej stronie, to przejmiemy pełnię władzy, bo wówczas opór będzie słaby i łatwy do pokonania. Kiedy przybyłem do Lhasy, przewidywano, że zdobycie całego kraju potrwa trzy lata.

Miałem dość tej dwulicowej postawy. Podczas nadarzających się licznych okazji dawałem Tybetańczykom dyskretne sugestie i wskazówki. Nie mogłem mówić otwarcie, w obawie przed zdemaskowaniem i uwięzieniem. Tybetańczycy jednak nie rozumieli moich sygnałów: wierzyli pięknym słowom Chińczyków.

W 1958 r., podczas tybetańskiego powstania narodowego przeciwko chińskim wojskom okupacyjnym, dowodzący chińską artylerią Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w stolicy Tybetu Lhasie, płk Cheng Ho-ching przeszedł na stronę tybetańskich powstańców. Przez ponad rok walczył przeciwko swoim dotychczasowym towarzyszom broni. W 1959 r., po upadku Lhasy, przedostał się do Indii i osiadł w Bomdili, dzisiejszym stanie Arunachal Pradesh, skąd został przeniesiony przez indyjskie władze do Kalkuty. Tam spotkał dowódcę partyzantów tybetańskich Andruga Gompo Tashiego, który przekonał go do przeniesienia się do Dharamsali – indyjskiej siedziby rządu Dalajlamy na wychodźstwie. Cheng Ho-ching przebywał w Dharamsali przez prawie rok, po czym przeniósł się do tybetańskiego obozu Lubsung Samdrub Ling w Bylakuppe w południowych Indiach, gdzie wiódł życie tybetańskiego uchodźcy. Miejsce to było jego domem aż do śmierci.
Cheng Ho-ching, lepiej znany pod tybetańskim imieniem Lobsang Tashi, zmarł 2 maja 1987 r., po długiej walce z cukrzycą. Miał 64 lata.

W 1957 r. mieszkańcy siedmiu tybetańskich dystryktów w regionach Amdo i Kham, niedaleko granicy z Chinami, wzniecili powstanie. Armia chińska nie była na to przygotowana i początkowo ustępowała. Siedem tysięcy Chińczyków zostało zabitych. Szybko jednak nastąpił odwet. Użyto czołgów i samolotów. Wiele wsi i klasztorów zostało zbombardowanych. W naszych dokumentach znalazłem liczbę 40 tys. zabitych Tybetańczyków. Powstanie upadło. Aby zapobiec kolejnym rewoltom, racje wydawanej żywności zostały zmniejszone, zwiększyła się kontrola i ludzie zostali zmuszeni do dłuższego czasu pracy.

W listopadzie 1958 r. zostałem mianowany dowódcą artylerii w Lhasie z 1,2 tys. żołnierzami pod komendą. Chińscy żołnierze nie byli zadowoleni z nowych rozkazów oraz pozostawania tak długo poza Chinami. Lin Chien – jeden z dowodzących armią oficerów, narzekał na zbyt dużą liczebność chińskich wojsk w Tybecie, co powodowało trudności z aprowizacją. Za to, w końcu 1957 r., został zdegradowany i odwołany z zajmowanego stanowiska.

Ucieczka

Po tym incydencie Pekin wydał rozkaz, żeby wszyscy chińscy oficerowie stacjonujący w Tybecie podzielili się swoimi opiniami na ten temat. W kwietniu 1958 r. były organizowane długie wiece, na których wszyscy musieli zabrać głos. Rozumiałem, że intencją zwołania tych spotkań było wskazanie stronników Lin China. Mimo to, kiedy nadeszła moja kolej, szczerze powiedziałem to, co myślałem: po pierwsze – dlatego, że utrzymujemy armię w Tybecie, w Chinach panuje bieda; po drugie, oszukujemy i zabijamy Tybetańczyków, których winą jest to, że bronią swojego kraju. Mówiłem prosto z serca. Ale wiedziałem już, że moja kariera wśród Chińczyków była skończona. Tej samej nocy wymknąłem się ze swojej kwatery i ruszyłem w kierunku stacjonowania tybetańskiej partyzantki.

Chińczycy odkryli moją ucieczkę i podjęli pościg. Musiałem przedostać się przez rzekę. Skłoniwszy konia do kucnięcia w wodzie, umknąłem uwadze ścigających i bezpiecznie dotarłem do drugiego brzegu.

Wcale nie było mi łatwo znaleźć schronienie u Tybetańczyków. Cóż bowiem mogli sobie oni pomyśleć, kiedy »

eprasa.pl df7f188d7b

» zobaczyli przemokniętego chińskiego pułkownika przybywającego do nich w środku nocy, prosto z szeregów nieprzyjaciela? Pomyśleli, rzecz jasna, że jestem szpiegiem. Wielu z nich chciało mnie zabić.

Sprawdzian

Szczęśliwie najpierw zostałem poddany przesłuchaniu, które trwało trzy dni. Powiedziałem im wszystko, co wiedziałem o chińskich wojskach, ich zwyczajach i uzbrojeniu, narysowałem mapy. Wysoko postawiony lama zadecydował, że powinienem się przydać ze swoją znajomością nieprzyjaciela. Zostałem przeniesiony do klasztoru Dhargyay, gdzie trzymano mnie pod stałą strażą. Tam spotkałem Andruga Gompo Tashiego, który był powszechnie znanym przywódcą rewolty. Ten jednak miał wątpliwości co do moich intencji. Wśród tybetańskich partyzantów było wielu innych Chińczyków, którzy także zdezerterowali. Pod dowództwem kapitana Damdula było ich 16.

Po trzech miesiącach Tybetańczycy poddali mnie próbie. Zabrali mnie ze sobą na akcję na chiński posterunek w Nyethong Dzong. Dostałem zadanie, aby unieszkodliwić chińskiego dowódcę. Najpierw próbowałem namówić go do dezercji: „Lepiej byś zrobił, gdybyś poszedł z nami i zdobył wtedy wolność. Znam życie pod rządami chińskich komunistów – to tylko samo oszustwo i ucisk" – powiedziałem. Na to usłyszałem: „Jesteś reakcyjnym zdrajcą! Nigdy się nie poddam!". Zaczęliśmy ze sobą walczyć i kiedy wydobył pistolet, musiałem go zabić, zerwałem jego dystynkcje i zabrałem broń. Po tym wszystkim tybetańscy partyzanci uwierzyli mi zaledwie w pięćdziesięciu procentach!

Tybetańczycy z flagą tybetańskiego ruchu oporu

Dwa tygodnie później wziąłem udział w walkach w dystrykcie Nyemo. Pod swoją komendą miałem wielkie działa. Zabiliśmy trzystu siedemdziesięciu żołnierzy chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i straciliśmy czterdziestu ośmiu naszych ludzi. Dopiero po tej bitwie zostałem w pełni zaakceptowany.

Partyzant i uchodźca

Niedługo potem Chińczycy przybyli do Dalajlamy ze skargą: „Powstańcy zadają nam poważne straty, a to dlatego, że w waszych szeregach walczy reakcyjny zdrajca". Powiedział mi to sam Dalajlama w 1977 r., kiedy odwiedził nas tu, na wygnaniu.

Chińczycy oczywiście starali się mnie złapać. Obiecali 20 tysięcy juanów nagrody za informacje o miejscu mojego pobytu i 40 tysięcy juanów za schwytanie mnie. Dlatego, kiedy musiałem przez jakiś czas ukrywać się w Lhasie, rozpowszechniliśmy pogłoski, że widziano mnie 30 km dalej w Chushul. Chińczycy oddelegowali na cały tydzień pięciuset ludzi, żeby mnie tam znaleźć!

W marcu 1959, podczas powstania w Lhasie, byłem w Tsethang. Stacjonował tam chiński garnizon, który atakowaliśmy wielokrotnie po to, by uniemożliwić Chińczykom pościg za Dalajlamą podczas jego ewentualnej ucieczki. Chińczycy szukali go zarówno z ziemi, jak i z samolotów. Wiele razy strzelali z powietrza, zabijając partyzantów. Ale przy tym ginęło o wiele więcej cywili. Było dosyć łatwo ukrywać się w górach, o wiele jednak trudniej chować się we wsiach. Nasze wojska powoli przemieszczały się w kierunku Indii i walczyliśmy przez cały czas. W końcu także my musieliśmy przekroczyć granicę i zostaliśmy rozbrojeni oraz wysłani na równinne rejony Indii.

Tam osiedliłem się, ożeniłem i zostałem zaakceptowany jako tybetański uchodźca przez wszystkich Tybetańczyków".

Za wszystkim stała kobieta

Na koniec przytoczmy jeszcze relację członka tybetańskiego rządu na emigracji Tseringa Wangchuka, który zdradza także inne przyczyny przejścia Lobsanaga Tashiego na stronę partyzantów:

„Chiński oddział wojskowy, którym dowodził Lobsang Tashi, obozował niedaleko pewnego ogrodu. Ogrodem opiekował się stary Tybetańczyk, który miał piękną i młodą córkę. Nic więc dziwnego, że żołnierze bywali tam częstymi gośćmi. Także Lobsang Tashi często odwiedzał dom ogrodnika i stopniowo zaprzyjaźniał się z Tybetańczykami, coraz bardziej także podobał się mu tybetański charakter narodowy i sposób bycia: otwartość, zamiłowanie do długiego i radosnego celebrowania spotkań, wspólnego picia i jedzenia, rozmów, śpiewów i głośnego radowania się. Wszystko to odróżniało w jego oczach Tybetańczyków od dużo mocniej zdystansowanych, bardziej sztywnych i zamkniętych w sobie Chińczyków.

Coraz bardziej także zaprzyjaźniał się z piękną córką ogrodnika, z którą po pewnym czasie nawiązał romans. Jednak chińskie przepisy wojskowe zakazywały, w szczególności dowódcom, bliskich kontaktów z ludnością miejscową. Sytuacja Lobsanga Tashiego stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Atmosfera wokół niego zagęszczała się tak mocno, że w końcu podjął decyzję o ucieczce na tybetańską stronę". ■

Lobsang Tashi z rodziną

30/0219/F

eprasa.pl df7f188d7b

CO ŁĄCZY CAŁUN TURYŃSKI I CUDOWNY POLSKI OBRAZ?
KLUCZ DO NAJWIĘKSZEJ Z TAJEMNIC WIARY

KAMILA KAMIŃSKA

MACIEJ MAŁYSA

JANUSZ CHABIOR

REMIGIUSZ JANKOWSKI

PIOTR CYRWUS

JACEK BORKOWSKI

TADEUSZ CHUDECKI

PREMIERA OBJĘTA PATRONATEM HONOROWYM PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

REŻYSERIA MICHAŁ KONDRAT

MIŁOŚĆ I MIŁOSIERDZIE

JEZU, UFAM TOBIE

REŻYSERIA MICHAŁ KONDRAT SCENARIUSZ MICHAŁ KONDRAT PRODUCENT FUNDACJA FILMOWA IM. ŚW. MAKSYMILIJANA KOLBE KOPRODUCENT TELEWIZJA POLSKA S.A.
ZDJĘCIA MATEUSZ PASTEWKA JAN SOBIERAJSKI MONTAŻ PAWEŁ WITECKI JAN SOBIERAJSKI SCENOGRAFIA ALICJA BOŻENA PATYNIAK – ROGOZIŃSKA KOSTIUMOGRAF ANNA WEBER MUZYKA PAWEŁ STANKIEWICZ RADOSŁAW LABAUNA
WYSTĄPILI KAMILA KAMIŃSKA MACIEJ MAŁYSA JANUSZ CHABIOR REMIGIUSZ JANKOWSKI PIOTR CYRWUS JACEK BORKOWSKI TADEUSZ CHUDECKI DYSTRYBUCJA KONDRAT-MEDIA KINO ŚWIAT

W KINACH OD 29 MARCA

eprasa.pl df7f188d7b

„ZA PRZYNALEŻNOŚĆ

W LATACH 1944–1949 NA TERENIE ZSRS, W OKOLICACH BOROWICZ, POWSTAŁ ZESPÓŁ ŁAGRÓW NKWD NR 270, DO KTÓREGO TRAFILI ŻOŁNIERZE ARMII KRAJOWEJ. W 2002 r. BOGUSŁAW LITWIN (UR. 1922) ODBYŁ PODRÓŻ DO TYCH MIEJSC. WRAŻENIA I WSPOMNIENIA BYŁY TAK SILNE, ŻE WÓWCZAS PO RAZ PIERWSZY OPOWIEDZIAŁ NAJBLIŻSZYM O SWOICH OBOZOWYCH PRZEŻYCIACH. OTO JEGO RELACJA

Bogusław Litwin, zdjęcie z okresu wojny

FOT. ARCHIWUM HENRYKA LITWINA

BOGUSŁAW LITWIN

Zaaresztowano mnie pod koniec września 1944 r. na skutek donosu sąsiada Ukraińca – niejakiego Pilipczaka. NKWD przyszło do naszego domu (w Niedziałowicach) w nocy i zgarnęło nas obu – mojego brata Czesia i mnie. Miałem wówczas lat 22, a mój brat 24. Zawieziono nas do aresztu w Krasnymstawie, gdzie były pierwsze przesłuchania. W listopadzie trafiłem do więzienia w Lublinie, a stamtąd do transportu do Rosji. Jechaliśmy około tygodnia w szczelnie zamkniętych bydlęcych wagonach. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą i jaki los przed nami. Chłód, głód, smród, mrok – i strach. Gdy dotarliśmy wreszcie do Borowicz, pociąg zatrzymał się na bocznicy kolejowej niedaleko dworca. Wysiedliśmy z wagonów i staliśmy tak, zanim uformowano z nas kolumnę. Przed nami, odgrodzony tylko kordonem ze strażników, stał agresywny tłum ludzi – mieszkańców miasta. Prawdopodobnie kazano im tam przyjść jak na wiec, wyglądali przeważnie na robotników z fabryk. Krzyczeli, obrzucali nas wyzwiskami, wygrażali i rzucali w nas kamieniami. Mimo że byliśmy odgrodzeni, odległość była specjalnie tak zaplanowana, żeby kamienie mogły nas dosięgnąć. Wyzywali nas więc od nazistów i pomocników Hitlera, polskich bandytów, od swołoczy i morderców. I leciał ten grad kamieni, a my i tak wycieńczeni mogliśmy się tylko uchylać.

Wreszcie sformowano z nas kolumnę i popędzono przez ten wrogi szpaler, później przez miasto, w drogę do Jogły. Strażnicy szli po bokach z psami, niektórzy jechali konno. Pofałdowany step po horyzont, gdzieniegdzie linia lasu i co jakiś czas wieżyczki obserwacyjne. Te wieże były rozrzucone w krajobrazie, na wzniesieniach i służyły do ogólnej obserwacji wszystkiego – dróg, pól, kopalni, wiosek i kołchozów. Cały ten teren był jednym wielkim łagrem.

Początek

W Jogle trafiłem do baraku nr 3. To właściwie nie były baraki, tylko takie ziemianki. Wystawały około metr nad ziemię i były przykryte niskim dachem. W niektórych tych ścianach były okienka. W środku piętrowe prycze z gołych desek. Podzielono nas na grupy i skierowano do prac porządkowych na terenie obozu. To było głównie czyszczenie latryn i zwożenie drzewa saniami do obozu. Cały czas przesłuchiwało nas NKWD. Na przesłuchaniach utrzymywałem, że nigdy nie należałem do AK i że nie znałem nikogo poza bratem. W Jogle byli już inni więźniowie Polacy. Byli też Węgrzy w swoich mundurach i Polacy z Wileńszczyzny w polskich mundurach sprzed wojny. Był nawet jeden porucznik z Armii Berlinga w baraku szpitalnym. Oddzielny był obóz dla Niemców.

Pierwszą śmierć zobaczyłem w baraku pewnego ranka, potem śmierć nie robiła już wrażenia. Towarzysz, który spał obok, nie dawał znaku życia, ale nie był jeszcze sztywny. Z przodu baraku spał felczer, który robił u nas za lekarza, więc poszedłem, aby go przyprowadzić do tego zmarłego. I – trudno uwierzyć – przecież to trwało chwilę, ale kiedy wróciliśmy – on już był nagi. Mróz zabijał i każda rzecz chroniąca przed mrozem była na wagę złota. Mieliśmy na sobie jesienne ubrania – tak jak nas zaaresztowali. Nie wszyscy mieli płaszcze. Niektórzy tylko swetry lub marynarki, i to już po areszcie i transporcie, bardzo zniszczone. Wypychaliśmy ubrania, czym się dało – starymi ruskimi gazetami, tekturą, nawet korą.

Straszne pluskwy. Aż spalili dwa baraki. Między belkami czarno, kapały.

Ponad ludzkie możliwości

Tuman to nie jest ani mgła, ani zawieja, ani padający śnieg. Tuman to coś jak kasza, pył śnieżny, wata, która zakleja oczy i usta. Nie można swobodnie oddychać i człowiek robi się ślepy, nic nie widać, nawet własnej dłoni, i przychodzi strach, taki nieokreślony strach, że nie wiadomo co dookoła. Dwa razy byłem w tumanie

eprasa.pl df7f188d7b

DO ARMII KRAJOWEJ"

i dwa razy się bałem. Chodziliśmy do pracy dziesiątkami, a każda dziesiątka otoczona była liną trzymaną przez tych, którzy byli na zewnątrz. Gdy tuman przyszedł pierwszy raz, ja właśnie byłem na skraju kolumny i wiedziałem, że następnym razem trzeba być w środku, bo Kałmuki biją na oślep i nie można się nawet uchylić. Oni też się bali, bo każdy się boi w tumanie i popada w jakąś skrajną nerwowość, wiec wrzeszczeli i bili na oślep, aż dostałem kolbą tak mocno, że miałem naderwane ucho.

Jakoś tak w grudniu/styczniu zaczęli nas gnać do pracy przy budowie Kirpicznogo Zawoda. To wtedy chodziliśmy przez tumany. Wychodziliśmy o szóstej rano i dwie godziny marszu. Wyciągaliśmy piasek wyciągarką „lebiodką" po pochylni obok schodów prowadzących w dół, w głąb ziemi. Chodziliśmy też na stację do Borowicz do rozładunku wagonów owsa i kartofli. Raz czy dwa woziłem też trupy – na rzekę tuż za obozem. Rzucane na wóz nagie skostniałe ciała wyglądały jak chrust. Rozkopywaliśmy śnieg na rzece i powstawała prowizoryczna mogiła, a latem rzeka zabierała ich ze sobą. To była rzeka Msta.

W lutym przeprowadzono selekcję. Trafiłem do kolumny, którą Kałmuki pognały z powrotem do obozu w Borowiczach. Gdy opuszczaliśmy Jogłę, widziałem za drutami mojego starszego brata Czesława, jak stał i na mnie patrzył. Wtedy widziałem go ostatni raz. Przydzielono go do obozu szachtowego, czyli pracy w kopalni w Ustje. Mówiono, że tam można przeżyć trzy miesiące. Czesio nie przeżył.

Chodziliśmy do Purowicz (niedaleko Borowicz), gdzie był czynny zakład kirpiczny, czyli cegielnia. Kałmuki na nartach z psami. Wydobywaliśmy i ładowaliśmy glinę do wózków na kolejce linowej. Lepiej było ładować, czyli być na początku, bo ta kolejka linowa była bardzo niestabilna i wózki często spadały na pracujących ludzi. To było bardzo niebezpieczne. Wiosną pogonili nas na „lesospław". Na rzece była wielka zapora z drewna, które zwożono tam zimą i zwalano na lodzie. Wiosną trzeba było wyciągać to drzewo klamrami wbijanymi w bale i bosakami. Nie wiem, ile stopni miała woda, ale była bardzo zimna. Trzeba było uważać. Pracowaliśmy w brygadach po 10–12 osób. Układaliśmy te bale w sągi po półtora metra wysokości i na koniec dnia malowali wapnem od góry, żeby znać było normę. Raz – tylko jeden raz, ale to już, gdy pracowałem ponownie w Jogle, to na koniec takiej pracy dostałem „pajak", czyli premię za wykonaną normę. To była szklanka ugotowanego suchego grochu. Podzieliłem ją na 12 części. Przed sformowaniem kolumny do powrotu do obozu rwaliśmy pokrzywę, żeby ją w obozie ugotować i zjeść.

Obozowy krawiec

Potem znowu przeniesiono mnie do Jogły na kirpicznyj zawod i lesospław. Ale wtedy byłem już bogaty, bo znalazłem kawałek drutu. Nosiłem go kilka dni za podszewką, ale ponieważ spotykały nas rewizje, to znalazłem mu skrytkę za barakiem. Ukryłem w ziemi i tylko ja wiedziałem, gdzie jest zakopany. I szukałem odpowiednich kamieni. Potem nocami zacząłem szlifować. To zajęło kilka dni. Kiedy już miałem igłę, powstał problem, jak w niej zrobić dziurkę. Wreszcie dowiedziałem się, że u Węgrów (w obozie „węgierskim") jest zegarmistrz i może on wymyśli, jak to zrobić. Faktycznie – zgodził się zrobić dziurkę, za całą dzienną porcję chleba. To było ok. pół kilo, ale dokładnie i tak nigdy nie było, bo w Jogle jak kroili chleb i ważyli, to odważnikiem (był jeden) i kamieniami. Nie mogłem oddać jednorazowo takiej porcji, bo to było jedyne nasze dzienne danie poza wieczorną zupą, która składała się głównie z wody i obierek, czasem z kawałkiem kartofla, więc odkładałem po trochu przez tydzień, ale nosiłem przy sobie te suche pajdy. Co jakiś czas, gdy głód był aż do omdlenia, wąchałem te kromki i marzyłem, że je jem. Uzbierałem te pół kilo chleba i dostałem wreszcie tę igłę z dziurką. I tak zostałem obozowym krawcem. Byłem jedyną osobą w obozie, która mogła coś przyszyć, przerobić lub zaszyć. Jedna igła na parę tysięcy ludzi. Nitkę zawsze gdzieś się wypruło i szyłem nocami. Moja usługa też była płatna chlebem, więc jadłem trochę więcej, a mimo to któregoś razu przy bramie przechodniej zemdlałem na wałach drutów. Trafiłem do izby chorych i tam leżałem.

W szpitalu

Po chwilowej poprawie zachorowałem na dystrofię już tak silnie, że nie mogłem chodzić do pracy, i znowu trafiłem do baraku „szpitalnego", a właściwie takiego podobozu, bo to było kilka odgrodzonych drutem baraków. Tu chorzy dzielili się na chodzących i leżących. Leczenia oczywiście nie było żadnego, a jedyna terapia, którą stosowano, polegała na wystawianiu chorych na słońce. Słońce to duże słowo – brzmi prawie jak termin z uzdrowiska, tymczasem było to kilka anemicznych promieni słonecznych, przeświecających nieśmiało przez chmury kilka godzin w ciągu dnia. Kiedy zbliżało się południe, chorzy, którzy jeszcze chodzili, ściągali z prycz tych niechodzących i wynosili przed barak. Tam układano ich pod ścianą, bezpośrednio na piasku i tak leżeli kilka godzin, dopóki słońce nie zaszło. „Chodzący", choć może raczej należałoby powiedzieć „snujący się", w tym czasie zajmowali się pracami porządkowymi i wyplataniem koszyków z wikliny. Po wiklinę chodziliśmy nad rzekę.

Był z nami w tym szpitalnym obozie syn znanego aptekarza ze Lwowa. Ten młody człowiek znał się dość dobrze na ziołach i wynalazł w lesie roślinę, którą gotował i pił z innymi na wzmocnienie. Nazywaliśmy tę roślinę „zajęcze ziele" i wywar z niej był znacznie lepszy od wywaru z pokrzywy i chyba faktycznie pożywniejszy. Roślina ta zrobiła się tak popularna, że wreszcie nawet kierownictwo „szpitala" postanowiło dawać ją do picia tym niechodzącym, na wzmocnienie. Wysyłali nas z wiklinowymi koszami do lasu po „zajęcze ziele", a potem warzono z niego „kampot". Dodawano świeże listki brzozowe, kulki jałowcowe i igły sosnowe. Rozstawiono beczki z tym kompotem.

Kiedy już przestałem wstawać, podawali mi ten kompot. Piłem dużo »

eprasa.pl df7f188d7b

» i myślę, że faktycznie to uratowało mi życie. Byłem jednak jednym z bardzo niewielu przypadków osób, które wyszły z tak ciężkiej dystrofii. Większość niechodzących umierała w baraku lub tam pod ścianą w promieniach anemicznego rosyjskiego słońca.

W kołchozie

Od momentu kiedy zwlokłem się z tej pryczy i zacząłem pomału odzyskiwać siły, minęło kilka dni, a potem mnie oraz sześciu innych więźniów skierowano do pomocy w kołchozie Priliew. Choć to była wiosna, rzekę przekroczyliśmy po lodzie, a potem szliśmy w śniegu pod eskortą jeszcze jakieś siedem kilometrów praktycznie po bezdrożu. Byliśmy tak słabi, że wlekliśmy się cały dzień i dotarliśmy tam już po zmroku. Na nocleg wskazano nam szopę, w której trzymano kołchozową uprząż końską, różne połamane fragmenty maszyn rolniczych, po prostu magazyn. Spaliśmy na resztkach słomy. Rano okazało się, że przed szopą na podwórku znajduje się zamarznięta kupa odpadów po kapuście, głąby i stare liście zmieszane z ziemią – miało to być całe nasze wyżywienie. Siekierą odrąbywaliśmy kawałek tej zmarzliny i gotowaliśmy w puszkach po tuszonce, które dla nas tam pozostawiono. Robiła się z tego błotnista breja, którą można było pić z wierzchu dopiero po ustaniu, gdy na dno puszki opadła już ziemia i piach.

W kołchozie mieszkały w większości stare i kilka młodszych kobiet. Te się ukrywały, i ilekroć pojawiały się Kałmuki, by ich szukać, uciekały i chowały się w lesie. Czasem do nich strzelano, bezpośrednio lub z wieżyczek obserwacyjnych, którymi otoczony był cały teren. Wyłapane kierowano do zupełnie katorżniczej pracy. Ścinały drzewa przy ogromnym mrozie, a potem transportowały je nad rzekę, gdzie budowano z tych bali coś w rodzaju zapory czy tamy, a wiosną wszystko to spławiano z nurtem w dół. Wiele z tych kobiet nie wytrzymywało takiej pracy.

W kołchozie uprawiano kartofle i trzymano trochę inwentarza. Były konie i owce. Dość szybko zorientowaliśmy się, że w sąsiedniej szopie zmagazynowane są ziemniaki przeznaczone do sadzenia. Oczywiście zaczęliśmy je podkradać, co znacznie poprawiło jakość naszej kapuścianej zupy. Z puszek zrobiliśmy tarki i gdy po pewnym czasie każdy z nas miał już swoją „ciocię", to one piekły nam placki z domieszką jakiejś, chyba brzozowej mąki. Pozwalały również korzystać z bani w swoich domach. Do każdego małego drewnianego domku dobudowana była z tyłu bania, czyli niewielkie pomieszczenie z piecem, w którym leżał duży polny kamień. Gdy na rozgrzany kamień lało się wodę, buchała gorąca para, która zmywała z nas brud i zabijała wszy. W małych rynienkach stała ciepła woda, którą również można się było obmyć, ale trzeba było praktycznie kłaść się na podłodze, żeby w ogóle móc oddychać, tak gęsta i gorąca była ta para.

Obok: Bogusław Litwin przy tablicy pamiątkowej w Jogle, nad rzeką Mstą, 2002 r.
Poniżej: pomnik pod Borowiczami, w miejscu „łagru kopalnianego", gdzie zginął Czesław

Nasi stróże pozwalali nam na te kąpiele, ale oczywiście zawsze odprowadzali nas do bani i z powrotem do naszej szopy. Pilnowała nas jedna „żołnierka" pod karabinem, Rosjanka i dwóch inwalidów, pracowników kołchozu, również Rosjan. To już było dużo lepiej niż w Borowiczach, gdzie były prawie same Kałmuki. Predsiedatiel, starszy człowiek z protezą nogi, w sowieckim wojsku był chyba kapralem czy może nawet podporucznikiem, dość że była to już osoba, z którą można się było porozumieć, a nie okrutne sadystyczne bydlę jak Kałmuk.

Kiedyś, to już było latem, bo owce wyganiano w step, odważyliśmy się zabić jedną sztukę, a winę zwalić na wilki, które dość często pojawiały się na skraju lasu. Skórę i części mięsa zakopaliśmy w różnych kryjówkach, a gotowanym mięsem poczęstowaliśmy „starszynę". Zjadł z przyjemnością i powiedział nam, że jeśli jeszcze kiedyś znajdziemy pod lasem rozszarpane ścierwo, to możemy je sobie wziąć. Oczywiście doskonale wiedział, że to nie była robota wilków, ale dzięki temu co jakiś czas „znajdowaliśmy" kawałki mięsa, które mogliśmy zjeść oficjalnie, a nawet poczęstować nasze „ciocie". Latem przywożono nam też czasem chleb z łagru w Jogle.

Zresztą latem nasza pozycja w kołchozie była już zupełnie inna. Przez całą wiosnę pomagaliśmy przy inwentarzu i „ciociom" w domach. Nosiliśmy drewno i wodę. Opiekowaliśmy się końmi, wyreperowaliśmy uprząż i inne sprzęty gospodarskie. Zrobiliśmy lampy do użytku w stodołach i magazynach, bo kobiety wchodziły tam z łuczywami, co groziło pożarem. Te lampy to były po prostu butelki z oberżniętym denkiem, nasadzone na puszkę z knotem, ale jednak dużo bezpieczniejsze.

W jednym z pomieszczeń gospodarskich stała popsuta, od lat nieużywana maszyna parowa służąca do młócenia zboża. Z pięć dni przy niej siedziałem, ale wreszcie udało mi się ją naprawić i uruchomić. Przydała się później bardzo.

Kiedy już spadł śnieg, zaczęliśmy wozić saniami kartofle do magazynu, który był nad rzeką i którego pilnowała jedna „żołnierka". Z pochodzenia była Polką – po babci czy dziadku i dla zachowania pamięci języka polskiego czytała polską książkę. Była to jedyna książka, którą widziałem przez cały czas pobytu w obozie, i traktowała o Sybirze. Miałem ze sobą trochę tytoniu, który dostałem od „cioci" kilka dni wcześniej, ale z braku papieru nie mogłem zrobić skręta. Żołnierka oderwała kawałeczek kartki z książki i dała mi prawie ze łzami w oczach. Przypomniał mi się „Latarnik" Sienkiewicza.

FOT. ARCHIWUM HENRYKA LITWINA

eprasa.pl df7f188d7b

Raz na jakiejś grudzie wywróciły się sanie i kartofle rozsypały się wokół. Mogłem je zostawić, bo byłem sam, niepilnowany i pewnie nikt by się nie zorientował, że trochę brakuje. A jednak zbierałem te kartofle zamarzającymi rękami, bo one były przeznaczone dla obozu w Jogle, a głód budzi w człowieku taki szacunek dla jedzenia.

Powrót do Ojczyzny

Zimą skierowano nas z powrotem do obozu w Jogle. Spotkałem kolegów, którzy myśleli, że już nie żyję. W grudniu zaczęły się wezwania na przesłuchania przez NKWD. Przepytywali o przynależność do AK, do której się nigdy nie przyznałem, ważyli i sprawdzali stan odzieży, a szczególnie buty. Choć miałem 23 lata, nazywali mnie „Starik w białej szlapie", bo broda urosła mi do pasa, a na głowie nosiłem białą czapkę. Napis, który miałem na kurtce „PW" (Plennyj Wojennyj), zmieniono na „I", czyli „Internowannyj".

Wierzyliśmy, że otwiera się szansa powrotu, bo wydano nam stare ruskie płaszcze wojskowe i bluzy tzw. gimnaściorki. Ale w lutym ten płaszcz mi ukradli, a moje buty całkiem się rozpadły. Właściwie to już były klapki, nie buty. Pomógł mi mój komendant plutonu w AK Władek Łoza – siedział potem: w Polsce przez sześć lat – który zdobył sznur i jakoś wszystko owinąłem szmatami i przywiązałem. Wiedziałem jednak, że jeśli zobaczą, że nie mam butów, to nie pojadę. Płaszcz dostałem od Władka Rzeszutka – on miał podwójny, zszyte razem dwa płaszcze, więc odpruł i mi dał jeden, razem z tymi owijaczami do butów.

Wreszcie nad ranem zaczęli nas wyprowadzać po czterdzieści osób. Było ciemno, więc świecili latarkami i sprawdzali jeszcze, jak kto jest ubrany. I przemknąłem się jakoś. A następna grupa pojechała już gdzie indziej, ale nie do Polski. Z Jogły wyszliśmy do Borowicz, gdzie po czterdzieści osób ładowano nas do wagonów przeznaczonych dla dwudziestu. W wagonie po bokach były prycze, w jednym rogu piecyk tzw. tiepłuszka, a w drugim rogu toaleta, czyli dziura w podłodze. Stała też beczka z kompotem i dali nam trochę chleba. Na ten chleb zrobiliśmy torby z kalesonów. Po zamknięciu wagonów rozpoczęliśmy naszą podróż powrotną. Było strasznie zimno. Lód na ścianach wagonu. Spaliliśmy prycze i siedzieliśmy na podłodze, ale część musiała stać, żeby część mogła siedzieć. Toaleta oczywiście zamarzła i w tym miejscu urosła góra odchodów. Fetor straszny. Co jakiś czas pociąg stawał, otwierano wagony i dawano nam piły do ścinania drzewa. Dopiero jak załadowaliśmy odpowiednią ilość tego drewna, pociąg ruszał dalej aż do następnego takiego postoju. Chleb skończył się szybko, ale gorsze od głodu było pragnienie. Przez okienko usiłowaliśmy dostać śniegu do picia, ale wtedy konwojenci strzelali po rękach. Patrzyliśmy przez szpary i mieliśmy wrażenie, że jedziemy do Polski, ale pewności nie było. Podczas postoju w Terespolu zobaczyliśmy dziewczynki w mundurkach szkolnych. Konwojenci otworzyli wagony i pozwolili im podać nam coś do jedzenia. To był chleb i jajka na twardo. Po tym posiłku kilku więźniów dostało skrętu kiszek i większość się pochorowała, więc zamknięto wagony i już nie dopuszczano nikogo. Wreszcie dojechaliśmy do Białej Podlaskiej, gdzie nas wyładowano i skierowano do budynku szkoły. Spaliśmy na strasznie zawszonej słomie i czekaliśmy na papiery. Zrobili nam zdjęcia do dokumentów. Przechodziliśmy przez rynek i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem chleb na targu. Kiedy trzepałem wszy, podeszła do mnie taka babka przekupka z targu i zaprosiła mnie na obiad. Oczywiście nie mogłem skorzystać z zaproszenia, ale dała mi chleba. Następnego dnia dostaliśmy dowody – takie karty ze zdjęciem i napisem, że repatriant z adresem zamieszkania i wolnym przejazdem kolejowym. Dostaliśmy też jakieś małe pieniądze na wyżywienie w podróży. Po mnie przyjechał wujek, który mieszkał w okolicy Białej Podlaskiej i szukał nas – to znaczy mnie i mojego brata już od kilku dni. W domu wujka ciotka spaliła całe moje ubranie. Mogłem się wreszcie umyć i ogolić. Początkowo ciotka karmiła mnie delikatnymi kleikami, ale czwartego dnia po powrocie nie mogłem się powstrzymać i zjadłem pączka. Ból kiszek był tak silny, że myślałem, że umieram. Przeleżałem następne cztery dni. Po tygodniu wybrałem się do domu w Niedziałowicach. Kiedy mamusia otworzyła drzwi – nie poznała mnie. Zapytała: „Słucham?". I dopiero radosny skowyt psa uświadomił nam, że naprawdę wróciłem do domu.

119/0119/F

ZAMIEŃ PDF W NOWY PRODUKT !

W NOWOCZESNY I INTERAKTYWNY MAGAZYN DOSTĘPNY DLA WSZYSTKICH URZĄDZEŃ MOBILNYCH

1 Interaktywna aplikacja mobilna IOS
2 Interaktywna aplikacja mobilna ANDROID

Natywne Aplikacje IOS i Android umożliwią Ci publikację oraz sprzedaż Twoich wydań w największykszych sklepach z prasą na świecie: Sklep Google Play - dla urządzeń z systemem ANDROID oraz sklep AppStore - dla urządzeń z systemem IOS.

Interaktywności

Dodaj dowolną ilości interaktywności w dowolnym miejscu i na dowolnej stronie twojego PDF

REKLAMA

eprasa.pl df7f188d7b

SZANDRUK I DIACZENKO – JEDEN CEL, DWIE DROGI

CHAOS POREWOLUCYJNY 1917 r. SPRAWIŁ, ŻE PRZEDSTAWICIELE NARODÓW PRZEZ WIEKI CIEMIĘŻONYCH PRZEZ CARSKĄ ROSJĘ DOSTRZEGLI SZANSĘ NA WYWALCZENIE NIEPODLEGŁOŚCI

MARIUSZ KWAŚNIAK

IPN Warszawa

Utwierdzić ich w tym przekonaniu mogły tyrady przywódców bolszewickiej rewolty głoszących prawo do samostanowienia narodów dotychczas zniewolonych przez upadające Imperium Romanowów. Kiedy jednak okazało się, że przedstawiciele rozlicznych nacji wybrali dążenie do suwerenności zamiast życia w „proletariackim raju", komuniści błyskawicznie zmienili zdanie w tej kwestii. Jednak nim się tak stało, tysiące byłych carskich oficerów i żołnierzy wyruszyło w rodzinne strony, by walczyć o niepodległość swych ojczyzn. Zryw narodowowyzwoleńczy ogarnął rubieże sowieckiej Rosji, od Finlandii, republik bałtyckich, poprzez Polskę, Kaukaz, po ziemie Azji Środkowej zamieszkane przez Kirgizów, Uzbeków, Tadżyków czy Kazachów.

Ukraińskie wybory

Szczególnie niepokojące dla komunistów były działania niepodległościowe Ukraińców. Bolszewicy zdawali sobie sprawę, że suwerenne państwo ukraińskie to dla nich olbrzymia strata demograficzna i gospodarcza oraz naturalna przeszkoda dla rozprzestrzeniania się światowej rewolucji. Dużo trudniej byłoby budować „ojczyznę proletariatu" bez kopalń, hut i stalowni wschodniej Ukrainy, a nade wszystko bez tamtejszego zboża.

Przewrót bolszewicki sprawił, że ukraińscy oficerowie gremialnie poczęli zasilać szeregi nowo powstałej Armii Czynnej Ukraińskiej Republiki Ludowej. Wśród nich znaleźli się płk Pawło Szandruk

FOT. CAW

Pułkownik Pawło Szandruk i kapitan Petro Diaczenko w 1920 r. stanęli na ochotnika u boku wojsk polskich w wojnie z bolszewikami. Był to początek ich walki o niepodległość ojczystej Ukrainy. To marzenie poprowadziło obu innymi drogami: lojalności i zdrady wobec Polski

eprasa.pl df71188d7b

i sztabskapitan Petro Diaczenko. Żołnierze ci, z niemałym już doświadczeniem bojowym nabytym na frontach I wojny światowej, od pierwszych dni służby w nowej formacji musieli się zmierzyć z dwoma wrogami. Armia młodziutkiego państwa toczyła nieustanne boje zarówno z bolszewikami, jak i białą Armią Ochotniczą gen. Antona Denikina.

Szandruk został dowódcą pociągu pancernego, Diaczenko związał się z kawalerią, m.in. z Konnym Pułkiem Czarnych Zaporożców. Obaj brali udział w tzw. pierwszym zimowym pochodzie armii ukraińskiej, prowadząc walkę partyzancką na tyłach – zarówno białych, jak i czerwonych. Po zawarciu układu Piłsudski–Petlura w kwietniu 1920 r. obaj panowie wraz ze swoimi oddziałami wzięli udział u boku wojsk polskich w wyprawie kijowskiej. Po chwilowym sukcesie kontrofensywa bolszewicka zmusiła jednak wojska sprzymierzone do odwrotu. Heroiczna postawa armii polskiej i jej wschodnich sojuszników (oprócz żołnierzy atamana Petlury po polskiej stronie walczyły m.in. kozackie brygady Jakowlewa i Salnikowa oraz oddział gen. Bułak-Bałachowicza) zatrzymała pochód komunistów na zachód.

Ryskie konsekwencje

Zwycięstwa w bitwach warszawskiej i niemeńskiej wywołały chaotyczną ucieczkę Sowietów, co postawiło rząd polski w uprzywilejowanej roli w czasie rozmów pokojowych w Rydze. Co zastanawiające, delegacja polska skierowana do rokowań składała się w większości z przeciwników koncepcji federacyjnej Piłsudskiego i niepodległości Ukrainy. W Rydze stała się też rzecz, która wprawiła naszych sojuszników w osłupienie. Otóż strona polska uznała za przedstawiciela strony ukraińskiej Ukraińską Socjalistyczną Republikę Sowiecką, twór całkowicie zależny od Moskwy, eliminując w ten sposób z rozmów URL, z którą wiązała Polskę umowa sojusznicza z wiosny 1920 r. Co więcej, jedyną osobą wśród uczestników rokowań władającą językiem ukraińskim w mowie i piśmie był przedstawiciel Polski Leon Wasilewski (ojciec Wandy) i to on sporządził treść traktatu w tym języku (sic!).

Zawieszenie broni, które weszło w życie 18 października 1920 r., sprawiło, że ukraińscy żołnierze mieli dwa wyjścia z sytuacji. Kontynuować samotnie walkę z czerwonymi lub złożyć broń i udać się do ośrodków internowania na terenie Rzeczypospolitej. Ukraińcy, a wśród nich Szandruk, wówczas już generał chorąży, i Diaczenko, awansowany na porucznika, wybrali wyjście honorowe i po przekroczeniu linii frontu uderzyli na bolszewików. Polacy wsparli petlurowców zarówno materialnie, jak i sprzętowo. Niestety, nie na wiele się to zdało. Po początkowych sukcesach przeważające siły sowieckie rozgromiły wojska Petlury. Jedyną szansą na ocalenie życia było przekroczenie granicy na rzece Zbrucz i ucieczka do Polski.

Szacuje się, że do obozów internowania w centralnej Polsce skierowano ponad 19 tys. ukraińskich żołnierzy, w tym ponad 4 tys. oficerów. Warunki w obozach pozostawiały wiele do życzenia. Racje żywnościowe były niewystarczające. Permanentnie brakowało odzieży i obuwia. Pawło Szandruk, który trafił do obozu w Szczypiornie (dziś to dzielnica Kalisza), opisał ten okres w takich słowach: „Mundury naszych ludzi były w łachmanach. Niektórzy oficerowie nie mogli wstać z łóżek, gdyż nie mieli już niczego, co mogliby na siebie założyć" (P. Szandruk, „Siła męstwa", Nowy Jork 1959). Rozumiał on jednak, że nie było to celowe działanie władz polskich, lecz pochodna ogólnej sytuacji w kraju wycieńczonym kolejnymi wojnami. Bardziej bolał go stosunek niektórych polskich oficerów z pogardą odnoszących się do niedawnych sojuszników, jak gen. Stanisław Szeptycki (brat Andrija – metropolity lwowskiego), który do ukraińskiego gen. Wołodymyra Salskiego miał powiedzieć: „Wynoście się z Polski, wy szmaciarze!".

Sytuacja internowanych uległa zdecydowanej poprawie po przewrocie majowym. Piłsudski, który nie ukrywał wyrzutów sumienia, jakie miał względem Ukraińców, zniósł obowiązujący ich stan internowania. Dostali status uchodźców politycznych, stali się wolnymi ludźmi, mogli legalnie pracować, otwierać własną działalność gospodarczą. Co ważne dla bohaterów tej historii, pojawiła się możliwość wstępowania ukraińskich żołnierzy do służby w Wojsku Polskim, na etaty oficerów kontraktowych. Zarówno Szandruk, jak i Diaczenko skorzystali z tej okazji.

W Wojsku Polskim

Pawło Szandruk, jako oficer zweryfikowany w stopniu majora, od 1928 r. do wybuchu II wojny światowej był szefem tajnego Sztabu Wojskowo-Powstańczego Armii URL przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. Zadaniem tej komórki była organizacja armii ukraińskiej u boku Wojska Polskiego, w przypadku agresji Sowietów na Polskę. Werbunek do tych oddziałów miano przeprowadzić wśród emigrantów i Ukraińców zamieszkałych w Polsce. Szandruk dość szybko odnalazł się w nowym środowisku. Był czynnym członkiem ruchu prometejskiego, zrzeszającego przedstawicieli narodów podbitych przez Rosję sowiecką, którego celem było przekształcenie ZSRS w niepodległe państwa narodowe. Bardzo aktywnie działał na polu naukowym. Publikował swoje artykuły w „Bellonie" i „Przeglądzie Wojskowym". Współpracował z Wojskowym Biurem Historycznym, Wojskowym Instytutem Naukowo-Wydawniczym i Instytutem Badania Najnowszej Historii Polski. W 1933 r. opublikował pracę „Wojna ukraińsko-rosyjska 1920 roku w dokumentach", współtworzył także „Encyklopedię Wojskową". W 1936 r. dostał propozycję odbycia studiów w elitarnej Wyższej Szkole Wojennej, którą ukończył w 1938 r. w randze podpułkownika.

Diaczenko, inaczej niż uznany strateg Szandruk, postrzegany był jako typowy żołnierz liniowy. Szanowano jego doświadczenie frontowe oraz tak cenioną w ówczesnych czasach, ułańską fantazję. W 1928 r. dostał przydział do elitarnego 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, gdzie po trzech latach został dowódcą szwadronu. W 1934 r. ukończył Wyższą Szkołę Wojenną jako major dyplomowany i został przeniesiony do 3. Pułku Szwoleżerów Mazowieckich w Suwałkach.

Pomimo że zapisy kontraktów pozwalały ukraińskim oficerom na wypowiedzenie służby w przypadku wojny z Niemcami, ani Szandruk, ani Diaczenko nie porzucili swych obowiązków w chwili wybuchu II wojny światowej. Szandruk pisał w swoich wspomnieniach: „Było dla mnie jednak nie do pomyślenia, żeby nosić mundur polskiego żołnierza i zdjąć go w czasie, kiedy Polska znalazła się w biedzie; w każdym bądź razie nigdy nie brałem tego pod uwagę, również większość spośród naszych oficerów kontraktowych pozostała w szeregach polskich sił zbrojnych i z honorem wypełniła swój obowiązek". »

eprasa.pl df7f188d7b

Wojna!

1 września 1939 r. Pawło Szandruk pełnił obowiązki zastępcy dowódcy 18. Pułku Piechoty. 7 września został wezwany do Warszawy, gdzie otrzymał od gen. Tadeusza Kutrzeby rozkaz sformowania ukraińskiej brygady, co w chaosie wojennym okazało się niemożliwe. Wrześniowa zawierucha spowodowała, że Szandruk został szefem sztabu naprędce utworzonej 29. Brygady Piechoty. Niedyspozycja dowódcy Brygady płk. Jana Bratry sprawiła, że Ukrainiec w praktyce dowodził Polakami podczas krwawej bitwy pod Krasnobrodem (23–26 września). W dużej mierze to dzięki jego odwadze i doświadczeniu żołnierzom 29. Brygady udało się wydostać z okrążenia w chwili, gdy sytuacja wydawała się już beznadziejna. Szandruk, niejednokrotnie walcząc na pierwszej linii, bezspornie wykazał się męstwem, przypłacił to jednak zdrowiem. 26 września został raniony odłamkiem granatu w szyję. Rana pozornie niegroźna, została prawdopodobnie w warunkach frontowych zabrudzona i doszło do zakażenia krwi, wskutek czego do niewoli niemieckiej trafił w bardzo ciężkim stanie.

Diaczenko tuż przed wybuchem wojny został skierowany do Ośrodka Zapasowego Suwalskiej Brygady Kawalerii w Białymstoku i prawdopodobnie nie brał udziału w walkach z Niemcami. Wiadomo jednak, że od połowy września był żołnierzem Rezerwowej Brygady Kawalerii „Wołkowysk". Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski jednostka ta została skierowana do Grodna, by wesprzeć obrońców miasta. Po upadku Grodna żołnierze Brygady toczyli ciężkie walki z bolszewikami w okolicach Sopoćkiń i Kodziowiec, podczas których Diaczenko został lekko ranny. 24 września część zgrupowania przekroczyła granicę z Litwą, gdzie żołnierze, w tym Diaczenko, zostali internowani i umieszczeni w obozach w Birksztanach i Kalwarii.

Dla obu oficerów kampania wrześniowa skończyła się niewolą. Od tego momentu dotychczas niemalże równoległe drogi życiowe bohaterów tego artykułu prowadziły w diametralnie różnych kierunkach.

Dwie drogi

Życie Szandrukowi uratowali polscy lekarze, towarzysze niedoli w obozach jenieckich w Kielcach i we Wrocławiu. Gdy po kilku tygodniach stanął przed niemiecką komisją, stwierdzono, że stan jego zdrowia jest beznadziejny i zwolniono go do domu. Kilkumiesięczna kuracja przyniosła efekty i powoli odzyskiwał siły. Spokój nie trwał jednak długo. W styczniu 1940 r. na skutek denuncjacji został aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu mokotowskim. Oskarżono go o przygotowywanie akcji sabotażowych przeciwko Niemcom. Przetrwał kilkukrotne przesłuchania w owianej ponurą sławą siedzibie gestapo w al. Szucha. Jak sam oceniał, tylko uporowi żony i wstawiennictwu Andrija Liwyckiego, prezydenta Ukraińskiej Republiki Ludowej na emigracji, zawdzięczał to, że po trzech miesiącach opuścił mury więzienia. Wkrótce zaproponowano mu objęcie posady kierownika kina w Skierniewicach, na co przystał. Z kilku relacji wynika, że podczas okupacji współpracował z polskim podziemiem. Zatrudniał Polaków zagrożonych wywózką na roboty do Rzeszy, czego sam niemalże nie przypłacił deportacją do pracy przymusowej. Dzięki dobrym relacjom z konspiracją AK żona Szandruka zdołała uniknąć aresztowania po wkroczeniu na ziemie polskie Armii Czerwonej i po wojnie udało jej się połączyć z mężem.

Gdy sytuacja na froncie przestawała być korzystna dla Niemców, kilkukrotnie składano Szandrukowi propozycję współpracy, włącznie z objęciem funkcji szefa sztabu 14. Dywizji SS „Galizien". Zawsze konsekwentnie odmawiał. Ugiął się dopiero w 1945 r., ale o tym za chwilę.

Zupełnie inaczej potoczyły się wojenne losy Petro Diaczenki. Podczas pobytu w litewskim obozie internowania został objęty przez współwięźniów bojkotem towarzyskim. Uznano go za osobę niegodną miana oficera i usunięto z szeregów Wojska Polskiego. Prawdopodobnie wykryto, że jest współpracownikiem niemieckiego wywiadu wojskowego. Przypuszczenie to wkrótce się potwierdziło, kiedy na prośbę Abwehry został zwolniony z obozu i już z początkiem 1940 r., w randze pułkownika, organizował jej placówkę w Suwałkach. Wykorzystując antykomunistycznie nastawionych Polaków, stworzył siatkę dywersyjno-wywiadowczą, która objęła swym zasięgiem tereny od Wilna przez Grodno po Augustów. Niemcy bardzo szybko docenili jego zaangażowanie i ponadprzeciętne umiejętności, awansując go na zastępcę komendanta szkoły wywiadowczej Abwehry mieszczącej się w byłej willi Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

We wrześniu 1943 r. Diaczenko uzyskał od Niemców zgodę na organizację ochotniczej jednostki, tzw. Ukraińskiego Legionu Samoobrony (w nomenklaturze niemieckiej: 31 Schutzmannschafts-Bataillon der SD). Znów wykazał się zmysłem organizacyjnym. Już po kilku tygodniach bardzo dobrze wyposażony batalion walczył z sowiecką partyzantką na Wołyniu, nie stroniąc przy tym od mordowania mieszkających tam Polaków i Żydów. Wraz z przesuwającym się frontem legioniści Diaczenki znaleźli się na terenie Lubelszczyzny z rozkazem zwalczania polskiego podziemia. Skupili się jednak na zadaniu łatwiejszym: pacyfikacji tamtejszych wsi. W lipcu 1944 r. dokonali rzezi mieszkańców Chłaniowa i Władysławina, zabijając ponad 40 osób i paląc zabudowania. Ich krwawy szlak prowadził przez Warszawę. 400-osobowy oddział ULS walczył z powstańcami i żołnierzami 1. Armii WP na Czerniakowie. Także tu nie obeszło się bez mordowania ludności cywilnej. Pod koniec września batalion przerzucono do Puszczy Kampinoskiej, gdzie uczestniczył w operacji „Sternschnuppe" („Spadająca Gwiazda") mającej na celu likwidację zgrupowania Armii Krajowej „Kampinos".

Na początku 1945 r. podopiecznych Diaczenki włączono w struktury 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien", a on sam otrzymał nowe zadanie. Stanął na czele Brygady Przeciwpancernej „Wolna Ukraina" naprędce sformowanej pod Berlinem z ukraińskich ochotników. Żołnierze Brygady wzięli udział w krwawej, niemalże tygodniowej bitwie pod Budziszynem. Diaczenko ponownie stanął w boju naprzeciw Polaków, tym razem z 2.Armii WP gen. Karola Świerczewskiego. Ukraińcy, wiedząc, że w razie porażki nie mogą liczyć na litość, walczyli z fanatycznym uporem, co niestety skończyło się tragicznie dla polskich żołnierzy nieudolnie dowodzonych przez towarzysza „Waltera".

Niezwykły finał

Wydarzenia ostatnich miesięcy wojny sprawiły, że Szandruk i Diaczenko znów znaleźli się pod jednym sztandarem. W grudniu 1944 r. prezydent Liwycki, darzony niezwykłą estymą przez Szandruka, zdołał przekonać go, że jedyną szansą na uratowanie przed Sowietami

eprasa.pl df7f188d7b

ukraińskich żołnierzy walczących po stronie Niemiec jest objęcie nad nimi dowództwa przez człowieka o nieposzlakowanej opinii. Miał tylko jednego kandydata. W marcu 1945 r. utworzono Ukraiński Komitet Narodowy (UNK) i Ukraińską Armię Narodową (UNA). Na czele obu tworów stanął Pawło Szandruk, który nie ukrywał, że jego głównym celem nie jest kontynuacja walki, tylko uratowanie jak największej liczby ukraińskich żołnierzy. UNK miał być reprezentantem narodu ukraińskiego zarówno przed Niemcami, jak i w kontaktach z państwami koalicji antyhitlerowskiej. Chciano w ten sposób przekonać zachodnich aliantów, że nowo powstała struktura jest w pełni suwerennym organem, nie zaś podmiotem nadal kolaborującym z dogorywającą „tysiącletnią Rzeszą". Jednocześnie w UNA chciano skupić wszystkich Ukraińców służących w formacjach kolaborujących z Berlinem, których liczbę szacowano wówczas na ok. 220 tys. Nowo utworzona armia składała się z dwóch dywizji. Pierwsza oparta była na 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien", druga składała się z żołnierzy Brygady „Wolna Ukraina" i innych mniejszych oddziałów. Jak się łatwo domyślić, dowódcą 2. Dywizji UNA został awansowany do stopnia generała chorążego Petro Diaczenko.

Pomysł z awansowaniem Szandruka na dowódcę UNA był prawdziwym majstersztykiem. W dużej mierze to dzięki jego przyjacielskim relacjom z gen. Władysławem Andersem, dowódcą II Korpusu Polskiego we Włoszech, udało się ocalić ukraińskich żołnierzy przed bolszewikami. Według porozumień jałtańskich alianci zachodni zobowiązali się do wydania stronie sowieckiej wszystkich wziętych do niewoli żołnierzy jednostek złożonych z obywateli ZSRS służących w militarnych i paramilitarnych formacjach wroga. Anders potwierdził jednak posiadanie polskiego obywatelstwa przez ukraińskich żołnierzy w chwili wybuchu II wojny światowej, co pozwoliło obejść zapisy umów sojuszniczych. W innym przypadku podzieliliby tragiczny los oddziałów oddanych w ręce Armii Czerwonej. Ostatecznie Ukraińcy zostali internowani w obozie w pobliżu włoskiego miasteczka Rimini nad północnym Adriatykiem, skąd po dwóch latach rozjechali się po świecie.

Przez całe swoje dorosłe życie obydwaj bohaterowie dążyli do jednego celu: niepodległej Ukrainy. Zadziwiające jednak, jak bardzo różnymi podążali drogami. Szandruk, kierując się kodeksem honorowym i będąc naocznym świadkiem tego, co Niemcy wyprawiają na terenach okupowanych, nigdy nie zhańbił się kolaboracją. Diaczenko, podążając w sensie dosłownym za maksymą „po trupach do celu", zupełnie nie przejmował się tym, czyje były to trupy: Polaków, Żydów czy Rosjan. Pierwszy był zawsze wdzięczny Rzeczypospolitej za to, że podała mu pomocną dłoń wtedy, kiedy potrzebował tego najbardziej, czego najlepszym przykładem są słowa z jego listu skierowanego do mjr. Jerzego Ponikiewskiego: „Za Polskę się biłem, bo uważałem, że przez to biję się za Ukrainę [...]. A gdy zajdzie potrzeba bić się jeszcze raz za Polskę – będę! Z tych samych powodów. A poza tym mówiłem już Panu Majorowi, że Polska była dla mnie Drugą Ojczyzną".

Drugi za nic miał sentymenty, przysięgi, braterstwo broni. Zmieniał sojusze, kiedy tylko było mu wygodnie. W wojennym szale był w stanie popełniać wszelkie bestialstwa, byle osiągnąć swój cel. Ich postawę życiową najlepiej obrazują odznaczenia, którymi zostali uhonorowani. Diaczenko otrzymał niemiecki Krzyż Żelazny za udział w bitwie pod Budziszynem. Szandruk – Virtuti Militari za postawę pod Krasnobrodem.

Najsmutniejsze jest jednak to, że w 2015 r., decyzją ukraińskiego parlamentu, obchodzono uroczyście na szczeblu państwowym 120. rocznicę urodzin Petra Diaczenki, włączając go tym samy do panteonu bohaterów narodowych. O Pawło Szandruku, człowieku, który zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie mógłby uchodzić za bohatera, nie słyszał niemalże nikt.

Szef SS Heinrich Himmler wizytuje w maju 1943 r. oddziały ukraińskich ochotników 14. Dywizji Waffen-SS „Galizien"

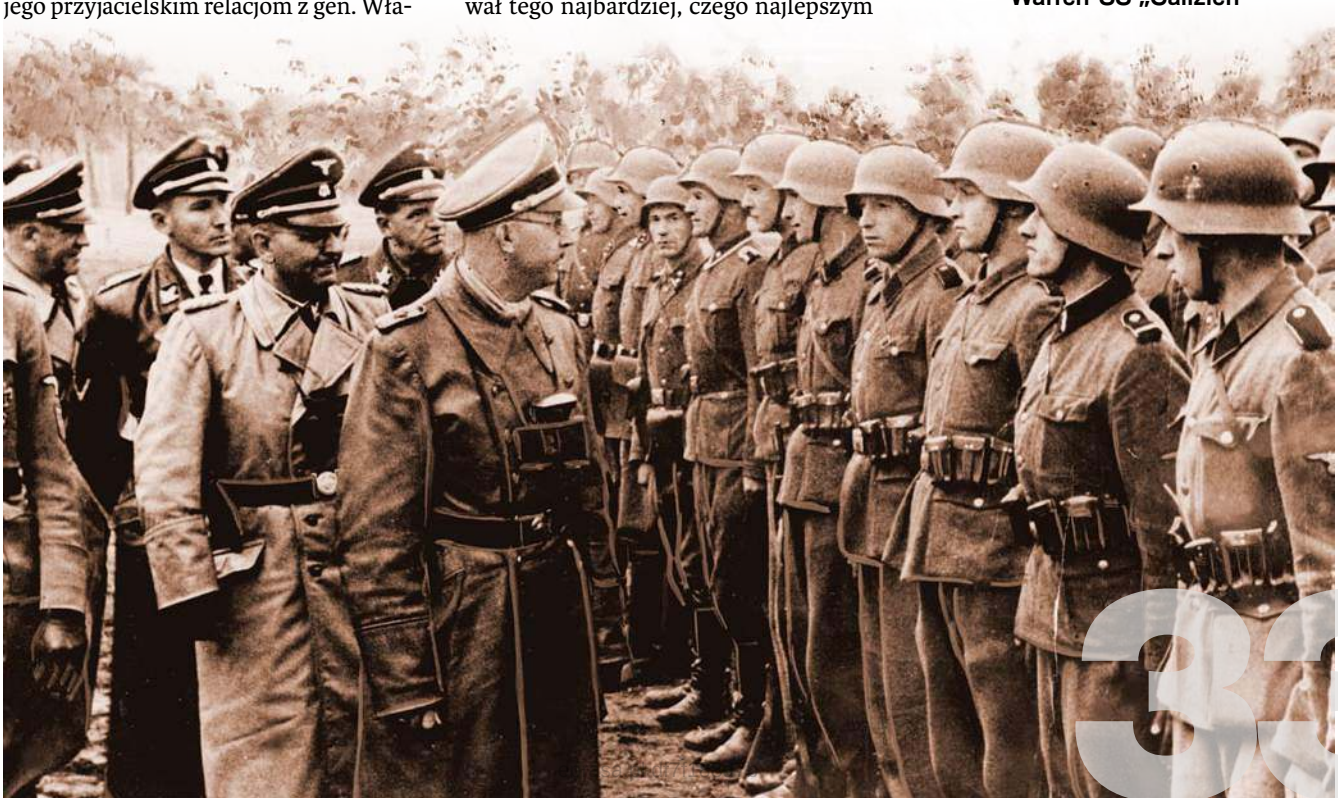

FOT. NAC

ZYGMUNT ZIELIŃSKI

LIBERALIZM TOTALITARNY I DEMOKRACJA MAFIJNA

„Zsekularyzowany liberalizm" ma swoje korzenie w Kanadzie. Kulminację osiągnął 4 listopada 2015 r., gdy premierem kraju został lider Liberalnej Partii Kanady Justin Trudeau (na zdjęciu w 2016 r. w czasie marszu aktywistów ruchu LGBT)

eprasa.pl/df7f188d7b

NIE BĘDĘ WYJAŚNIAĆ ZAPEWNE INTRYGUJĄCEGO TYTUŁU, GDYŻ TREŚĆ TEGO ESEJU NA TYM WŁAŚNIE BĘDZIE POLEGAĆ

Odwołuję się do dwóch artykułów: Raymonda J. de Souzy „My friend knew well the danger of intolerant liberalism", „National Post", Toronto 10 stycznia 2019; i Matthew Cullmana Hoffmana „Jesuit-run Georgetown U prohibits »microaggressions« against homosexuals and transsexuals", LifeSiteNews 9 stycznia 2019. Ks. de Souza pisze w podtytule do swego tekstu: „Dziwaczny i nietolerancyjny liberalizm stał się zagrożeniem zarówno dla religii, jak i kultury, jak to jest obecnie w Kanadzie". Drugi z cytowanych tu autorów, Matthew C. Hoffman, informuje, że na prowadzonym przez jezuitów Uniwersytecie Georgetown zakazano wszelkich aktów godzących w homoseksualizm i transseksualizm, a także we wszystkie inne zboczenia w przedmiocie płciowości. Użycie słowa „zboczenie" nie ma tu konotacji pejoratywnej. W encyklopedii PWN określane jest jako „zaspokajanie popędu płciowego w sposób odbiegający od normy".

Niebezpieczeństwo wprowadzania do obiegu publicznego zasad agresywnego sekularyzmu, mającego wyrugować z kodeksu moralnego wszelkie zasady konserwatywne, a konkretnie mówiąc, moralność opartą na religii, na co wskazuje ks. de Souza, nie pojawiło się nagle ani nieoczekiwanie. Autor odwołuje się do znanego socjologa, zmarłego w 2009 r., ks. Richarda Johna Neuhausa, kanadyjskiego konwertyty z luteranizmu i w XX w. niekwestionowanego autorytetu w dziedzinie problematyki społecznej i etycznej, publikującego najczęściej na łamach założonego przez siebie w 1991 r. pisma „First Things". Jako proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia NMP na Manhattanie był jedną z najbardziej wpływowych osób w świecie anglosaskim.

Religia poza tolerancją

Otóż ks. Neuhaus, przez długie lata pastor ewangelicki, konwertujący dopiero w 1990 r., był szczególnie uwrażliwiony na agresję ideologii, które w XX w. siłą torowały sobie drogę do dominacji w życiu publicznym i do panowania nad ludzkimi sumieniami. Były to totalitarny komunizm i takiż faszyzm, oba przybierające postać quasi-religii, a zarazem zakładające fundament ateistycznego totalitaryzmu. Znamienne było jakże odkrywcze spostrzeżenie ks. Neuhausa, że w nurcie tych groźnych ideologii czaił się aliberalny (ang. illiberal) sekularyzm, przemawiający rzekomo w imię liberalizmu, ale w istocie starający się wyeliminować wszelkie wartości transcendentne, zwłaszcza religijne, z życia publicznego. Tradycyjna religijność w tym rozumieniu jest przedstawiana jako groźny zabobon. Neuhaus obserwował proces dojrzewania owego „totalitarnego liberalizmu" w Kanadzie, gdzie miał swoje korzenie. Szczególnie śledził wpływ niebezpiecznych idei, pozornie sobie przeczących, ale w gruncie rzeczy zmierzających do tego samego celu, czyli do wypromowania laickiego porządku społecznego i etycznego, który w imię odpowiednio spreparowanych haseł wolnościowych uda się narzucić ogółowi. Neuhaus zmarł, zanim Justin Trudeau został premierem, ale przewidział, że ten w imię rzekomych zasad liberalnych, a w gruncie rzeczy nacechowanych bezwzględną nietolerancją, narzuci ogółowi porządek etyczny zasługujący na miano „zsekularyzowanego liberalizmu". Z liberalizmem, jaki znamy jeszcze z XIX w., a nawet XX, nie ma on nic wspólnego, gdyż przyznaje swobodę tylko tym zjawiskom, które wolne są od jakiejkolwiek religijności. Neuhaus pojmował liberalizm inaczej. Już jako młody seminarzysta luterański sformułował swe credo w tej materii: „W kolejności, jakiej wymaga waga następujących stwierdzeń, są to – prawowierność religijna, zachowawczość w dziedzinie kultury, polityczny liberalizm i ekonomiczny pragmatyzm". Nic dziwnego, że kierując się takimi zasadami, szukał czegoś bardziej stabilnego niż Kościół luterański.

LIBERALIZM NIE TYLKO NIE OZNACZA WOLNOŚCI, LECZ ZNIEWOLENIE POD PŁASZCZYKIEM OBOWIĄZKOWEJ MODERNIZACJI W IMIĘ RZEKOMEGO DOBRA LUDZKOŚCI

Pod groźbą utraty godności człowieka

Ks. Neuhaus był i pozostał liberałem, ale właśnie dlatego przestrzegał przed tym, co nazwał „aliberalnym sekularyzmem". To jest właśnie rodzaj ładu, jaki chce wprowadzić dziś lobby europejskie wyzbyte z wartości, na fundamencie których powstała Europa i które są gwarancją jej suwerenności, innymi słowy bytu. Idąc za cytowanym tu ks. de Souzą, można streścić pogląd Neuhausa na obecną rzeczywistość następująco: Neuhaus uważał, że „obecny liberalny polityczny porządek wymaga osadzonych w religii zasad i kulturalnych wartości, jakich sama polityka dać nie może. Zatem prawowierność religijna i konserwatyzm kulturowy są sprzymierzeńcami liberalnego porządku politycznego". Trzeba by dodać, że sekularyzm rzekomo liberalny, a w istocie całkowicie nietolerancyjny wobec zasad przeciwnych, jakie sam głosi, jest antytezą poglądów Neuhausa.

Obecnie zasady te są w pogardzie. Liberalizm polityczny stał się obszarem, w którym religia i kultura zachowawcza ustępują celom politycznym i środkom do ich realizacji. Krótko mówiąc, tylko powrót do sprawdzonych wartości i odejście od wypreparowanego jako środek narzucania określonych idei liberalizmu, niemającego nic wspólnego z owym „liberum", od którego pojęcie to pochodzi, jest w stanie odwrócić od świata groźbę utraty podstawowych wartości broniących człowieka, jego życia i godności. »

eprasa.pl df7f188d7b

Nie przebierając w środkach

Pewną ilustracją obrazującą działania tego rodzaju liberalizmu, przed którym ostrzega nas ks. Neuhaus, jest decyzja władz jezuickiego, zatem należy przyjąć, katolickiego, uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie DC ze stycznia 2019 r., o której traktuje wyżej wymieniony artykuł Matthew C. Hoffmana. Uchwała uniwersytetu dozwala na anonimowe donoszenie na każdego, kto powiedziałby cokolwiek obraźliwego przeciwko cieszącym się statusem mniejszości grupom czy osobom, traktując to jako „mikroagresję" (microaggression). O jakie mniejszości w tej enigmatycznej uchwale chodzi? Konkretnie o ludzi manifestujących swą orientację seksualną lub podobną identyfikację, mogących stanowić cel krytyki dla chrześcijan, mahometan, żydów i wszystkich, którzy odrzucają ideologię LGBT.

Cytowany tu autor zaznacza, że definicja pojęcia „mikroagresja" jest niejasna i ogólnikowa. Okazuje się, że wirtualnie każdy sposób zachowania lub nawet tylko okoliczności zachodzące w jakimś środowisku można uznać za akt obraźliwy. Może to zatem być stwarzanie okoliczności świadomie lub nieświadomie zdradzających wrogie, pretensjonalne lub negatywne, lekceważące i ubliżające zachowanie lub słowa, dodając, że utrwala to uprzedzenia funkcjonujące w danej społeczności i jest na porządku dziennym. Władze uniwersytetu robią wszystko, żeby wprowadzonym procedurom skierowanym przeciwko owej microaggression zapewnić skuteczność, dlatego instruują, jak dokonywać anonimowych doniesień, inaczej denuncjacji. Dają przykłady tego, co należy uznać za taką agresję. Jest nią choćby powiązanie wykrycia u kogoś AIDS z tym, że pacjent jest homoseksualistą. Zaangażowanie władz uniwersyteckich w najdalej idące zwalczanie swobody wypowiadania się w powyższych kwestiach dowodzi chęci wskazania na priorytet ideologii i praktyk budzących zastrzeżenia nie tylko chrześcijaństwa, ale w ogóle religii monoteistycznych, dla których zasady Dekalogu są podstawowym prawem moralnym. Zatem władze katolickiego, przynajmniej z nazwy, uniwersytetu poczuwają się do daleko idącej ochrony wszelkich opcji w dziedzinie seksualnej, sprzecznych z zasadami religijnymi, a poza tym naruszają swobodę wyrażania opinii o istniejących zjawiskach, czego wcale nie wymaga tolerancja wobec osób o skłonnościach odbiegających od normy. Można więcej powiedzieć – mianowicie, że werdykt uniwersytetu podważa w ogóle istnienie takiej normy, co należałoby uznać za coś więcej niż odosobniony pogląd subiektywny, gdyż narusza to także jednoznaczny przekaz zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu (zob. Księga Kapłańska 18, 22, 20, 13, Rzym. 1, 26-27).

Mikro- i makroagresja

Uchwała uniwersytetu Georgetown wychodzi daleko poza granice zalecanej tolerancji. Jest ona represyjna w stosunku do większości studentów, a brak jednoznacznego zdefiniowania istoty „mikroagresji" nakłada na ogół kaganiec w stosunku zarówno do postaw, jak i wypowiedzi. W dodatku dopuszczanie anonimowych donosów otwiera drogę do kolosalnych nadużyć, czego świadkami jesteśmy także na polskich uczelniach. W interesie mniejszości ogranicza się zatem wolność w szerokim odniesieniu. Innymi słowy katolicka uczelnia nie tylko osłania, ale niejako podpisuje się pod sposobem bycia dalekim od zasad oficjalnie wyznawanej religii. Jest to bardzo czytelna akceptacja tego, co ks. Neuhaus określił jako „aliberalny sekularyzm". „Aliberalny", czyli bardziej radykalny niż „liberalny", gdyż wyzbyty nawet tych hamulców, które ograniczają liberalizm. Do nich należy choćby demokracja, o której tu nawet wspominać nie wypada. Jest to także „sekularyzm" czystej wody, gdyż nie odwołuje się do żadnych racji transcendentnych.

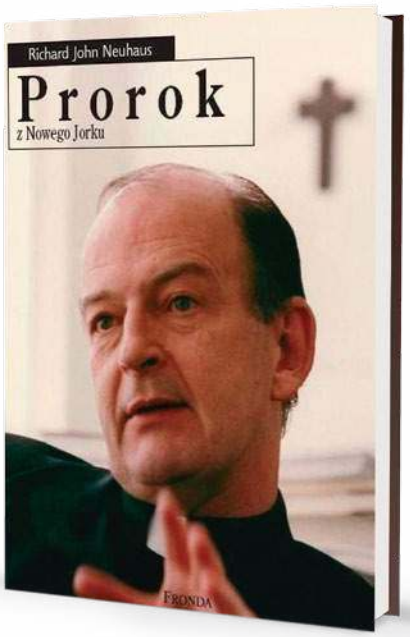

Odkryciem w publicystyce i książkach ks. Richarda Johna Neuhausa początku XXI w. było spostrzeżenie, że na Zachodzie narodził się aliberalny (ang. illiberal) sekularyzm

W szerszym spojrzeniu na takie zdarzenia, jak wyżej opisane, mamy dyskryminację coraz bardziej przyjmującą postać niczym nieskrępowanej agresji wobec wszystkiego, co w życiu publicznym, a nawet prywatnym odwołuje się do religii. Uczniom katolickiej szkoły średniej w Covington (stan Kentucky) uczestniczącym w marszu na rzecz życia w Waszyngton DC grozi usunięcie ze szkoły. Zaatakowały ich media mainstreamowe za rzekome ekscesy rasistowskie. Katolicy w stanie Nowy Jork domagają się ekskomuniki dla gubernatora stanu, Andrew Cuomo, który uważając się za katolika, oświadczył, że wprowadzone w stanie Nowy Jork prawo dopuszczające aborcję aż do dnia urodzin jest historycznym zwycięstwem nowojorczyków i „naszych postępowych wartości".

To, co kiedyś przepowiadał ks. Neuhaus, dziś dojrzewa na naszych oczach. Sekularyzm i bezwzględna walka z religią jako warunek jego zakorzenienia w świecie. Dzieje się tak, ponieważ wznosi się obecnie nowoczesną wieżę Babel. Pomieszanie języków. Słowa zatraciły swoje znaczenie. Liberalizm nie tylko nie oznacza wolności, ale zniewolenie pod płaszczykiem obowiązkowej modernizacji w imię rzekomego dobra ludzkości. Demokracja już nie respektuje woli powszechnej, gdyż wyrażają ją samozwańczy rzecznicy owego biernego ogółu. Wartości, do których odwołują się egzekutorzy nazwanej tu wolności i demokracji, są antywartościami, gdyż niszczą coś, czego nie potrafią niczym zastąpić, nie licząc fałszywych obietnic. Najlepszym przykładem jest Europa, która powołuje się na bliżej nieokreślone „wartości europejskie", a ochoczo karczuje własne korzenie.

Największym paradoksem naszych czasów jest jednak sekularyzm będący „ewangelią śmierci", a sąsiaduje i prosperuje po sąsiedzku z człowiekiem, który w globalnym wymiarze wierzy w Boga Żywego i Prawdziwego.

eprasa.pl df7f188d7b

1940 SOWIETÓW FINAŁ CIĘŻKICH ZMAGAŃ Z KALENDARZEM

PAWEŁ SKIBIŃSKI

Wszyscy pamiętamy, że w 1940 r. nazistowskie Niemcy pokonały i zajęły Francję, Belgię, Holandię, Norwegię i Danię, sowiecka Armia Czerwona opanowała kraje nadbałtyckie. Nie udało się jej tego samego zrobić z Finlandią, która w krwawej wojnie zimowej obroniła swoją niepodległość. W tym samym roku NKWD konsekwentnie rozwiązywało też problem Polski, mordując naszych oficerów w Katyniu, a Heinrich Himmler w III Rzeszy w tym samym celu powołał do życia Konzentrationslager Auschwitz, do którego skierowani zostali Polacy z Tarnowa.

Jednak w tym samym czasie Związek Sowiecki żył jeszcze jednym, znacznie bardziej prozaicznym problemem – kolejną, czwartą już od czasów zwycięskiej rewolucji bolszewickiej reformą kalendarza. 26 czerwca 1940 r. Rada Najwyższa Kraju Rad przywróciła bowiem kalendarz gregoriański z tradycyjnym, siedmiodniowym tygodniem.

Po raz pierwszy, w styczniu 1918 r., sam Włodzimierz Lenin jako przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych zadekretował zmianę rosyjskiego kalendarza; dotychczas obowiązujący w tym kraju, właściwy dla społeczeństw prawosławnych, kalendarz juliański został zastąpiony swoim „bardziej cywilizowanym" gregoriańskim odpowiednikiem.

Jednak zmiana ta nie wystarczyła rządzącym Rosją bolszewikom. Od 1927 r. wśród decydentów dyskutowano zmianę kalendarza na rewolucyjny. Początkowo myślano o sięgnięciu po kalendarz rewolucyjny francuski, jednak wkrótce władze dopracowały się rodzimej propozycji. Przedstawił ją Jurij Łarin (właśc. Michaił Łurje), samozwańczy bolszewicki ekonomista, zasłużony w poprzednich latach we wprowadzaniu komunizmu wojennego. Łarin zaproponował wprowadzenie tzw. nieprerywki, tj. pięciodniowego tygodnia pracy, który zapewniłby Związkowi Sowieckiemu stały cykl produkcyjny.

W nowym sowieckim „tygodniu" poszczególne dni były oznaczane różnymi kolorami, a pracowników podzielono na pięć grup, z których każda odpoczywała na zmianę co pięć dni. Miało to zapewnić nieprzerwane funkcjonowanie sowieckiej gospodarki, a jednocześnie dać sowieckiej klasie pracującej więcej dni wolnych, niż mieli robotnicy na Zachodzie. Nie przyjęła się jednak propozycja nazwania poszczególnych dni tygodnia nowymi nazwami – Związków Zawodowych, Sierpa, Młota, Lenina, Komsomołu czy Partii.

Aby usprawnić obliczenia, zmodyfikowano także miesiące – wyrównując je wszystkie do 30 dni. Pozostałe dni – jeden w styczniu (dzień Lenina), dwa w maju (dni pracy i Kominternu) i dwa w listopadzie (upamiętniające rocznicę rewolucji) – miały stanowić wspólne święta całej klasy robotniczej. Zaczęto też liczyć lata, począwszy od 1917 – tj. od roku wybuchu rewolucji bolszewickiej, co jednak zastosowano tylko pomocniczo, oprócz tradycyjnego sposobu liczenia kolejnych lat.

Zdaniem pomysłodawców wraz ze zmianą kalendarza miała się poprawić wydajność produkcji, a lud pracujący powinien być jeszcze bardziej zadowolony z sowieckiej rzeczywistości. Wydaje się jednak, że ważniejszym powodem przyjęcia tego ryzykownego rozwiązania była chęć radykalnego zerwania z chrześcijańską tradycją i uniemożliwienia Rosjanom świętowania niedzieli.

Po wprowadzeniu tak radykalnych zmian bardzo szybko jednak się okazało, że produkcja, zamiast rosnąć, spadała, zmiany kalendarza zakłóciły bowiem zwyczajowy cykl funkcjonowania społeczeństwa, a ludność była bardzo niezadowolona, ponieważ dni odpoczynku przypadały dla poszczególnych członków rodzin w różnych dniach nieprerywki.

W tej sytuacji sowieccy planiści dokonali więc odpowiedniej korekty przyjętych dotąd rozwiązań i w 1931 r. wprowadzili zamiast pięciodniowego sześciodniowy tydzień pracy. Wszyscy sowieccy pracownicy mieli pracować pięć dni, a szóstego wypoczywać. Rytm ten nadal skutecznie sprzeciwiał się znienawidzonemu przekazowi biblijnemu, natomiast miał wyeliminować niedostatki niepopularnej nieprerywki. Dniami wolnymi od pracy miały być 6., 12., 18., 24. i 30. dzień każdego miesiąca. Także dni 31. były wolne. Dni tygodnia nie nazywano, tylko numerowano, choć równolegle pozostało w użyciu tradycyjne nazewnictwo – obecne np. na winietach sowieckich gazet.

Jednak szestidniewka – jak odpowiednio nazwano nowy model „tygodnia" – także się nie przyjęła. Tym razem główną przyczyną była postawa sowieckiej ludności wiejskiej, która nie chciała się dostosować do zadekretowanego nowego rytmu życia i odpoczywała w niedzielę, a przymuszana przez urzędników, odpoczywała zarówno w dni nakazane przez państwo, jak i w dzień Pański. Niemniej ta forma kalendarza utrzymała się nieco dłużej.

W 1939 r. niezrażony dotychczasowymi kłopotami z reformami kalendarza Sowiecki Związek Bezbożników postanowił się zająć niezmienionym dotąd nazewnictwem miesięcy. Zaproponował nazwy stosowne do nowej rewolucyjnej rzeczywistości. Swoje miesiące mieli otrzymać Marks (luty), Engels (październik), Lenin (styczeń) oraz Stalin (grudzień). Jedynym miesiącem, który ostał się reformatorskiemu zapałowi bezbożników, był maj, być może dlatego że w tym miesiącu obchodzone było święto pracy.

Jednak kolejne propozycje reformy kalendarza nie wzbudziły już entuzjazmu zniecierpliwionych stalinowskich decydentów politycznych. Jak wspomnieliśmy, w czerwcu 1940 r. sowiecki parlament przegłosował porzucenie eksperymentu kalendarzowego i powrót do „leninowskiego" pomysłu – normalnego kalendarza gregoriańskiego.

Główny argument, na który powołano się tym razem, był ten sam, o którym mówił Łarin w 1929 r. – konieczność zwiększenia produkcji. Tym razem poprzez zwiększenie liczby dni pracy. W ten sposób po raz kolejny system sowiecki bohatersko rozwiązał problem, który poprzednio sam wywołał...

eprasa.pl df7f188d7b

Kwiecień

MICHAŁ KOMUDA

1 IV 1579 Król Stefan Batory podjął decyzję o przekształceniu wileńskiego kolegium jezuickiego w Akademię i Uniwersytet Towarzystwa Jezusowego. Wszechnica powstała dzięki uzyskaniu zgody papieża Grzegorza XIII i była drugą uczelnią wyższą na terenie I Rzeczypospolitej.

3 IV 1849 Sto siedemdziesiąt lat temu na emigracji w Paryżu zmarł Juliusz Słowacki. Doczesne szczątki wieszcza narodowego początkowo złożono na cmentarzu Montmartre. Dopiero w 1927 r. na polecenie marszałka Józefa Piłsudskiego zostały przewiezione na Wawel.

gen. Franciszek Kleeberg dekoruje konia

5 IV 1941 W wieku 53 lat zmarł w niemieckiej niewoli Kawaler Orderu Virtuti Militari gen. Franciszek Kleeberg. We wrześniu 1939 r. dowodził słynną Samodzielną Grupą Operacyjną „Polesie", z którą stoczył z Niemcami ostatnią bitwę wojny obronnej pod Kockiem.

6 IV 1814 Pokonany przez siły koalicji i porzucony przez swoich dowódców Napoleon Bonaparte złożył podpis pod aktem abdykacji. Dzień wcześniej gen. Wincenty Krasiński w liście do Cesarza napisał: „Sire, marszałkowie zdradzili Cię! Polacy nie zdradzą Cię nigdy! Wszystko może się zmienić, ale nie zmieni się nasze przywiązanie".

8 IV 2009 Dziesięć lat temu na zboczach góry Dhaulagiri w Nepalu zginął Piotr Morawski. Polski himalaista i publicysta w chwili śmierci miał niespełna 33 lata i zdobytych sześć ośmiotysięczników.

10 IV 1955 W wielkanocną niedzielę więziony kardynał Stefan Wyszyński zanotował w prowadzonych przez siebie „Zapiskach więziennych" obserwację dotyczącą przedstawicieli reżimu komunistycznego: „Ludzie, których pozbawiono radości religijnych, siedzą jak ptaki z podwiązanymi skrzydłami. Żal nam tych ludzi. Zaryzykowałem powiedzieć dziś zastępcy, który mnie odwiedził: »Życzę Panu wiele pogody i radości«. – Odpowiedział szeptem: »Dziękuję«".

14 IV 1809 Na terytorium utworzonego niespełna dwa lata wcześniej Księstwa Warszawskiego wkroczyły wrogie siły arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Pomimo uderzającej przewagi w liczebności wojsk i sprzęcie Austriacy nie tylko przegrali całą kampanię, ale sukcesy zwycięskiego księcia Poniatowskiego zaowocowały uzyskaniem terenów Nowej Galicji wraz z okręgiem zamojskim i Wieliczką.

eprasa.pl df7f188d7b

4 IV 1914

W Warszawie przyszedł na świat dowódca bodajże najbardziej znanego oddziału powstania warszawskiego, legendarnego Batalionu „Zośka", harcmistrz kpt. Ryszard Białous „Jerzy". Warto jednak pamiętać, że również powojenne losy świadczyły o wyjątkowości jego osoby.

Ze stołecznym harcerstwem związał się, kiedy był 10-letnim chłopcem. W rodzinnym mieście zdał maturę, następnie uzyskał absolutorium na wydziale architektury Politechniki. Jednocześnie po odbyciu kursu w Szkole Podchorążych Rezerwy Saperów w Modlinie wziął udział w 1938 r. w operacji zajmowania Zaolzia. Następnie w marcu kolejnego roku został zmobilizowany. Wojna zastała go jako dowódcę plutonu w batalionie saperów 8. Dywizji Piechoty w Modlinie. W toku działań obronnych jego oddział dotarł do Warszawy. Wtedy po raz pierwszy przyszło mu walczyć na ulicach swojego miasta. Dziewiętnastego dnia wojny został ciężko ranny w nogi oraz twarz i wykluczony z dalszej walki. Jeszcze w trakcie rekonwalescencji związał się z konspiracyjnym harcerstwem oraz Służbą Zwycięstwu Polski. Jak wspominał Stanisław Broniewski „Orsza": „Gdy tworzył się program »Szarych Szeregów« [...] stał się głównym doradcą [naczelnika] Floriana Marciniaka w sprawach dotyczących wojska". Po powrocie do zdrowia, ze względu na swoją specjalizację wojskową, Białous dowodził patrolem saperskim, a następnie patrolem Związku Odwetu, który docelowo wszedł w skład Kedywu AK. Jednocześnie Aleksander Kamiński „Kamyk", charakteryzując rolę, jaką odegrał „Jerzy w gronie najstarszych harcerzy, podkreślał: „Jemu jako organizatorowi Grupy Szturmowe zawdzięczały bardzo wiele". To właśnie Białous stanął na czele utworzonego z GS-ów Oddziału Specjalnego „Jerzy", który docelowo przyjął nazwę Batalionu „Zośka". Jeden z jego żołnierzy, Henryk Kozłowski „Kmita", po latach ocenił, że „Ryszard Białous w trudnych czasach konspiracji potrafił być jednocześnie wojskowym i harcerzem – dowodzić i wychowywać ...". Latem 1944 r., od pierwszych godzin powstania warszawskiego, „zośkowcy" prowadzili walki na Woli. „Jerzy" zaznaczał, że miał wówczas możliwość dowodzenia jednym z najlepiej uzbrojonych powstańczych oddziałów. Jednak również gorzko wspominał: „Łatwo odróżniamy nasze kaemy od kaemów przeciwnika, bo choć jedna i druga strona używa tej samej broni, to serie przeciwnika są długie i dowodzą bogactwa amunicji, podczas gdy nasze są jak szczeknięcia złego psa – krótkie i zjadliwe". Jego podkomendni, okrywając się sławą, cały czas byli na pierwszej linii, a on sam otrzymał Order Virtuti Militari i wziął udział w dwóch spektakularnych przebiciach. Niestety w trakcie walk na Starym Mieście i Czerniakowie zarówno batalion, jak i cała brygada „Broda 53", nad którą objął dowództwo, zostały zdziesiątkowane. Po powstaniu nastał czas niewoli niemieckiej, a następnie życia na wygnaniu. Ryszard Białous zamieszkał w Patagonii. Z dala od ojczyzny zasłynął jako nadzorca budowy lotniska, minister ds. planowania i rozwoju, dyrektor generalny zarządu dróg i energii elektrycznej, dyrektor uzdrowiska oraz znawca rdzennej kultury ludowej.

11 IV 1939

W Berlinie, dziewięć dni przed swoimi 50. urodzinami, Adolf Hitler podpisał plan ataku na Polskę. Decyzja kanclerza Niemiec uruchomiła proces, który doprowadził do najbardziej krwawego w dziejach konfliktu zbrojnego.

Pod wpływem zabiegów dyplomatycznych III Rzeszy zmierzających do uzależnienia od siebie II Rzeczypospolitej premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain złożył 31 marca historyczne oświadczenie, w ramach którego zadeklarował, że „na wypadek jakichkolwiek działań wojennych, mogących wyraźnie zagrozić niepodległości Polski [...] Rząd Jego Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiązany do udzielenia Rządowi Polskiemu natychmiastowego poparcia [...]". Jednocześnie ogłosił, że takie samo stanowisko reprezentują władze Francji. Deklaracja ta wydawała się wielkim sukcesem ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, tym większym, że zaledwie 10 dni wcześniej III Rzesza w miejsce dotychczasowych propozycji wysunęła utrzymane w ostrym tonie żądania terytorialne pod adresem Polski. Pretensje te były tym groźniejsze, że 15 marca Niemcy wkroczyli do Pragi, a osiem dni później do Kłajpedy. Tym samym brytyjskie gwarancje zostały ogłoszone w zbawiennym momencie. Już w pierwszych dniach kwietnia minister Beck przybył do Londynu, podejmowany z najwyższymi honorami, w celu doprecyzowania warunków sojuszu obronnego. Krok ten nie tylko przekreślił dotychczasowe zabiegi Berlina i jego nadzieje na pokojowe podporządkowania sobie Warszawy, ale również doprowadził do zmiany układu sił oraz powstania koalicji Wielkiej Brytanii, Francji i Polski. Niemcy musiały wypracować nową strategię, którą bardzo szybko okazało się nieplanowane dotąd uderzenie na wschodniego sąsiada.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, NAC (2X), SHUTTERSTOCK (2X), AAN

eprasa.pl df7f188d7b

Kwiecień

18 IV 1979

W nocy niedługo przed przygotowywanymi przez komunistyczne władze obchodami urodzin Włodzimierza Lenina, w krakowskiej Nowej Hucie doszło do próby wysadzenia poświęconego mu pomnika. W wyniku eksplozji został uszkodzony jedynie prawy but wodza rewolucji.

20 IV 1919

Do Polski przybył pierwszy pociąg z żołnierzami Błękitnej Armii oraz ich dowódcą gen. Józefem Hallerem. Oddziały przerzucane z Francji liczyły łącznie ok. 70 tys. ludzi i stanowiły najlepiej uzbrojoną część odradzającego się Wojska Polskiego.

22 IV 1919

Po odbiciu z bolszewickich rąk Wilna naczelnik Józef Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. W jej treści napisał: „Wojsko Polskie, które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, dla zniesienia rządów krajem wbrew woli ludności, wojsko niesie Wam wszystkim wolność i swobodę. Chcę dać Wam możność rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami tego sobie życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub ucisku ze strony Polski".

24 IV 1794

Drugiego dnia insurekcji w Wilnie na pl. Ratuszowym odczytano „Akt Powstania Narodu Litewskiego" oraz utworzono Radę Najwyższą Rządową Litewską. Władze zrywu wolnościowego podkreśliły, że ich walka ma ten sam cel, co prowadzone od miesiąca działania powstańcze naczelnika Tadeusza Kościuszki.

27 IV 1939

W Rabie Wyżnej przyszedł na świat wieloletni osobisty sekretarz papieża Jana Pawła II, a następnie arcybiskup metropolita krakowski, kardynał prezbiter Stanisław Dziwisz.

28 IV 1939

Tuż przed godz. 12 w południe niemiecki charge d'affaires Ernst Krümmer wręczył podsekretarzowi stanu MSZ Janowi Szembekowi memorandum rządu Rzeszy Niemieckiej informujące o anulowaniu polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy.

29 IV 1924

W ramach reformy walutowej przeprowadzanej przez rząd Władysława Grabskiego dokonano wymiany używanej dotąd marki polskiej na rzecz wprowadzanego do obiegu złotego.

30 IV 1310

W Kowalu na Kujawach urodziło się najmłodsze dziecko, wówczas jeszcze książęcej pary, Władysława Łokietka i Jadwigi Bolesławówny, Kazimierz III Wielki. Władca ten, idąc w ślady walecznego ojca, zdołał sięgnąć po królewski tron i jako ostatni z Piastów władał krajem przez 37 lat.

eprasa.pl df7f188d7b

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu 3 kwietnia, jeszcze przed dotarciem Becka do Londynu, rozpoczęło przygotowania, a już osiem dni później Hitler podpisał wstępną dyrektywę planu ataku na Polskę opatrzoną kryptonimem „Fall Weiss". W Berlinie nadal jednak liczono na to, że Warszawa ugnie się pod presją niemieckich żądań, a podjęte kroki militarne utrzymywano w tajemnicy. Z drugiej strony, jak zanotował włoski minister spraw zagranicznych Galeazzo Ciano po odbytej 16 kwietnia rozmowie z marszałkiem Hermannem Göringiem, niepokojący był „ton, w jakim Göring opisywał stosunki z Polską. Aż za dobrze przypominał ten, który swego czasu brzmiał w odniesieniu do Austrii i Czechosłowacji". Ostatecznie 28 kwietnia, trzy tygodnie po podpisaniu „Fall Weiss", Hitler postanowił otwarcie odpowiedzieć na zbliżenie polsko-brytyjskie. W trakcie transmitowanego na cały świat przemówienia w Reichstagu wypowiedział polsko-niemiecki układ o nieagresji oraz brytyjsko-niemiecki układ morski. Jednocześnie Niemcy przestały ukrywać swoje przygotowania wojskowe. Jednak aby mogły wcielić w życie swój niszczycielski plan, potrzebowały jeszcze sojusznika, który byłby równowagą dla zawiązującej się koalicji polsko-brytyjsko-francuskiej. W tym świetle symboliczne stało się objęcie 3 maja stanowiska ministerstwa spraw zagranicznych Związku Sowieckiego przez Wiaczesława Mołotowa.

13 IV 1971

Zmarł przewodnik górski, ratownik TOPR i świetny narciarz, Józef Krzeptowski „Ujek". Człowiek, który był nazywany „królem kurierów tatrzańskich", spoczął na cmentarzu zasłużonych, na Pęksowym Brzyzku.

Krzeptowski urodził się w 1904 r. w Zakopanem i był stryjecznym wnukiem samego Sabały. Już jako kilkunastoletni chłopak został przewodnikiem tatrzańskim, a potem również TOPR-owcem. Jeszcze przed wojną, na zlecenie opozycyjnego Stronnictwa Ludowego, rozpoczął kurierskie wyprawy na drugą stronę Tatr. Zdobyte umiejętności miały mu się przydać wraz z nastaniem niemieckiej okupacji, kiedy jeszcze w 1939 r. podjął decyzję, żeby zostać tajnym kurierem. Znanymi sobie szlakami przez Tatry na Słowację przeprowadzał polskich żołnierzy, a potem też cywilów. Jak podkreślał, byłoby to niemożliwe bez ofiarnego wsparcia ze strony zaufanych Słowaków i Węgrów. Z czasem jego trasa wydłużyła się aż do samego Budapesztu. Tam polski konsulat zlecił mu utrzymywanie stałej łączności z Podhalem. Zaczęto mówić o nim, że „kursuje na trasie Budapeszt – Zakopane i z powrotem jak komunikacja autobusowa, tylko że stuprocentowo pewna". Trasę tę, która prowadziła przez dwie granice, pokonywał latem i zimą blisko 60 razy. Jednocześnie dźwigał na swoich plecach olbrzymie sumy pieniędzy dla Polskiego Państwa Podziemnego oraz tajne druki i materiały. W końcu niemieckie władze wyznaczyły nagrodę za jego głowę, a on sam został zmuszony do ewakuowania na Węgry swoich najbliższych. Pozostając nieuchwytnym dla Niemców, został aresztowany po zakończeniu wojny i zesłany w głąb Związku Sowieckiego. Dopiero po zrehabilitowaniu powrócił do bycia przewodnikiem i ratownikiem. Został również odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Orderem Odrodzenia Polski.

17 IV 1794

Dwieście dwadzieścia pięć lat temu w Wielki Czwartek wojsko polskie i mieszkańcy Warszawy uderzyli na stacjonujący w stolicy, znacznie silniejszy garnizon rosyjski. Rozpoczęte na ulicach miasta krwawe walki okazały się jedną z największych bitew całej insurekcji kościuszkowskiej.

Wybuch powstania w Warszawie nastąpił blisko pół miesiąca po zwycięstwie Tadeusza Kościuszki pod Racławicami i był owocem sprzysiężenia, w którym ważną rolę odegrał emisariusz naczelnika Tomasz Maruszewski. W trakcie przygotowań zdołano pozyskać dla sprawy ludność cywilną, w tym rzemieślników skupionych w cechach i związkach czeladniczych. Dzięki temu, gdy składający się zaledwie z ok. 3 tys. żołnierzy polski garnizon rozpoczął walki na ulicach stolicy, od samego początku wsparli go jej mieszkańcy, z szewcem Janem Kilińskim na czele. W trakcie dwudniowej bitwy warszawiacy zdołali wyzwolić miasto i zmusić do ucieczki znienawidzonego rosyjskiego ambasadora gen. Osipa Igelströma. O zaciętości walk i mierze odniesionego sukcesu świadczyło to, że Rosjanie stracili ponad 4 tys. zabitych i wziętych do niewoli żołnierzy. Natomiast Kościuszko, dowiedziawszy się o wyzwoleniu Warszawy, napisał: „Ile serce moje pełne jest przywiązania do ojczyzny naszej, tyle mnie odebrane dnia dzisiejszego wiadomości najwyższą przejęły radością. Stolica Polski wolna i oswobodzona dzielnością jej mieszkańców, chwila burzy i zamieszania przemieniona w porządek i regularne tymczasowego rządu odbywanie, przykład świetny, dany reszcie narodu – to są dzieła wasze, cnotliwi Warszawy obywatele, godni tej nadziei, którą w was pokłada ojczyzna…".

Opracował Michał Komuda

FOT. NAC (2X), SHUTTERSTOCK, BIBLIOTEKA NARODOWA, ARCHIWUM RODZINY BLIKLE/FOTONOVA

eprasa.pl df7f188d7b

ŚWIĘTO ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

JACEK KROCHMAL

W 2019 r. jest obchodzona setna rocznica utworzenia sieci polskich archiwów państwowych. Jak często bywa z rocznicami, i ta nie w pełni oddaje rzeczywistość historyczną, nawiązując do jednego z wydarzeń tworzących bogate dzieje archiwów. 7 lutego 1919 r. Naczelnik Państwa wydał dekret o organizacji archiwów państwowych i opiece nad archiwaliami. Akt ten uregulował status archiwów w odrodzonej Polsce, nie tworzył jednak niczego od podstaw. Przełomowe znaczenie dla archiwów państwowych miał bowiem wcześniejszy reskrypt Rady Regencyjnej z 31 lipca 1918 r. Jego treść w niemal dosłownym brzmieniu powtórzył wspomniany dekret podpisany przez naczelnika Józefa Piłsudskiego i premiera Ignacego Jana Paderewskiego, a jednym z nielicznych uzupełnień było wymienienie w nim także archiwum we Lwowie. Aktualizacja ta była związana z procesem kształtowania się granic Rzeczypospolitej. Po tej zmianie sieć archiwów państwowych tworzyło pięć archiwów warszawskich oraz placówki terenowe w Lublinie, Piotrkowie i Płocku. Wkrótce do sieci archiwów państwowych włączono placówki w Krakowie, Grodnie, Poznaniu, Wilnie, Kielcach i Radomiu. Wśród twórców aktów prawnych powołujących sieć polskich archiwów państwowych, zarówno reskryptu Rady Regencyjnej, jak i dekretu Naczelnika Państwa, był dr Stefan Ehrenkreutz. W latach 1912–1918 był on pracownikiem Archiwum Głównego Akt Dawnych, a później do stycznia 1919 r. pełnił obowiązki zwierzchnika archiwów państwowych.

W sieci archiwalnej, tworzonej wraz z odradzającą się niepodległą Polską, szczególne miejsce zajmowało Archiwum Główne Akt Dawnych. Była to już wówczas instytucja o ponad 110-letniej tradycji, sięgającej czasów Księstwa Warszawskiego. Nie tylko wtedy, ale także obecnie AGAD jest najstarszą polską instytucją publiczną działającą nieprzerwanie od 1808 r. Zasób tego archiwum, pomimo bezpowrotnych strat poniesionych w wyniku II wojny światowej, jest zbiorem bezcennych źródeł – pomników dziejowych – nie tylko do historii Polski, ale także polsko-litewskiej Rzeczypospolitej, a nawet Europy Środkowo-Wschodniej. O takim znaczeniu AGAD świadczą liczne wyróżnienia dla przechowywanych w nim dokumentów, spośród których aż pięć zostało wpisanych na światową listę Programu UNESCO „Pamięć Świata". Inne znalazły się na liście krajowej tego programu, a jeden obiekt wyróżniono Znakiem Dziedzictwa Europejskiego. Nie bez przyczyny Archiwum Główne Akt Dawnych jest nazywane Archiwum Państwa Polskiego. Szczególna rola AGAD wynika też ze specyfiki ukształtowania jego zasobu, w skład którego weszły pozostałości zniszczonych podczas wojny archiwów warszawskich: Archiwum Akt Danych, Archiwum Oświecenia i Archiwum Skarbowego. Ważną jego część stanowią też zbiory Archiwum Radziwiłłów, pełniącego funkcję archiwum Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Dla uświetnienia 100-lecia archiwów państwowych w AGAD przygotowano wystawę, która w lutym 2019 r. była prezentowana w pięknej sali balowej pałacu Raczyńskich. Z uwagi na specyfikę zasobu, na który składają się archiwalia wytworzone w większości przed rokiem 1918, wystawę zatytułowano „Zanim powstały archiwa państwowe". Zaprezentowane zostały dokumenty pergaminowe, księgi, akta, pieczęcie i mapy ukazujące bogactwo różnorodnych form dokumentacji archiwalnej, jaka od XII do XIX w. była wytworem kancelarii papieskiej, królewskiej, cesarskiej, sułtańskiej, a nawet katolikosów ormiańskich. Dokonując wyboru najciekawszych eksponatów, wyróżniono te, o których można powiedzieć, że są „naj". Pokazano najstarszy dokument w AGAD – bullę papieża Hadriana IV z 1155 r. dla klasztoru w Czerwińsku oraz najstarszy list z Ameryki do Polski wysłany w 1659 r. z Nowego Amsterdamu (dzisiaj Nowego Jorku) do księcia Bogusława Radziwiłła. Do najbardziej „egzotycznych" należy akt przymierza sułtana Bajezyda II z królem Kazimierzem Jagiellończykiem zawarty w Konstantynopolu w 1489 r. oraz list

Diariusz sejmu piotrkowskiego z 1548 r.

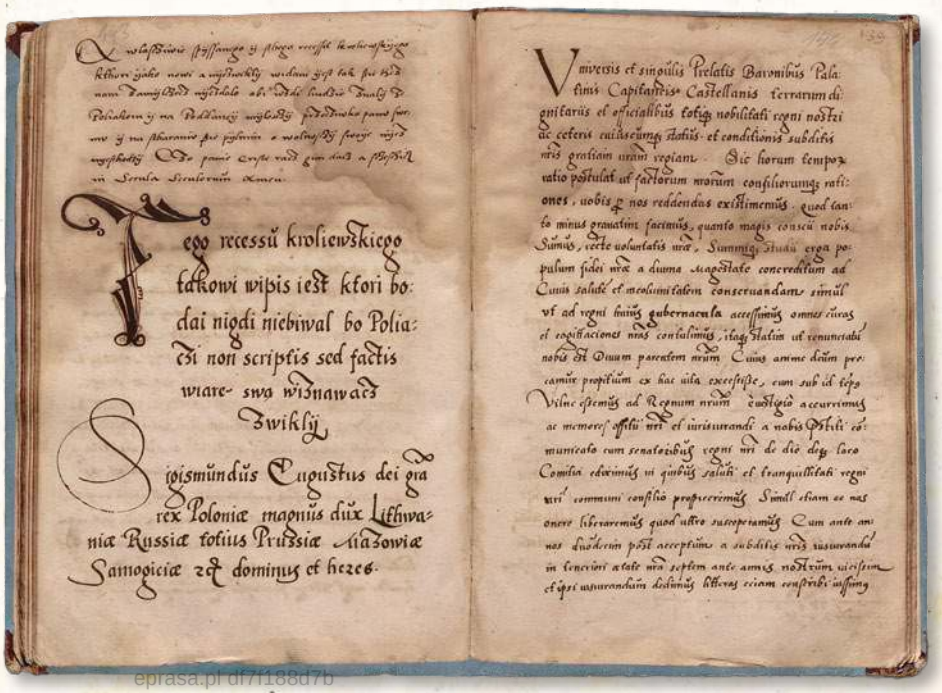

Tego recessu krolewskiego takowi wpis iest ktori bo dai nigdi niebywal bo Polaczi non scriptis sed factis wiare swą wiznawacz zwikly

Sigismundus Augustus dei gra rex Poloniae magnus dux Lithwaniae Russiae totius Prussiae Mazowiae Samogiciae zc dominus et heres

Vniversis et singulis Prelatis Baronibus Palatinis Capitaneis Castellanis terrarum dignitariis et officialibus totius nobilitatis regni nostri ac ceteris cuiuscumque status et conditionis subditis nris gratiam uram regiam. Sic horum temporum ratio postulat ut factorum nrorum consiliorumque rationes, uobis et nos reddendas existimemus. quod tanto minus grauatim facimus, quanto magis conscii nobis sumus, certe uoluntatis nre. Summique studii ergo populum fidei nre a duma magestate concreditum ad Cuius salutem et meolimitatem conseruandam simul vt ad regni huius gubernacula accessimus omnes curas et cogitationes nras contulimus, itaque statim ut renunciabi nobis est Dnum parentem nrum Cuius anime deum precamur propitium ex hac uita excessisse, cum sub id tempus Vilne essemus ad Regnum nrum festinare accurrimus ac memores officii nri et iurisiurandi a nobis Polonis communicato cum senatoribus regni nri de die dcc. Comitia edximus in quibus salutem et tranquillitatem regni nri communi consilio prospexerimus. Simul etiam ne nos onere liberaremus quod uetro susceperamus. Cum ante annos duodecim post acceptum a subditis nris iusiurandum in tenerior ætate nra septem ante annis nostrum uicissim et ipsi iusiurandum debitus fidelitas eciam conferebat iussimus

FOT. KAROL ZGLINSKI

eprasa.pl df7f188d7b

III Statut Litewski w przekładzie na język polski

ormiańskiego katolikosa Filipa do króla Władysława IV napisany w Eczmiadzynie w 1644 r.

Miłośnicy historii mogli znaleźć na wystawie zarówno pomniki dziejowe znane z podręczników, jak i ciekawostki archiwalne. Pokazano dokumenty pergaminowe pochodzące z kancelarii książąt mazowieckich oraz królów polskich, np. list żelazny Władysława Jagiełły gwarantujący królowi węgierskiemu Zygmuntowi Luksemburskiemu bezpieczny przejazd przez Polskę do ziem zakonu krzyżackiego wiosną 1410 r, Ważne miejsce na ekspozycji zajęły międzynarodowe traktaty pokojowe: II pokój toruński z 1466 r., traktat krakowski poprzedzający hołd pruski oraz pokój oliwski kończący II wojnę północną. Do ciekawostek należy spisany w języku staropolskim diariusz sejmu piotrkowskiego z 1548 r. oraz tłumaczenie polskie III Statutu Litewskiego z 1588 r. normującego system prawny Wielkiego Księstwa Litewskiego po zmianach wprowadzonych w wyniku unii lubelskiej. Prawdziwym rarytasem jest zachowany w idealnym stanie srebrny tłok pieczęci wielkiej litewskiej króla Jana III z 1676 r. Z myślą o archiwistach pokazano dawne katalogi oraz inwentarze archiwalne opracowane przez Marcina Kromera w 1551 r., Jana Zamoyskiego w 1567 r. i prof. Feliksa Bentkowskiego w 1840 r.

Wśród doniosłych aktów prawnych zaprezentowano Konstytucję 3 maja oraz rękopiśmienną kopię konstytucji Księstwa Warszawskiego, spisaną na papierze z filigranami (znakami wodnymi) przedstawiającymi wizerunek Napoleona. Sympatycy Bonapartego mogli

Srebrny tłok pieczęci wielkiej litewskiej Jana III Sobieskiego z 1676 r.

podziwiać cesarskie nadanie tytułu barona dla Jana Kozietulskiego. Dużą część wystawy poświęcono powstaniom narodowym: kościuszkowskiemu, listopadowemu i styczniowemu. Wśród archiwaliów z czasów insurekcji pokazano uniwersał połaniecki, banknoty wyemitowane przez władze powstańcze oraz akt powołania przez Tadeusza Kościuszkę rządu tymczasowego, którym była Rada Najwyższa Narodowa. Zbieg okoliczności sprawił, że instytucja ta, mająca siedzibę w warszawskim pałacu Raczyńskich, wytwarzała dokumenty w tym samym miejscu, w którym są one przechowywane obecnie w AGAD.

Spośród bogatych zbiorów kartograficznych na wystawie pokazano mapę Rzeczypospolitej z 1773 r. z zaznaczonymi terytoriami oderwanymi w wyniku I rozbioru, a także szczegółową mapę delimitacyjną przedstawiającą przebieg granicy pomiędzy Polską a Galicją. Uwagę przyciągał plan Warszawy z 1772 r. z umieszczonymi wokół niego rysunkami ważniejszych pałaców i kościołów stolicy, a także plan fortecy jasnogórskiej z 1790 r. ułatwiający zrozumienie, dlaczego twierdzy tej nie zdołali zdobyć Szwedzi podczas oblężenia w czasie potopu. Końcową część ekspozycji poświęcono na zademonstrowanie tzw. zabużańskich ksiąg metrykalnych, pochodzących z terenów II Rzeczypospolitej pozostających dziś poza granicami Polski. Ciekawostką są ilustracje zamieszczone w XVIII-wiecznej księdze metrykalnej z greckokatolickiej parafii Radenice k. Mościsk, nawiązujące do liturgii chrztu i pogrzebu. Na wystawie pokazano też księgę urodzeń rzymskokatolickiej parafii w Zborowie, otwartą na wpisie chrztu Tadeusza Komorowskiego „Bora" (1895–1966).

Obchody 100-lecia archiwów będą trwały przez cały rok 2019. Dla uczczenia tej rocznicy w AGAD planowane są kolejne wystawy, pokazujące bogactwo zasobu tego najstarszego polskiego archiwum państwowego.

Bilet skarbowy o nominale 100 zł z czasów insurekcji kościuszkowskiej

eprasa.pl df7f188d7b

CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (3)

W PODZIELONYM I ZNIEWOLONYM KRAJU POLACY ROZWIJALI SWOJE WYNALAZKI MIMO BRAKU WŁASNEJ PAŃSTWOWOŚCI. WBREW POZOROM NAJTRUDNIEJ BYŁO W NAJNOWOCZEŚNIEJSZYM ZABORZE PRUSKIM

BOLESŁAW ORŁOWSKI

Ponad stuletni okres zaborów pogłębił i wcześniej niemałe zróżnicowanie poszczególnych obszarów dawnej Rzeczypospolitej pod względem cywilizacyjnym. Ziemie polskie były traktowane, najdelikatniej mówiąc, po macoszemu przez władze centralne, w najlepszym razie jako prowincje peryferyjne. Ich własny interes lokalny rzadko, a nawet z reguły niechętnie, bywał brany pod uwagę. Z upływem czasu taka sytuacja musiała odcisnąć na tych terenach wymierne piętno, wiązała je też coraz silniej z gospodarką i kulturą państw zaborczych mających rozmaite cele polityczne. Wspólnym mianownikiem owych celów była ich fundamentalna sprzeczność z niepodległościowymi aspiracjami i poczuciem tożsamości narodu polskiego.

Rozwinięty zabór

Zabór pruski był częścią państwa, które w 2 poł. XIX w. stało się jednym z najbardziej uprzemysłowionych i cywilizacyjno-technicznie rozwiniętych obszarów ówczesnego świata. Miało to oczywiście korzystny wpływ na nasycenie nowoczesną infrastrukturą techniczną także jego polskiej części: przejawiało się np. w gęstości sieci kolejowej czy wyposażeniu nawet drugorzędnych miast w wodociągi i kanalizację. Co więcej, część tego zaboru odgrywała ważną rolę w tych przemianach. Górny Śląsk był jedną z najbardziej uprzemysłowionych krain Prus, a niebawem cesarstwa niemieckiego (40 proc. światowej produkcji cynku) i głównym dostawcą węgla kamiennego, najważniejszego podówczas paliwa, dla całych Niemiec. Wypada wszakże dodać, że udział żywiołu polskiego w owych przemianach był nieproporcjonalnie znikomy. Ograniczał się z reguły do dostarczania siły roboczej. Toteż Wielkopolska – pomimo polskich wysiłków społeczno-organizacyjnych – stawała się obszarem niemal wyłącznie rolniczym (zanikło w niej tradycyjnie dobrze rozwijające się włókiennictwo). Podobny był los Pomorza Gdańskiego. Polski żywioł w zaborze pruskim odgrywał w przemianach cywilizacyjno-technicznych nieporównanie mniejszą rolę niż w pozostałych zaborach. Miał w tym zakresie, mówiąc z lekką przesadą, status omalże „tubylczy", porównywalny do roli Ukraińców w Galicji. Stosunkowo znaczny procent tych, którzy chcieli w tym państwie robić karierę, ulegał germanizacji,

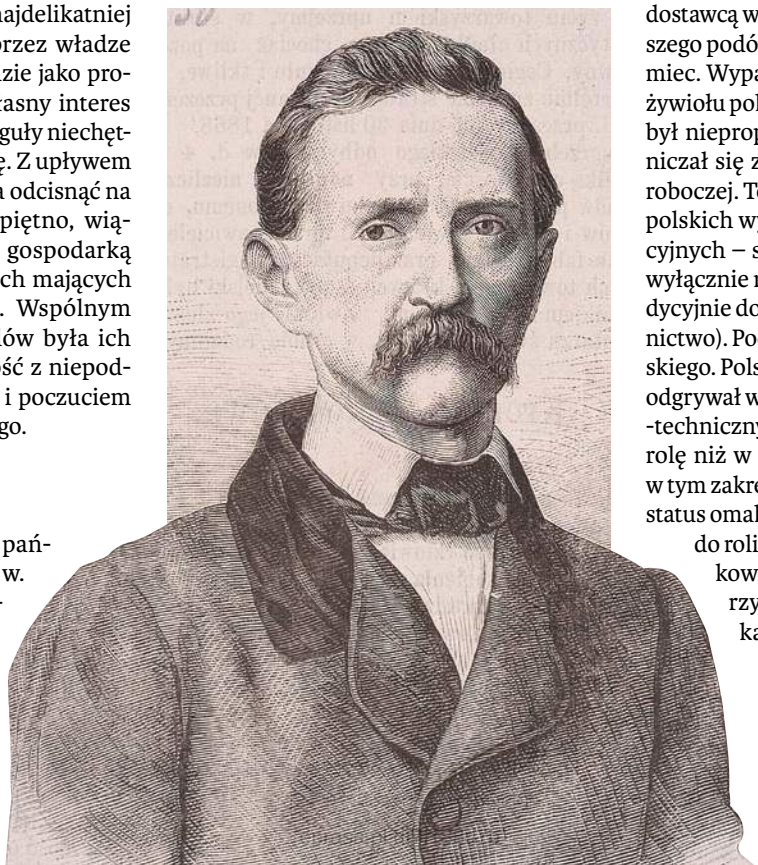

Hipolit Cegielski (1813–1868)

gdyż niemiecka kultura była silna i atrakcyjna. Także liczba Polaków z tego zaboru kształcących się i działających na polu inżynierii na obczyźnie była niewielka.

Jedyną osobą, która skutecznie umiała się przeciwstawić tym ograniczeniom i doprowadziła do wypromowania polskiej przedsiębiorczości na miarę epoki, był Hipolit Cegielski (1813–1868). Z wykształcenia był on, co może wydać się zaskakujące, filologiem klasycznym i polonistą, nauczycielem w poznańskim gimnazjum. Nie zgodził się uczestniczyć w antypolskiej polityce władz i odmówiwszy współpracy z policją pruską w politycznym inwigilowaniu uczniów, został w 1846 r. dyscyplinarnie usunięty ze stanowiska.

Można by rzec, że tym brutalnym posunięciem Prusacy napytali sobie biedy. Cegielski zajął się bowiem sprzedażą narzędzi rolniczych, a następnie ich naprawą w warsztacie, w którym po 1850 r. zaczął też je wytwarzać. Od 1855 r. rozwinął na własną rękę produkcję maszyn i narzędzi rolniczych, zainstalował w swej fabryce silnik parowy (1859) i wybudował własną odlewnię. Wyposażenie jego fabryki i technika produkcji odpowiadały standardom zachodnioeuropejskim, podobnie jak asortyment wyrobów wzorowanych na najnowszych osiągnięciach światowych. Produkował początkowo głównie siewniki, od 1860 r. żniwiarki, kosiarki i lokomobile, wyposażał też w maszyny i urządzenia młyny, cukrownie, gorzelnie, browary, tartaki itp. Większość produkcji zbywał w Królestwie Polskim i w Rosji. Wydawał również ilustrowane katalogi, będące w istocie podręcznikami maszynoznawstwa i narzędzioznawstwa rolniczego. Twórczo przekształcał i adaptował do warunków krajowych wiele typów wynalezionych za granicą narzędzi. Takie były początki działających do dziś zakładów HCP.

Mocna pozycja polskich inżynierów

Najliczniej działali nasi inżynierowie na niezmierzonych obszarach Imperium Rosyjskiego. Kładli tysiące wiorst torów i wznosili wspaniałe mosty ponad potężnymi rzekami Rosji, Syberii i Azji Środkowej. Z powodu braku wyższych szkół technicznych w kraju większość z nich zdobywała wykształcenie na uczelniach rosyjskich. Około tysiąca ukończyło petersburski Instytut Inżynierów Komunikacji. Pracowali przeważnie w służbie państwowej, wnosząc ważny wkład w krzewienie nowoczesnej cywilizacji technicznej.

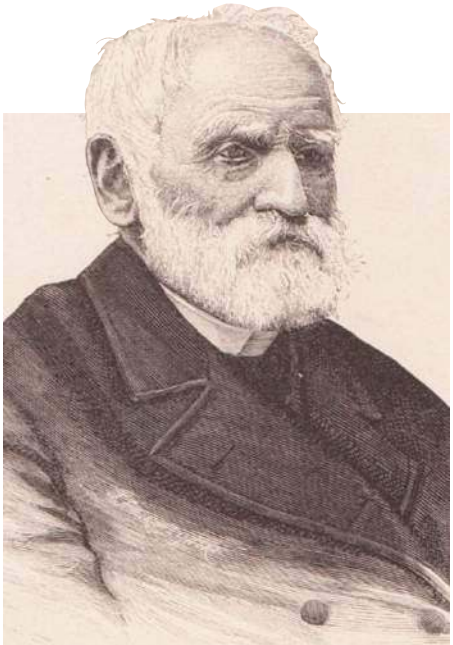

Stanisław Kierbedź (1810–1899)

Dziedziną najbardziej efektownych polskich osiągnięć inżynierskich w państwie carskim była budowa mostów. Najwybitniejszym fachowcem na tym polu był Stanisław Kierbedź (1810–1899), absolwent Instytutu Inżynierów Komunikacji, który pogłębiał swą wiedzę w paryskiej Szkole Dróg i Mostów i promował zdobycze zachodnioeuropejskiej wiedzy inżynierskiej w Rosji. Przede wszystkim budowę kratowych mostów żelaznych, najbardziej przydatnych w dokonującej się wówczas rozbudowie sieci kolejowej, a także stosowanie techniki kesonowej przy posadawianiu ich filarów. Kierbedź zbudował pierwsze stałe mosty metalowe w Petersburgu na Newie (1850) i w Warszawie na Wiśle (1864) oraz wiele mostów kolejowych. Zajmował się też budownictwem wodnym. Osiągnął najwyższy szczebel kariery urzędniczej w rosyjskiej służbie państwowej. W latach 1886–1887 kierował resortem komunikacji, będąc wszakże Polakiem i katolikiem (od 1841 r. uczestniczył w finansowaniu budowy i funkcjonowania polskiego kościoła św. Stanisława w Petersburgu), nie został mianowany ministrem. Chociaż przez całe życie związany był, m.in. jako wykładowca, z petersburskim Instytutem Inżynierów Komunikacji, krótko przed śmiercią ofiarował swój bogaty księgozbiór inżynierski polskojęzycznej Szkole Politechnicznej we Lwowie.

Szczególną rolę w tworzeniu infrastruktury komunikacyjnej ogromnego Imperium Rosyjskiego odegrała na przełomie XIX i XX w. warszawska firma K. Rudzki i S-ka, specjalizująca się wówczas w wytwarzaniu i montażu konstrukcji mostowych. Budowała je na wielkich rzekach Rosji europejskiej oraz Środkowego i Dalekiego Wschodu. Konstrukcje mostowe przeznaczone dla dalekowschodnich odcinków Wielkiej Kolei Transsyberyjskiej – kolei Ussuryjskiej i Środkowoamurskiej – wieziono z jej fabryki w Mińsku Mazowieckim koleją do Odessy, a następnie drogą morską do ujścia Amuru, skąd holowano w górę tej rzeki na place budowy. Była drugim, po Briańskich Zakładach Mostowych, przedsiębiorstwem tego rodzaju w rosyjskim imperium. W utworzonym w 1903 r. rosyjskim kartelu mostowym przydzielono jej 17 proc. robót.

NAJLICZNIEJ DZIAŁALI NASI INŻYNIEROWIE NA NIEZMIERZONYCH OBSZARACH IMPERIUM ROSYJSKIEGO. KŁADLI TYSIĄCE WIORST TORÓW I WZNOSILI WSPANIAŁE MOSTY PONAD POTĘŻNYMI RZEKAMI ROSJI, SYBERII I AZJI ŚRODKOWEJ

W skali imperium liczyła się też wywodząca się z Kongresówki i z „ziem zabranych" kadra inżynierska. Polacy budowali linie kolejowe, porty i inne budowle hydrotechniczne, zajmowali się górnictwem, m.in. wydobyciem ropy naftowej. Stanowili ok. 20 proc. wyższego personelu technicznego na budowie »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl df7f188d7b

Wielkiej Kolei Transsyberyjskiej. Stanisław Kierbedź młodszy (1844–1910), bratanek wyżej wspomnianego, kierował budową Kolei Wschodniochińskiej, w czasie której z dużym polskim udziałem powstał Harbin.

Wielu z nich zaliczało się do ścisłej czołówki kadry inżynierskiej Rosji. Wnieśli wymierny wkład w rozwój nauk technicznych, licznie wykładali na uczelniach rosyjskich, zajmowali się wynalazczością. Mimo nieprzychylnej polskości atmosfery i polityki kadrowej carskiego państwa zbudowali sobie mocną pozycję zawodową i społeczną.

Wspomnijmy pomysłowego nowatora Witolda Zglenickiego (1850–1904), inżyniera górnika i geologa wykształconego w petersburskim Instytucie Górniczym.

Prowadząc od 1891 r. owocne poszukiwania ropy naftowej w okolicach Baku, udoskonalił aparat Fernströma do ustalania krzywień szybów wiertniczych. W 1896 r. wysunął prekursorską w skali światowej koncepcję wydobywania ropy naftowej spod dna morskiego. Miało to polegać na zasypywaniu płytkich zatok Morza Kaspijskiego i stosowaniu normalnych, lądowych technik wiertniczych. Pomysł ten zrealizował w zatoce Bibi Ejbat (później przemianowanej na Zatokę Iljicza) dopiero w 1923 r., już za władzy sowieckiej, inny Polak, Paweł Potocki (1879–1932).

Tenże Zglenicki bardziej jest znany jako wyjątkowo hojny mecenas nauki polskiej. Zapisał bowiem w testamencie dochody z działek, które posiadał na nadkaspijskich terenach naftowych, Kasie im. Mianowskiego, instytucji społecznej powstałej w 1881 r., zajmującej się popieraniem i finansowaniem badań naukowych. Wskutek szybkiego wzrostu wydobycia ropy naftowej w rejonie Baku spadek po Zglenickim sięgnął niebawem zawrotnych sum, przynosząc w latach 1908–1915 blisko 1,4 mln rubli. Dzięki niemu nauka polska, pozbawiona mecenatu własnego państwa, była w tym czasie w najlepszej w swych dziejach sytuacji materialnej.

Galicja dla nauki

Jeszcze inaczej przedstawiała się pod tym względem sytuacja w zaborze austriackim. Zaliczał się on do najbardziej zacofanych pod względem uprzemysłowienia i gęstości sieci kolejowej prowincji monarchii Habsburgów. Swego rodzaju wyłomem w tym obrazie stało się zapoczątkowanie tam w połowie XIX w. pionierskiego w skali światowej wydobycia i przetwórstwa ropy naftowej. Stało się to głównie dzięki wykształconemu w Krakowie i Wiedniu farmaceucie Ignacemu Łukasiewiczowi (1822–1882), powszechnie znanemu jako wynalazca lampy naftowej (1853). Znacznie większą jego zasługą było wszakże zapoczątkowanie górniczego wydobycia ropy naftowej w Bóbrce k. Krosna (1854), a następnie jej przetwórstwa w rafineriach, które zakładał od 1856 r. Wytwarzał w nich destylaty (naftę, parafinę, gudrinę, oleje, smary, asfalty), mające zbyt w Austrii i za granicą, nagradzane m.in. na wystawie powszechnej w Wiedniu (1873). Łukasiewicz był przy tym zaangażowanym społecznikiem, dbał o pracowników swych zakładów, zapewniając im opiekę zdrowotną, kasy samopomocowe i emerytury. Nie żałował też pieniędzy na budowę dróg, szkół i szpitali.

Maksymilian Tytus Huber (1872–1950)

POTĘGĘ IMPERIUM ROSJI TWORZYŁA WYWODZĄCA SIĘ Z KONGRESÓWKI I Z „ZIEM ZABRANYCH" KADRA INŻYNIERSKA. POLACY BUDOWALI LINIE KOLEJOWE, PORTY, ZAJMOWALI SIĘ GÓRNICTWEM, M.IN. WYDOBYCIEM ROPY NAFTOWEJ

Jednym z rezultatów wprowadzenia autonomii Galicji sprzyjającej polskim poczynaniom było powstanie i rozkwit ważnego krajowego ośrodka naukowo-technicznego we Lwowie. Na proces ten składały się trzy powiązane ze sobą i wzajemnie wspomagające się czynniki – rozwój miejscowego ośrodka akademickiego, zawiązanie się trwałych form organizacyjnych życia społeczno-zawodowego oraz powstanie czasopiśmiennictwa technicznego.

Istniejąca od 1844 r. we Lwowie „średnio-wyższa" Akademia Techniczna z językiem wykładowym niemieckim uległa na początku lat 70. szybkiej polonizacji i reorganizacji, przekształcając się w 1877 r. w Szkołę Politechniczną o statusie uczelni wyższej. Kształcili się w niej także przybysze spoza Galicji, głównie Polacy z zaboru rosyjskiego. Liczba jej studentów na początku XX w. wynosiła ponad 700. Spośród kadry naukowej związanej z tą uczelnią wybijał się Maksymilian Tytus Huber (1872–1950), pionier mechaniki teoretycznej na skalę światową. W 1904 r. opublikował on na łamach „Czasopisma Technicznego" najważniejszą swą pracę „Właściwa praca odkształcenia jako miara wytężenia materiału". Przedstawiona tam hipoteza wytężeniowa stanowi podstawowe kryterium nowoczesnych działów wytrzymałości materiałów: teorii plastyczności i teorii sprężystości. Doczekała się uznania światowego dopiero ćwierć wieku później. W tym samym 1904 r. Huber uzyskał stopień doktora za pracę „Przyczynek do teorii stykania się ciał sprężystych", w której rozwiązał obliczeniowo zagadnienie tzw. bezwzględnej miary twardości.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego Huber prowadził pionierskie prace w dziedzinie teorii płyt, teorii współdziałania płyty z żebrem przy zginaniu oraz teorii stropów grzybkowych.

FOT. NAC (2X); BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

Przyczyniły się one do rozwoju konstrukcji żelbetowych. Godnie reprezentował naukę polską za granicą na zjazdach i kongresach międzynarodowych, m.in. w ramach Komitetu Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów.

Na terenie Galicji odbywały się od 1882 r. Zjazdy Techników Polskich, w których uczestniczyli przedstawiciele pozostałych zaborów. Z Galicji wywodził się również wszechstronny wynalazca samouk Jan Szczepanik (1872–1926), działający głównie w Berlinie, Dreźnie i Wiedniu, posiadacz 91 oryginalnych patentów, zwany niekiedy „polskim Edisonem". W 1896 r. wynalazł on fotoelektryczną metodę powielania wzorów tkackich, która znalazła zastosowanie przemysłowe w Austrii i w Niemczech (1898). W latach 1898–1909 prowadził prace nad techniką fotografii barwnej. Wynalazł światłoczuły papier wytwarzany w Szwajcarii od 1905 r., a opracowana przez niego w 1899 r. zasada małoobrazkowego barwnego filmu fotograficznego została z czasem wykorzystana w praktyce przez znane firmy Kodak (1928) i Agfa (1932). Sukcesem technicznym było też stworzenie przez Szczepanika własnego udanego systemu filmu barwnego, opartego na zastosowaniu czarno-białej taśmy i trzech filtrów (czerwonego, zielonego i niebieskiego). Tą metodą nakręcał filmy oddające w pełni bogactwo kolorów naturalnych (1925), które następnie demonstrował w Niemczech i w Szwajcarii. System Szczepanika wymagał użycia w kinie trzech projektorów, nie wytrzymał więc konkurencji amerykańskiego Technicoloru.

Zakres wynalazczości Szczepanika był bardzo szeroki, a jego osiągnięcia obejmowały m.in. także fotosculptor (przyrząd pomocny przy kopiowaniu rzeźb, 1899), samoczynny regulator ciągu kominowego w paleniskach kotłowych (1901). Wniósł on również wkład w powstanie jedwabnej kamizelki kuloodpornej. Pracował też nad techniką przesyłu sygnału radiowego i telewizyjnego.

* * *

Kiedy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, wracali do niej rodacy rozproszeni po całym świecie, a wśród nich także inżynierowie i wynalazcy. Wracali z Rosji pogrążonej w wojnie domowej, ale też z wielu innych krajów, porzucając wysokie stanowiska, bardzo dobrze płatne zajęcia, środowiska, w których cieszyli się uznaniem i mieli ugruntowaną pozycję. Dzięki temu II Rzeczpospolita dysponowała kadrą techniczną zdecydowanie przerastającą to, czego można by się spodziewać po kraju tej wielkości i o takim położeniu geograficznym. ■

cdn.

Ignacy Łukasiewicz (1822–1882)

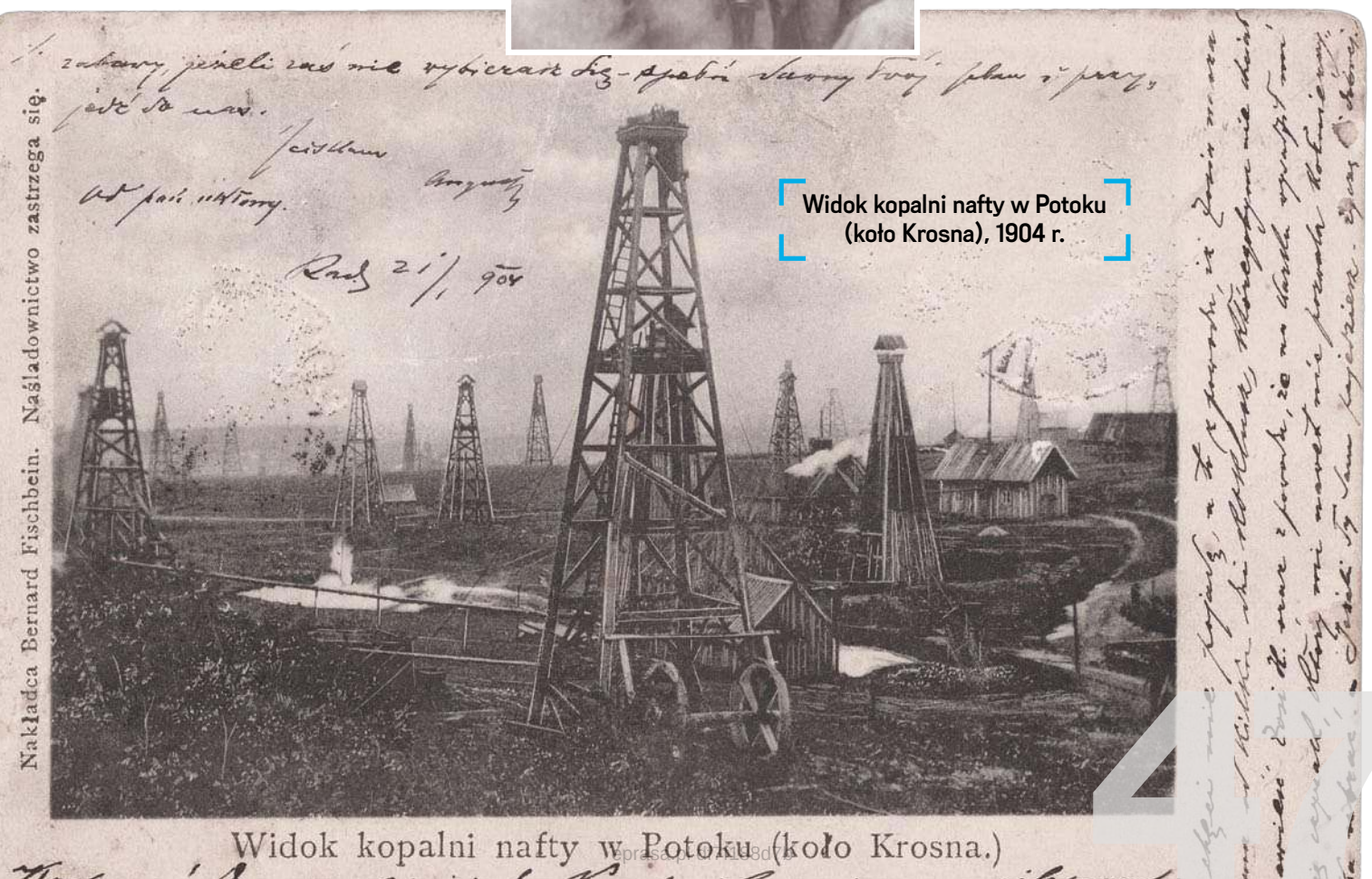

Widok kopalni nafty w Potoku (koło Krosna), 1904 r.

Jakub Ponętowski w dziele pt. „Ziemianin" wysławiał uroki szlacheckiego życia na wsi w skromnym, ale zadbanym i dobrze wyposażonym dworku, takim jak ten w Ciepielowie koło Iłży, wybudowany w 1543 r. (ilustracja: sztych z XIX w.)

HENRYK LITWIN

BRACIA JAKUB I JAN PONĘTOWSCY – „ŚWIATOWE ŻYCIE" HRECZKOSIEJÓW

„WY POLACY Z ROLĄ SIĘ SPRAWOWAĆ UMIEJCIE" – NAPISAŁ POD KONIEC XVI w. SZLACHECKI PUBLICYSTA I EKONOMISTA ANZELM GOSTOMSKI W SWOIM DZIELE POD TYTUŁEM „GOSPODARSTWO". SZLACHTA EPOKI PÓŹNEGO POLSKIEGO RENESANSU MOCNO WIERZYŁA W SŁUSZNOŚĆ TEJ APOSTROFY

eprasa.pl df7f188d7b

Zalety życia ziemianina były cenione i opiewane. W pierwszym wydaniu wspomnianego „Gospodarstwa" znalazł się oprócz tekstu zasadniczego „traktacik" Jakuba Ponętowskiego „Ziemianin". Autor wysławiał w nim uroki wiejskiego życia toczącego się między młynem, gumnem a drewutnią i zachęcał braci szlachtę do takiej egzystencji. Zdaniem Ponętowskiego idealne gospodarstwo szlacheckie powinno być jednowioskowego rozmiaru – skromne, ale zadbane i dobrze wyposażone. Dostrzegał potrzebę prowadzenia działalności produkcyjnej. Uważał, że idealne gospodarstwo powinno mieć browar, młyn i drewutnię, czyli miejsce przerobu surowców leśnych dostarczanych z własnego areału. Argumentował, że dla szlachcica konieczne są hodowla koni i bydła oraz posiadanie stawów rybnych, pasieki i ogrodu. W dziełku Ponętowskiego znalazły się też uwagi na temat sposobu urządzenia siedziby szlacheckiej. Powinna ona być skromna – „marmurowe pałace, wymuszone ogrody" są dla magnatów. Autor używa pojęcia „dom", choć właśnie w jego epoce narodziło się pojęcie dwór na określenie wiejskiej siedziby szlacheckiej. Uważa, że dom powinien być swoistym centrum gospodarstwa z wydzieloną częścią dla gospodarza, odrębną dla gości i jeszcze inną dla czeladzi. Powinny się w nim znajdować kuchnia i łaźnia, a w pobliżu stajnia i psiarnia. Do domu powinien przylegać ogród. Takie gospodarstwo zapewniało zdaniem Ponętowskiego samowystarczalność, pozwalało żyć godziwie i w zgodzie z sąsiadami z dala od wielkiego świata i jego pokus.

Dyskretny urok polityki

Czy jednak sam Ponętowski postępował zgodnie z wypisanymi przez siebie zaleceniami? Bez wątpienia dobrze prowadził swoje realne gospodarstwo, choć było ono znacznie większe niż zaproponowany przez niego jednowioskowy ideał. Ekonomiczny sukces spowodował jednak zainteresowanie działalnością publiczną i Ponętowski oddał się jej ze znaczną energią, której nie wymagał od swojego idealnego „ziemianina".

Pojawił się na arenie politycznej w czasie sejmów egzekucyjnych. Regularnie reprezentował w tym czasie województwo łęczyckie. Szybko stał się niemal etatowym posłem. Zdobył też skromny co prawda urząd cześnika łęczyckiego. Uczestniczył w sejmach 1563/64, 1566, 1567 a wreszcie w sejmie unijnym. Ponętowski należał do stronnictwa egzekucyjnego i był zwolennikiem uporządkowania finansowania państwa z dochodów domeny królewskiej. Z biegiem czasu zbliżał się politycznie do stronnictwa dworskiego, co potwierdza jego nominacja na sekretarza królewskiego dokonana w 1568 r. Wyróżniał się nieprzeciętnymi zdolnościami oratorskimi, choć konkurencja był potężna, gdyż przez sejmy polskie w latach 60. XVI w. przewinęła się istna plejada wybitnych parlamentarzystów i zarazem mówców, jak Mikołaj Sienicki, zwany „polskim Demostenesem". O Ponętowskim mówiono z kolei „człowiek uczony, k'temu w wymowie alter Cicero". Reputacja uczoności w tej epoce musiała oznaczać, że współcześni wiedzieli o uniwersyteckim wykształceniu naszego bohatera i rzeczywiście historycy odnaleźli jego wpis immatrykulacyjny na Uniwersytet Krakowski.

Radykał na sejmie lubelskim

Apogeum ruchu egzekucyjnego i zarazem udanej współpracy szlachty z królem Zygmuntem Augustem był sejm unijny w Lublinie (1569). Stronnictwo egzekucyjne od lat postulowało ścisłą unię z Litwą. Od początku lat 60. także ostatni Jagiellon skłaniał się coraz bardziej jednoznacznie ku takiemu rozwiązaniu. Izba poselska dążyła do inkorporacji, uważając, że wolności szlacheckie pozwolą Litwinom na zachowanie wszystkich ważnych dla nich wartości. Król był zwolennikiem utworzenia państwa federacyjnego. Wielkie Księstwo nie wypracowało innej koncepcji postępowania w tej sytuacji niż opór i obrona możliwie silnie zarysowanych odrębności. Przez pół roku w Lublinie ważyły się szale unijnych decyzji.

Ponętowski przyjechał na unijne obrady do Lublina znowu jako przedstawiciel województwa łęczyckiego. Towarzyszył mu młodszy brat Jan, który uważnie śledził przebieg sejmu i spisał zeń wierszowaną relację, wydaną (bez daty rocznej) „Krótki rzeczy polskich sejmowych godnych komentarz". Dziełko Jana nie osiągnęło zbyt wysokich lotów ani w warstwie poetyckiej, ani informacyjnej. Młodszy Ponętowski nie umiał jeszcze wyróżnić spraw rzeczywiście istotnych i pominąć mniej ważnych. W jego tekście unia z Litwą niknie wśród dziesiątków innych spraw. Zwraca jednak uwagę ambicja młodego hreczkosieja, by będąc obecnym na sejmie, opisać jego przebieg w formie poetyckiej. Na swoje nieszczęście miał potężną konkurencję, wydarzenia sejmowe bowiem postanowił też opisać Jan Kochanowski. Jego poemat nosił tytuł „Proporzec albo hołd pruski", ale najważniejszym według Mistrza z Czarnolasu wydarzeniem sejmu było zawarcie unii. Ponętowski wypada na tym tle bardzo blado, ale trzeba go pochwalić za ambicje literackie.

Wyrazisty był natomiast w roli posła starszy brat Jakub. Brał aktywny udział w dyskusjach sejmowych i dał się poznać jako zdecydowany zwolennik unii w wersji inkorporacyjnej. Po wyjeździe stawiających opór Litwinów z sejmu okazał się rzecznikiem drastycznych rozwiązań, gotów był bowiem przeprowadzić unię przy pomocy sił zbrojnych. Sprzeciwiał się zwołaniu pospolitego ruszenia, ale nie z pacyfistycznych pobudek, lecz opowiadając się za użyciem żołnierza „kwarcianego", a zatem utrzymywanego z dochodów z dóbr królewskich. Ostatecznie pogodził się z królewską koncepcją tworzenia państwa federalistycznego i był jednym z sygnatariuszy unii lubelskiej.

Niestały w sympatiach

W 1572 r. został ponownie wybrany na posła. W czasie pierwszego bezkrólewia – choć katolik – był związany z naszpikowanym dysydentami stronnictwem marszałka koronnego Jana Firleja. Na sejmie konwokacyjnym zapisał się w annałach uczestnictwem w dyskusji o formie elekcji i wypowiedzią, która skłoniła Jana Zamoyskiego do repliki zawierającej precyzyjną wykładnię elekcji viritim. Początkowo popierał kandydaturę habsburską, ale ostatecznie przeszedł na stronę Henryka Walezego i został wysłany jako przedstawiciel stanów Królestwa z poselstwem do Francji i zawiadomieniem o dokonanej elekcji. Prosto z Paryża miał się udać w podróż dyplomatyczną do Stambułu, ale ostatecznie odwiedził tylko Wenecję i Wiedeń, powrócił do Rzeczypospolitej, zdążywszy jeszcze wraz z innymi powitać elekta przekraczającego granice swego nowego królestwa. Po ucieczce Henryka znowu zmienił stronnictwo – przystał do obozu habsburskiego, i to jako płatny agent cesarski. Działał między Warszawą, Krakowem a Wiedniem na »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

Sztych według obrazu Jana Matejki, „Unia lubelska"

» rzecz kandydatury Maksymiliana II i podpisał akt jego elekcji. Był uczestnikiem poselstwa, które miało skłonić cesarza do jak najszybszego przyjazdu do Rzeczypospolitej (1576). Wrócił do kraju ze względów rodzinnych (śmiertelna choroba żony) i w domowych pieleszach dowiedział się o zgonie Maksymiliana II. W tej sytuacji pogodził się ze zwycięstwem Batorego i zabiegał o powrót do sejmowej polityki. W 1581 r. został znowu posłem z województwa łęczyckiego, ale przy witaniu posłów został manifestacyjnie pominięty przez króla, który zarzucił mu zdradę. Przyjaciele zdołali go pojednać z Batorym, który ostatecznie wycofał swój zarzut i zaakceptował powrót Ponętowskiego do sejmu i polityki i już w następnym roku wysłał go z poselstwem do Danii, a w 1585 r. zaliczył w poczet senatorów jako kasztelana brzesko-kujawskiego. Wdzięczny kasztelan na sejmie toczącym się w tymże roku opowiedział się po stronie króla i Jana Zamoyskiego w głośnym konflikcie z rodziną Zborowskich, który doprowadził do powstania wielkich napięć, jakich nie udało się już uśmierzyć przed nastaniem kolejnego bezkrólewia. Ponętowski nie doczekał tej kolejnej próby, zmarł bowiem miesiąc przed Batorym 4 listopada 1586 r.

Jakub Ponętowski był nie tylko mówcą, ale i pisarzem. Oprócz wspomnianego już wyżej „Ziemianina" był autorem pisma politycznego z czasów pierwszego bezkrólewia „Interregnum czyli królestwo bez króla...", które niestety zaginęło. Podobny los spotkał dziełko moralizatorsko dydaktyczne „List do syna w cudzej ziemi będącego...". Jego jedyny zachowany tekst zaświadcza, że pisał ładną, wyrazistą polszczyzną, zachowując przy tym pewną powściągliwość w kwestii stylu. Zyskał sporą popularność, a „Ziemianin" był często wspominanym tekstem w innych utworach z epoki.

Opat i kolekcjoner. Kariera młodszego brata

Młodszy z Ponętowskich Jan, który pojawił się na sejmie unijnym w roli prowincjonalnego szlachcica, co prawda z pretensjami poetyckimi, ale bez głębszego zrozumienia polityki, uznał po unii, że powinien się zająć swoim rozwojem i nie bez zachęty brata zapisał się na Akademię Krakowską. Nie wiemy, jak długo studiował, ale nie ma wątpliwości, że czuł się potem silnie związany z jagiellońską uczelnią. W czasie pierwszego bezkrólewia odbył z bratem podróż do Paryża, Wenecji i Wiednia. Szczególnie ta ostatnia stolica wywarła nań silny wpływ. Powtórzył wyjazd do Wiednia, znowu towarzysząc bratu i poselstwu cezarian polskich do Maksymiliana II (1576). W czasie tej podróży wpadł na zupełnie nowy pomysł na urządzenie sobie życia i korzystając z mocnego wsparcia dobrze widzianego w Wiedniu brata Jakuba, uzyskał dekret cesarski na opactwo norbertanów w Hradište k. Ołomuńca na Morawach, czyli w Królestwie Czech. W tym momencie Jan był jeszcze człowiekiem świeckim, więc napotkał poważny opór zakonników. Ostatecznie Ponętowski wdział habit zakonny (1577), a nieco później przyjął święcenia kapłańskie (1578) i został zaakceptowany przez mnichów jako ich zwierzchnik. Opozycja przeciw niemu była jednak silna. Nie przeszkodziło to Ponętowskiemu zyskać rozgłosu jako zamożny opat, który odgrywał istotną rolę na dworze biskupa ołomunieckiego, był dobrodziejem uniwersytetu i jezuitów w tymże mieście, a także zgodnie z modą epoki stał się kolekcjonerem dzieł sztuki i wyrobów rzemiosła artystycznego. Ze szczególnym upodobaniem zbierał wydawnictwa heraldyczne i ekslibrisy, miał też piękną kolekcję grafiki i malarstwa włoskiego oraz flamandzkiego, a także imponujący zbiór gobelinów. Rozrzutność Ponętowskiego doprowadziła jednak zakonników do ostatecznej desperacji i w końcu uzyskali oni zgodę cesarza Rudolfa II na usunięcie Jana z opactwa (1587). Zachował dożywotnią pensję i prawo do zamieszkania w dobrach klasztornych w Ołomuńcu. Z tego ostatniego przywileju Ponętowski nie korzystał długo. W 1588 r. wrócił do Rzeczypospolitej i zamieszkał w Krakowie, gdzie żył do śmierci w 1598 r. Kilka lat wcześniej ofiarował Uniwersytetowi iście królewski dar – całą swoją kolekcję zebraną w czasie korzystania z dochodów opackich. W ten sposób dokonał się swoisty „rabunek" cesarstwa przez Polaków. Dzieła sztuki, księgi i precjoza zakupione za „habsburskie pieniądze" trafiły do Krakowa. Jak widać, stosunki szlachty polskiej z dynastią „rakuską" bywały czasem owocne dla kraju. Szkoda, że z pięknej kolekcji Ponętowskiego tylko część dotrwała w Krakowie do naszych czasów. Władze austriackie w XIX w. nie próbowały odzyskać tych zbiorów. Przetrzebili je natomiast wcześniej Szwedzi w czasie pierwszego potopu.

* * *

Jakub i Jan Ponętowscy, którzy zaczynali swe kariery jako średnia szlachta i sławili proste życie jednowioskowego ziemianina, dzięki wykształceniu, służbie publicznej, odważnym decyzjom, ambicjom literackim i kolekcjonerskim pozostawili po sobie trwały ślad w historii Rzeczypospolitej i bujne życiorysy rozgrywające się między Paryżem, Wiedniem a Krakowem. Czasy bezkrólewi przyniosły wiele takich i jeszcze daleko większych karier, jak Jana Zamoyskiego, który z zamożnego szlachcica stał się king-makerem i głównym adwersarzem Habsburgów w Europie Środkowo-Wschodniej.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

DUCH I POLITYKA

GRZEGORZ GÓRNY

Ormiański patriarcha

W XX w. zakończyła się w Polsce długa era, w której hierarchowie Kościoła mogli być zarazem czynnymi politykami. W marcu 1923 r. Pius XI zakazał biskupom łączenia posługi duszpasterskiej z piastowaniem urzędów państwowych oraz zasiadaniem w ławach parlamentarnych. Zakaz ten dotknął wówczas m.in. abp. Józefa Teodorowicza, zwierzchnika Kościoła ormiańskokatolickiego w II Rzeczypospolitej, który był (obok Adama Sapiehy) ostatnim wielkim dostojnikiem na ziemiach polskich zajmującym się zarazem czynną polityką.

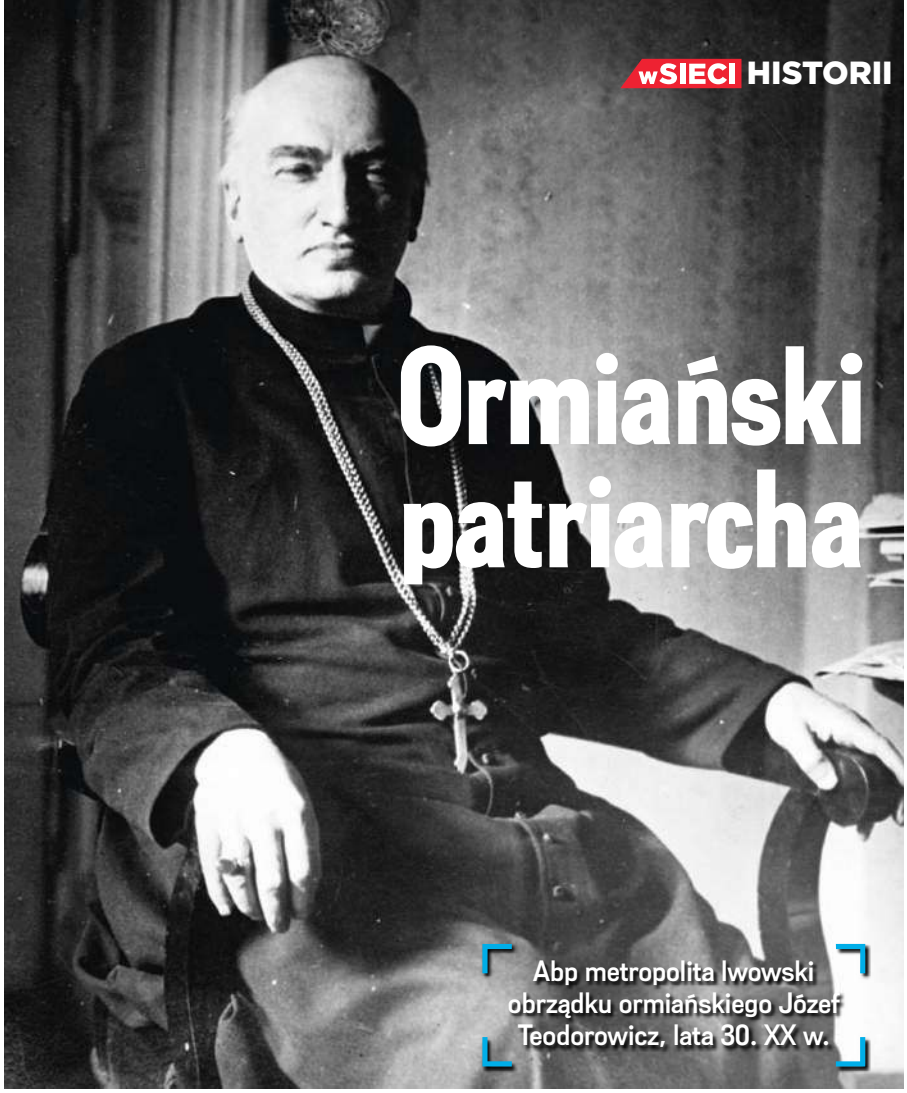

Abp metropolita lwowski obrządku ormiańskiego Józef Teodorowicz, lata 30. XX w.

FOT. NAC

Należał do spolonizowanej grupy etnicznej, która sama siebie określała mianem „gente Armenus, natione Polonus". Na czele lwowskiej archidiecezji katolickiej obrządku ormiańskiego stał przez niemal cztery dekady – od 1901 do 1938 r. Z jego zdaniem bardzo liczył się papież Pius X, któremu hierarcha z Galicji doradzał w sprawach polskich. To właśnie dzięki jego rekomendacji ks. Adam Sapieha (późniejszy kardynał i metropolita krakowski) został w 1906 r. tajnym szambelanem Piusa X, pełniąc przy Stolicy Apostolskiej nieformalną funkcję ambasadora Polski, której nie było wówczas na mapach.

Ewenementem w działalności publicznej abp. Teodorowicza było to, że angażował się w sprawy polskości we wszystkich trzech zaborach. W 1905 r. stanął publicznie w obronie dzieci polskich prowadzących strajk szkolny we Wrześni, w czasie I wojny światowej zaś bronił ludność polską w Galicji przed nadużyciami okupacyjnych władz rosyjskich. Angażował też swój autorytet m.in. w trakcie wojny z Ukraińcami czy podczas plebiscytów na Górnym Śląsku, opowiadając się za przynależnością tych ziem do Rzeczypospolitej. Nie bał się wchodzić wówczas w konflikt z Watykanem, krytykując za proniemieckie nastawienie urzędników Stolicy Apostolskiej: papieskiego komisarza plebiscytowego ds. Kościoła, nuncjusza apostolskiego (późniejszego papieża Piusa XI), a nawet sekretarza stanu.

Po odzyskaniu niepodległości został wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego. 9 lutego 1919 r. wygłosił w warszawskiej katedrze słynne kazanie inaugurujące obrady tego pierwszego po latach zaborów posiedzenia polskiego parlamentu. Znany komentator polityczny w II RP Bernard Singer wspominał go jako jednego z najbardziej płomiennych mówców w międzywojennym Sejmie. Po latach zostanie nazwany nawet Piotrem Skargą II Rzeczypospolitej. Do dziś zachowały się nagrania jego kazań, które wygłaszał wówczas na falach Polskiego Radia.

W następnych wyborach abp Teodorowicz zdobył mandat senatora. Był jednym z liderów narodowej demokracji, pełniąc nawet funkcję wiceprezesa endeckiego klubu parlamentarnego. W grudniu 1919 r. okazał się głównym akuszerem rządu Leopolda Skulskiego, później zaś odegrał znaczącą rolę przy podpisaniu konkordatu ze Stolicą Apostolską. Po nakazie Piusa XI zaprzestał działalności parlamentarnej, choć nadal wspierał swym autorytetem działalność Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Podróżował też wiele po Europie, będąc nieformalnym ambasadorem polskości na świecie.

Polscy Ormianie do dziś uważają go za najwybitniejszego przedstawiciela w kilkuwiekowej historii swej społeczności. To właśnie jemu zawdzięczamy m.in. wystrój katedry ormiańskiej we Lwowie z freskami Jana Henryka Rosena i witrażami Józefa Mehoffera.

Józef Teodorowicz zmarł 4 grudnia 1938 r. Cieszył się tak dużym autorytetem moralnym w społeczeństwie, że w całym kraju ogłoszono żałobę narodową, co w okresie międzywojennym zdarzało się niezwykle rzadko. Przez dwa dni, gdy jego ciało spoczywało w trumnie w pałacu arcybiskupim, przyszło mu oddać hołd ponad 100 tys. osób. Pogrzeb dostojnika zamienił się w olbrzymią manifestację religijną i patriotyczną. Jego ciało spoczęło w grobowcu na Cmentarzu Orląt we Lwowie. Nie na długo jednak. Jesienią 1939 r. ormiańscy katolicy w obawie przed zbezczeszczeniem zwłok przez Sowietów przenieśli doczesne szczątki hierarchy do mogiły rodziny Kłosowskich na Cmentarzu Łyczakowskim. Dopiero w 2011 r. mogły one znów powrócić na odnowiony Cmentarz Orląt.

eprasa.pl df7f188d7b

Bitwa pod Raszynem pokrzyżowała plany Austrii na szybkie rozbicie polskiej armii w 1809 r. (Wojciech Kossak, „Bateria w ogniu – Raszyn", 1913 r.

„NIE PODBIJAĆ IDZIECIE, ALE OSWOBADZAĆ...".

WYPRAWA GALICYJSKA 1809 r.

WOJNA BYŁA NA STAŁE WPISANA W LOS KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO. JUŻ DWA LATA PO JEGO POWOŁANIU DO ŻYCIA TEN PIERWSZY PO ROZBIORACH ZACZĄTEK ODRODZENIA PAŃSTWA POLSKIEGO POTRAFIŁ OBRONIĆ SWÓJ BYT I O POŁOWĘ ROZSZERZYĆ TERYTORIUM, ZWYCIĘSKO WYCHODZĄC Z KONFRONTACJI Z AUSTRIACKIM ZABORCĄ. 1809 r. TO JEDYNA W XIX w. WYGRANA WOJNA POLAKÓW

eprasa.pl df7f188d7b

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO / EAST NEWS

JAROSŁAW CZUBATY

Bitwa pod Raszynem wygasła późnym wieczorem 19 kwietnia 1809 r. W świetle płonących zabudowań wsi oddziały polskie, wykrwawione, ale nie pokonane, opuszczały utrzymane pozycje, rozpoczynając odwrót w kierunku Warszawy. Austriackim generałom nie udało się zrealizować planu, z którym wkroczyli w granice Księstwa Warszawskiego – rozbicia polskiej armii w jednej, szybko stoczonej bitwie, co pozwoliłoby im bez przeszkód opanować terytorium całego kraju. W planach koalicji państw, rozpoczynających kolejną wojnę z napoleońską Francją, Księstwo Warszawskie stanowiło wprawdzie teatr działań mniej ważny niż kraje niemieckie czy włoskie, ale jego politycznego znaczenia nikt w Wiedniu nie lekceważył. Szybki podbój napoleońskiego protektoratu oznaczałby likwidację niebezpiecznego dla mocarstw zaborczych zalążka niepodległej Polski. Pozwalałby także austriackiej dyplomacji na podjęcie próby przyciągnięcia do koalicji neutralnych Prus, którym zaoferowano by zwrot ich dawnej dzielnicy rozbiorowej. W razie ich odmowy podobną ofertą kuszono by Aleksandra I – formalnie pozostającego w sojuszu z cesarzem Francuzów.

Zadanie nie wydawało się trudne. Po odkomenderowaniu części polskich pułków do Hiszpanii lub kilku napoleońskich fortec, w przededniu wojny pod rozkazami polskiego wodza naczelnego ks. Józefa Poniatowskiego pozostawało, wraz z niewielkim kontyngentem saskim, ok. 18 tys. żołnierzy, z których części, pozostawionej jako garnizony w miastach i twierdzach, nie można było użyć w polu. Przeciw nim skierowano liczący ponad 30 tys. żołnierzy korpus arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Przewaga liczebna Austriaków zdawała się gwarantować im sukces nakazanych przez głównodowodzącego arcyksięcia Karola działań „szybkich, nagłych i stanowczych", uwieńczonych rozbiciem armii polskiej.

Niespełna dwa dni po nieudanej jego próbie ks. Józef i arcyksiążę Ferdynand, dwaj znajomi z wiedeńskich salonów, zawarli konwencję, zgodnie z którą wojsko polskie, korzystając z dwudniowego rozejmu, miało opuścić miasto. Przebywający w szpitalach żołnierze i oficerowie mieli prawo, po wyzdrowieniu, dołączyć do swoich jednostek. Austriacy zobowiązali się również nie nakładać na miasto kontrybucji. Były to warunki niewątpliwie dogodne dla strony polskiej. Z opinią, że pozbawionej odpowiednich umocnień stolicy nie można było skutecznie bronić, zgadzali się wszyscy polscy generałowie obecni na radzie wojennej. Nie rozumiała tego jednak większość jej mieszkańców. Opuszczające miasto pułki ruszały na Pragę żegnane ponurym milczeniem, natomiast w stronę świty Poniatowskiego leciały przekleństwa i okrzyki: „Zdrajca!". „Lękam się, czy nie podpisałem własnej niesławy" – zwierzył się książę jednemu z towarzyszących mu generałów.

Plan zaczepny Polaków

Najbliższe dni miały pokazać, że jego obawy były płonne. Z perspektywy strategicznej zajęcie Warszawy skomplikowało sytuację korpusu arcyksięcia. W swych dalszych działaniach musiał uwzględnić konieczność pozostawienia w niej garnizonu zabezpieczającego panowanie nad miastem. Przed ich rozpoczęciem musiał również przeprawić część oddziałów na prawy brzeg Wisły, by wyprzeć polską załogę z Pragi i rozpoznać pozycje Poniatowskiego. Siły księcia natomiast zyskiwały oparcie w fortyfikacjach Modlina, Serocka i Pragi. Polacy wygrywali też czas potrzebny do powołania pod broń nowych rekrutów w departamentach wolnych od nieprzyjaciela. Przede wszystkim jednak ks. Józef zyskiwał swobodę manewru. Skorzystał z niej szybciej, niż mogło przypuszczać austriackie dowództwo.

W ostatnich dniach kwietnia Polakom udało się odeprzeć austriackie natarcie na Pragę i zlikwidować zagrożenie, jakie stwarzała podjęta przez przeciwnika próba budowy stałego mostu na Wiśle na wysokości Góry i Ostrówka. Nocą 2 maja brygada gen. Sokolnickiego uderzyła na austriacki przyczółek przedmostowy na prawym brzegu rzeki i zdobyła go po krótkiej walce. Straty austriackie wyniosły ponad tysiąc zabitych i jeńców. Arcyksiążę utracił jednak przede wszystkim możliwość przerzucenia większych sił na prawy brzeg Wisły i bezpośredniego zagrożenia wojskom Poniatowskiego. Inicjatywa strategiczna przeszła w ręce polskie.

7 maja, korzystając z tego, że przeciwnik wkraczając do Księstwa, pozostawił za sobą jedynie słabe garnizony, oddziały ks. Józefa ruszyły w kierunku Siedlec oraz w dół Wisły i wkroczyły na ziemie zagarnięte przez Austrię w trzecim rozbiorze. „Nie podbijać idziecie, ale oswobadzać. Dosyć tego dla Polaka" – apelował książę do podkomendnych po rozpoczęciu wyprawy galicyjskiej i te słowa musiały być zrozumiałe dla wszystkich. Trudno rozstrzygnąć, kto był autorem planu wejścia do Galicji: sam Poniatowski, generałowie Jan Henryk Dąbrowski czy Józef Zajączek – to książę jako wódz naczelny brał jednak na siebie odpowiedzialność za skutki jego realizacji. Ryzyko z nią związane nie było małe – wojsko polskie rozpoczynało ofensywę bez szansy na wsparcie ze strony Wielkiej Armii uwikłanej w walki toczone w Niemczech, których rezultatu nie znano jeszcze w polskim sztabie. Niejasna pozostawała postawa Rosji – car Aleksander I, formalny »

eprasa.pl df7f188d7b

sojusznik Napoleona, nie zdobył się na działanie w obliczu austriackiego ataku na Księstwo. Co gorsza, pewne informacje wywiadu wskazywały, że nawet jeśli je podejmie, jego skutki mogą nie być korzystne dla Polaków.

Sandomierz i Lwów

Na wojnie umiejętność podjęcia skalkulowanego ryzyka opłaca się. Pierwsze tygodnie działań w Galicji stanowiły pasmo polskich sukcesów. Już 10 maja kawaleria gen. Rożnieckiego bez walki zajęła Lublin, którego mieszkańcy zgotowali rodakom niezapomniane przyjęcie: „[...] wszystkie okna i balkony napełnione [były] kobietami, które powiewały chustkami i wiwatami witały wchodzące wojsko" – wspominał świadek owych wydarzeń. Zapamiętał również bal wydany przez miasto na cześć wkraczającego doń ks. Józefa, podczas którego polski wódz naczelny ochoczo tańczył z córkami austriackich urzędników, „co już do reszty zawróciło młodym Niemkom głowy". Poniatowski miał wszelkie powody do zadowolenia. Jego wojska opanowały już cyrkuły siedlecki, bialski i lubelski, w których ustanowiono prowizoryczne, polskie władze i rozpoczęto formowanie nowych pułków. 18 maja, po krótkim szturmie przeprowadzonym przez brygady Rożnieckiego i Sokolnickiego, Polacy stali się panami Sandomierza. Dwa dni później oddziały dowodzone przez gen. Jeana Pelletiera, francuskiego specjalistę od artylerii w wojsku polskim, zdobyły potężną, jak na tę część Europy, twierdzę w Zamościu. Wśród wyróżnionych po szturmie żołnierzy znalazła się Joanna Żubrowa, żona jednego z żołnierzy, która „[...] walczyła obok męża swojego", przechodząc do historii jako pierwsza kobieta odznaczona Krzyżem Virtuti Militari.

Oba zwycięstwa otwierały nowe możliwości operacyjne – Poniatowski mógł teraz, w zależności od rozwoju sytuacji, podjąć działania w kierunku Lwowa lub Krakowa. Zachowując ostrożność, gros sił pozostawił między Zamościem a Sandomierzem, kilka pułków kawalerii z Rożnieckim na czele skierował jednak na południowy wschód. Szybki marsz oddziałów dawnego dowódcy legionowej kawalerii przez obszary pozbawione większych sił austriackich przyniósł kolejne sukcesy. 27 maja zaledwie kilkunastu strzelców konnych zajęło Lwów: „Całowano orły polskie na kołpakach, całowano konie i ludzi, znoszono jadło, napoje, obroki [...]".

Polityka wiąże bagnety

Sytuacja, w której siły Poniatowskiego mogły swobodnie działać w swoistej próżni strategicznej między siłami austriackimi na Morawach a korpusem arcyksięcia Ferdynanda w Księstwie, nie mogła jednak trwać długo. Utrata Sandomierza zagroziła liniom komunikacyjnym łączącym korpus arcyksięcia z jego zapleczem. Musiało to skłonić austriackiego dowódcę do działania, zwłaszcza że niepowodzeniem zakończyły się jego plany zdobycia Torunia i rozbicia działających w Wielkopolsce sił Dąbrowskiego. Opanowanie terytorium Księstwa Warszawskiego stało się dla Austriaków kwestią o drugorzędnym znaczeniu. Kluczowe stało się przejęcie inicjatywy strategicznej, zabezpieczenie własnych linii komunikacyjnych i spacyfikowanie zbuntowanych przeciw władzy Habsburgów Polaków w Galicji. W drugiej połowie maja jedna z dywizji austriackich ruszyła zatem z powrotem na południe. 1 czerwca zaś austriacki garnizon opuścił Warszawę. Był to niebezpieczny moment kampanii – w tym samym niemal czasie Napoleon poniósł dotkliwą porażkę w bitwie pod Aspern i Essling.

Sytuacja strategiczna Poniatowskiego się pogorszyła. Jego siły były rozrzucone na dużej przestrzeni. Oprócz cofającego się korpusu arcyksięcia mógł się spodziewać zagrożenia ze strony austriackich posiłków koncentrujących się na Węgrzech. Nie powiodła się także próba połączenia z maszerującą z Księstwa grupą gen. Zajączka, pobitą 11 czerwca w bitwie pod Jedlińskiem. 18 czerwca, po dwudniowej, zażartej walce Austriakom udało się odzyskać Sandomierz. Położenie oddziałów polskich w Galicji dodatkowo skomplikowało przystąpienie do wojny Rosji. Aleksander I zachował bierną postawę wobec austriackiego marszu na Warszawę. Do działania skłoniły go jednak sukcesy strony polskiej i związane z nimi obawy przed powiększeniem terytorium Księstwa Warszawskiego oraz skutkami patriotycznego fermentu wśród polskiej szlachty w zaborze rosyjskim. 2 czerwca do Galicji wkroczył korpus księcia Golicyna – formalnie jako sojusznik strony polskiej. Tajne instrukcje przekazane dowódcy nakazywały mu jednak unikać starć z Austriakami, a jednocześnie zająć jak największe obszary zaboru austriackiego, zanim uczynią to wojska Poniatowskiego.

Wrogi sojusznik Rosja

Czynnik polityczny utrudnił działania ks. Józefa. Jego apele o nawiązanie współdziałania kierowane do rosyjskich dowódców spotykały się z ich kurtuazyjnymi, ale nic nieznaczącymi odpowiedziami. Golicyn nie angażował się w walkę z Austriakami, skwapliwie jednak zajmował opuszczone przez nich terytoria, wyprzedzając oddziały ks. Józefa. Rosyjski dowódca zawarł zresztą tajne porozumienie z arcyksięciem, w myśl którego obie strony miały zaniechać walki, a Rosjanie zobowiązywali się nie dopuszczać do formowania polskich władz cywilnych na zajmowanych obszarach. Ciche współdziałanie obu zaborców dobitnie ujawniło się we Lwowie. 21 czerwca stacjonujące w nim nieliczne siły polskie wycofały się na wieść o zbliżaniu się silnej grupy wojsk austriackich. Austriacy z powrotem zaprowadzili w mieście cesarskie rządy, a następnie... wyruszyli dalej, przekazując miasto Rosjanom, którzy odmówili przywrócenia w nim polskiej administracji.

U schyłku czerwca Poniatowski i arcyksiążę, dostrzegając ryzyko związane z podejmowaniem zbyt śmiałych działań, faktycznie pozorowali akcje zaczepne, Golicyn zaś koncentrował się na zajmowaniu nowych obszarów Galicji Wschodniej opuszczanych przez

WOJSKO POLSKIE ROZPOCZYNAŁO OFENSYWĘ BEZ SZANSY NA WSPARCIE ZE STRONY WIELKIEJ ARMII

eprasa.pl df7f188d7b

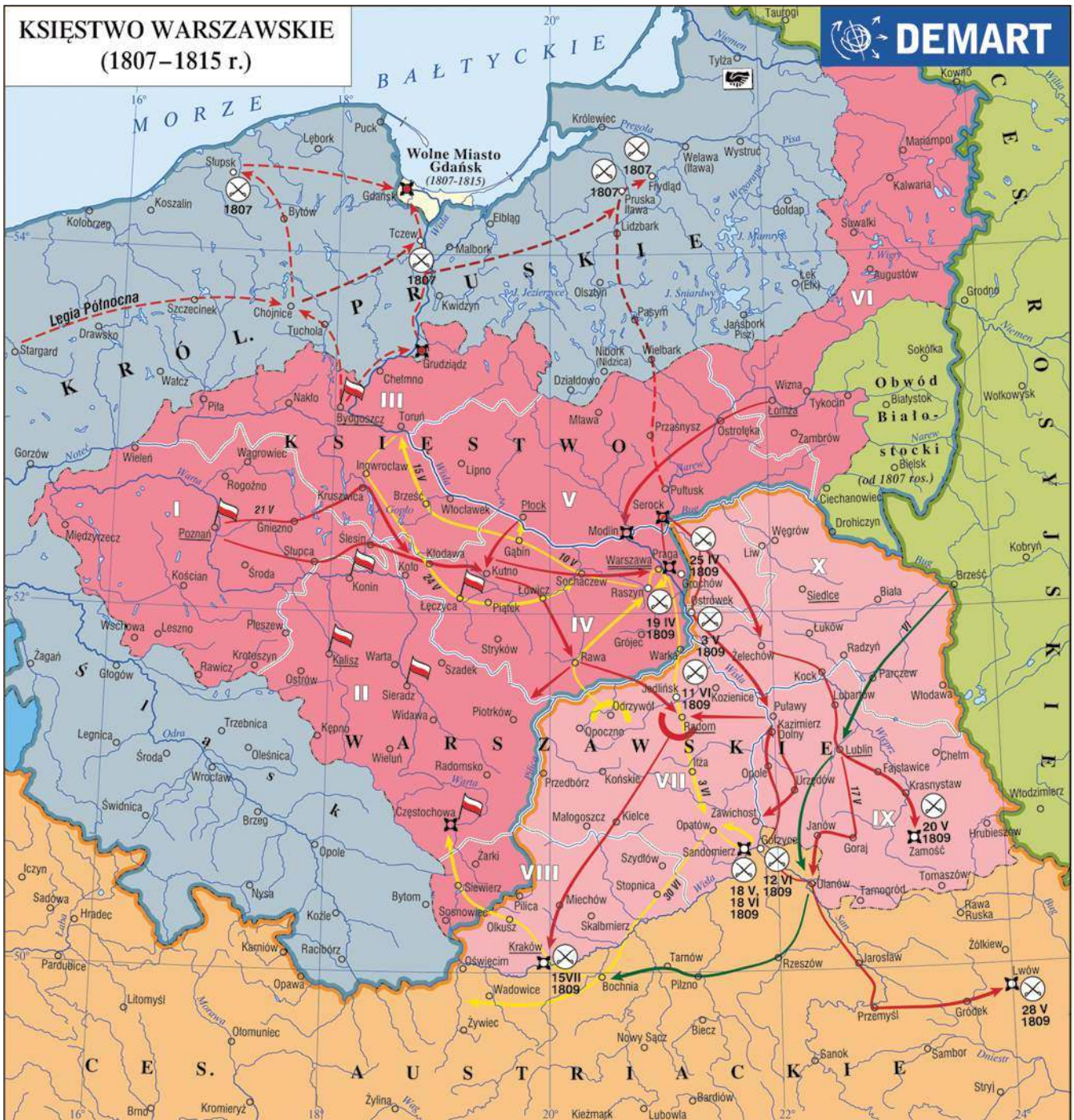

eprasa.pl df7f188d7b

Austriaków. Impas w działaniach zakończył się w początkach lipca. Na wieść o zwycięstwie odniesionym przez Napoleona w walnej bitwie pod Wagram (5–6 lipca) Austriacy, obawiając się marszu oddziałów ks. Józefa w stronę Moraw w celu nawiązania współdziałania z Wielką Armią, skoncentrowali większość sił w okolicach Krakowa. W kierunku miasta ruszyły główne siły ks. Józefa. Dotarły tam rankiem 15 lipca. Austriacy otrzymali już rozkaz opuszczenia Galicji, zależało im jednak, by Kraków nie wpadł w ręce polskie. By zyskać na czasie, przekonali Poniatowskiego do zawarcia krótkiego rozejmu w celu uzgodnienia warunków opuszczenia miasta. Zyskali czas, który pozwolił pierwszym rosyjskim oddziałom dotrzeć do Krakowa. Nie docenili jednak determinacji polskiego wodza naczelnego. Na wieść o rosyjskich huzarach strzegących Bramy Floriańskiej Poniatowski wyruszył w ich stronę na czele swej świty i przedarł się do miasta, jak informował później Napoleona: „potrącając koniem tych, którzy mi drogę zastępowali". Reszty dokonała podążająca za księciem z nadstawionymi bagnetami kompania piechoty, która obsadziła wejścia do miasta, usuwając z nich rosyjskie straże: „A nawet uparci dostali po grzbiecie kolbami". W tej sytuacji rosyjski dowódca uznał umowę przekazującą Kraków Polakom.

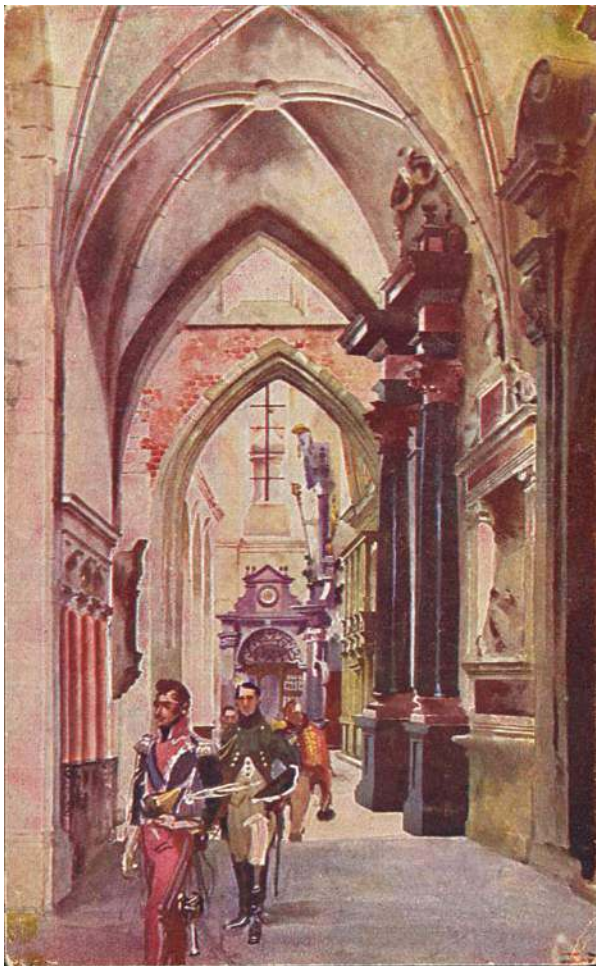

Stanisław Tondos, Wojciech Kossak, „Józef Poniatowski w Katedrze po odebraniu Krakowa Austrjakom", 1927 r.

Bilans wielkiego sukcesu

Wyzwolenie dawnej stolicy zakończyło działania wojenne na większą skalę, choć do końca lipca trwała jeszcze wojna podjazdowa w Galicji Wschodniej. Wkrótce do kwatery ks. Józefa dotarła informacja o rozpoczęciu negocjacji pokojowych. Miały one także rozstrzygnąć dalsze losy Galicji. Do Wiednia wyruszyła polska delegacja z Ignacym Potockim na czele. W następnych tygodniach starała się ona zjednać napoleońskich dyplomatów i dygnitarzy dla postulatu przyłączenia ziem zaboru austriackiego do Księstwa Warszawskiego. Nie było to zadanie łatwe. Mimo odniesionego zwycięstwa w wojnie Napoleon nie mógł pozwolić sobie na zadrażnianie stosunków z Rosją – taki zaś byłby niewątpliwie skutek pełnej realizacji polskich postulatów. Negocjacje w pewnej mierze ułatwiła... przezorność polityczna ks. Józefa, który nakazał wcześniej zajmować galicyjskie cyrkuły w imieniu Napoleona. Władzę administracyjną nad nimi przekazał powołanemu przez siebie „Rządowi Wojskowemu Tymczasowemu Centralnemu pod protekcją Najjaśniejszego Cesarza i Króla Napoleona Wielkiego". U progu negocjacji Galicja była zatem oficjalnie włączona w napoleońską strefę wpływów, co osłabiało rosyjskie i austriackie roszczenia wobec niej. Ostateczny wynik rokowań okazał się korzystny dla Polaków, choć, jak zwykle w owej epoce, nie w pełni ich satysfakcjonujący. Terytorium państwa wzrosło ze 103 tys. do 155 tys. km kw., ludność – od 2,6 do 4,3 mln. Część Galicji Wschodniej, opanowanej przez wojska polskie w ostatniej fazie wojny, przyznano Rosji jako wynagrodzenie za jej „wysiłek" wojenny i zadośćuczynienie za powiększenie terytorium Księstwa. W pozostałej części Galicji utrzymano rządy austriackie.

Sukces nie był zatem pełny, o ile jednak traktat tylżycki kończący wojnę 1807 r. wywołał rozczarowanie Polaków, o tyle tym razem nie było wśród nich malkontentów. Terytorium Księstwa Warszawskiego, powszechnie niemal uważanego za pierwszy etap na drodze do odbudowy Królestwa Polskiego, uległo znaczącemu powiększeniu. Zdaniem wielu potwierdzało to sens trwania u boku Napoleona. Przebieg wojny poważnie wzmocnił wiarę Polaków we własne siły – jak podkreślano, było to ich pierwsze samodzielne zwycięstwo od czasów Jana III Sobieskiego. Rok 1809 przyniósł również kolejne, budujące przykłady obywatelskiej ofiarności i umiejętności samoorganizacji. W trakcie kampanii w Galicji nie tylko stworzono podstawy polskiej administracji. Sformowano także, w dużej mierze dzięki zapałowi ochotników i hojności fundatorów, sześć pułków kawalerii i cztery regimenty piechoty. Wraz z wysiłkiem zbrojnym samego Księstwa dało to ok. 47 tys. żołnierzy – zmiana uderzająca w porównaniu z kilkunastoma tysiącami, którymi dysponował ks. Józef u progu wojny. Jej wynik przyniósł również znaczące zmiany w sferze symbolicznej. Rok 1809 dał początek legendzie ks. Józefa, który z nieco lekkomyślnego sybaryty przeistoczył się w oczach rodaków we wcielenie narodowych wyobrażeń o honorze i odwadze. Obok niego miejsce w zbiorowej świadomości zajęli także bohaterowie, których śmierć uznawano za cenę wolności, jak Cyprian Godebski, Berek Joselewicz, Marceli Lubomirski. Na długie dziesięciolecia XIX w. pamięć o zwycięskiej wojnie 1809 r. stała się źródłem dumy i wiary w skuteczność zbiorowego wysiłku w walce o odzyskanie utraconego państwa.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

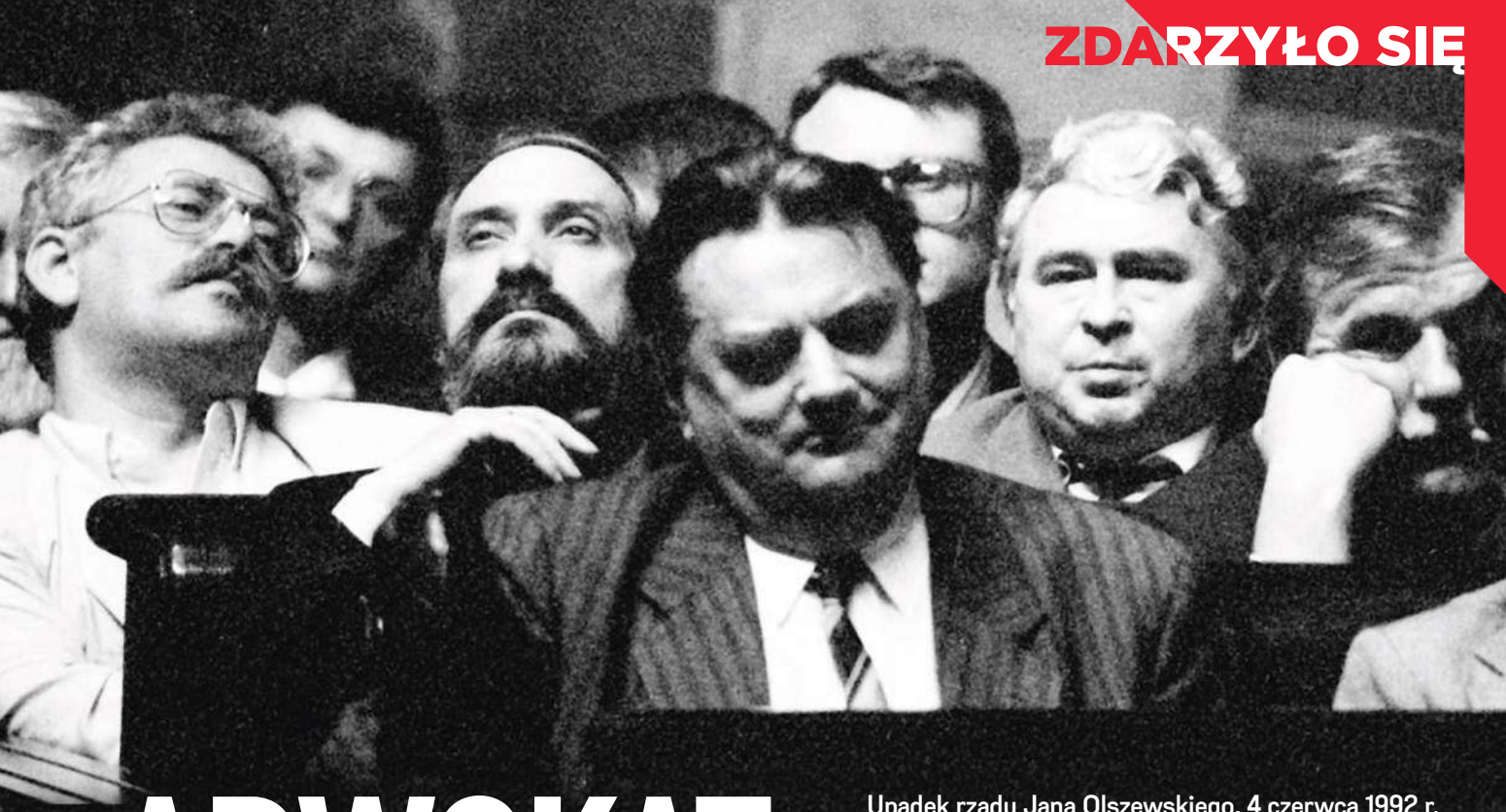

Upadek rządu Jana Olszewskiego, 4 czerwca 1992 r. Na zdjęciu od lewej: Romuald Szeremietiew, Antoni Macierewicz, Jan Olszewski, Andrzej Olechowski

FOT. WIERZEJSKI/FOTONOVA

ADWOKAT NAJTRUDNIEJSZYCH POLSKICH SPRAW

JAN OLSZEWSKI NIE BYŁ ZAWODOWYM POLITYKIEM. NA JEGO PROFILU POLITYCZNYM BARDZO ODCISNĘŁA SIĘ PRACA PRAWNIKA I ADWOKATA, CZYLI UDZIELANIE POMOCY INNYM

JAN PARYS

Jako adwokat bronił tych, którym działa się krzywda. Jako polityk starał się postępować podobnie. Przez wiele lat życia w PRL podejmował się obrony w sprawach politycznych, co wymagało dużej odwagi cywilnej. Bronił m.in. Wańkowicza, Szpotańskiego, Kuronia, Modzelewskiego, Ziembińskiego, Romaszewskich, a także studentów w 1968 i robotników w 1976 r. Na prośbę Episkopatu Polski brał udział w oględzinach ciała ks. Jerzego Popiełuszki, a potem był oskarżycielem posiłkowym w procesie sprawców zbrodni. To oznacza, że wziął na siebie chyba najtrudniejszą sprawę w PRL.

Był zawsze otwarty wobec ludzi. Jego postawa i podejście do życia są zaprzeczeniem gry politycznej, którą się utożsamia z wysokimi funkcjami publicznymi, np. premiera.

Człowiek misyjny

Miał niewątpliwie zdolność precyzyjnej analizy politycznej sytuacji, a także umiejętność patrzenia na rzeczywistość przez pryzmat prawa – to był dla Niego bardzo ważny fundament instytucji państwa. To było widać, kiedy pracował przy dokumentach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, kiedy brał udział w opracowaniu statutu NSZZ »

eprasa.pl df7f188d7b

» „Solidarność" lub kiedy pomagał napisać Obywatelski Projekt Konstytucji. Nie był typowym politykiem. Należałoby zapytać: ale kto wtedy miał doświadczenie w polityce? Niewątpliwie wszyscy ci, którzy w czasach PRL należeli do PZPR, oni przeszli trening gry politycznej, np. Geremek. Jan Olszewski nie był członkiem PZPR, ale niemal całe życie uczestniczył w życiu publicznym, począwszy od walki politycznej o miejsce Mikołajczyka i PSL w Polsce po wojnie.

Jan Olszewski to człowiek, który poczuwał się do pewnej misji. Środowiska opozycyjne, patriotyczne, związane z dawnym pepeesowskim nurtem, wysuwały Go na godne funkcje, one mu zawierzyły starania o poprawę sytuacji Polski, a wypełnienie tego zobowiązania stało się Jego celem. Nie chciał posiadania władzy dla władzy czy władzy dla swojego środowiska. Gdy został premierem, nie miał swojej partii, zaplecza politycznego. To była bardzo nietypowa sytuacja. Duża część klasy politycznej darzyła go szacunkiem, również jego przeciwnicy.

Działał czasem bardzo pryncypialnie. Pokazywał, że są pewne granice kompromisu, chociażby podczas rozmów okrągłego stołu, co do których się mocno dystansował. Nie miał doświadczenia biurokratycznego. Machina państwowa była mu obca. Widziałem, jak z trudem się przełamywał, by zacząć pracować blisko z ludźmi, którzy nie są mu dobrze znani. Przez lata pracował indywidualnie, a kiedy został premierem, musiało dojść do dużej zmiany, do zderzenia się człowieka, który całe życie uprawiał indywidualnie wolny zawód, z machiną administracji państwowej.

Rząd mniejszości?

Rząd Jana Olszewskiego nie miał większości w parlamencie. Wsparcie parlamentarne dla Jego gabinetu było ograniczone. Lech Wałęsa nie był zwolennikiem tego rządu. Wyraził to ostatecznie w piśmie do sejmu 26 maja 1992 r., a więc dwa dni, zanim sejm przegłosował uchwałę o lustracji. Życzliwość prezydenta była zresztą od początku znikoma, ulatniała się z każdym dniem. Bycie premierem w takiej sytuacji było niezwykle trudne.

Jan Olszewski był przekonany, że polityka ekonomiczna Leszka Balcerowicza niesie zbyt duże koszty społeczne, że prowadzi do upadku setek przedsiębiorstw. Okres ochronny dla rządu Olszewskiego właściwie nie istniał. Leszek Balcerowicz miał dobrą prasę zarówno polską, jak i zagraniczną. Tymczasem premier chciał prowadzić inną politykę ekonomiczną. Wsparcie znalazł w osobach bardzo fachowych znających tę sferę – Jerzym Eysymontcie, Tomaszu Gruszeckim, Adamie Glapińskim, Jerzym Kropiwnickim, Andrzeju Olechowskim. To była czołówka polskich ekonomistów, którzy nie uprawiali marksizmu. Media podkreślały, że nie ma innej drogi niż ta, którą wyznaczył Balcerowicz. Przeciwstawienie się temu było tym bardziej trudne. My w rządzie wiedzieliśmy, że dróg naprawy stanu gospodarki jest wiele, nie tylko ta jedna, liberalna. To było widać na przykładzie Czechosłowacji.

Media były w niemałym stopniu pod wpływem dziennikarzy, którzy prezentowali interesy komunistyczne. Największa i dominująca „Gazeta Wyborcza" od samego początku była Janowi Olszewskiemu nieżyczliwa. Nie miał wielkiego serca, by jako premier reformować swoją kancelarię, ale próbował stworzyć swój minizespół zaufanych ludzi. Sądzę, że wobec tego wszystkiego objęcie funkcji premiera było dla Niego ryzykowne i dosyć nieprzyjemne.

Porażka czy sukces?

Upadek rządu Jana Olszewskiego nie jest dowodem na brak skuteczności. To był rezultat pewnej gry politycznej. Tej gry, by utrzymać się u władzy za wszelką cenę, premier Olszewski prowadzić nie chciał. Nie chciał trwać na stanowisku za cenę wygórowanych kompromisów. On nie myślał w kategoriach „trzymamy się władzy i kiwamy naszych przeciwników". Pokazał, że może być inna polityka gospodarcza. Rząd przygotował budżet, który się okazał bardzo dobry. Dzięki nowej polityce gospodarczej wskaźniki gospodarcze zaczęły się poprawiać.

Dokonano rewolucyjnych posunięć – wtedy powstała polityka zbliżenia do NATO. Wszystkie moje pomysły, jako ministra obrony narodowej w Jego rządzie, które miały to na celu, spotykały się ze strony premiera z zadowoleniem i poparciem, m.in. nacisk na suwerenność, na zmiany w wojsku. Nawet za cenę awantury politycznej i medialnej w sejmie lub z prezydentem. Premier Olszewski chciał związać nasze struktury militarne z Zachodem. Opinia publiczna przyjmowała te cele z dużym zadowoleniem. Następne ekipy już nie mogły się z tego wycofać, choć było to wbrew ich chęciom (rząd Hanny Suchockiej nigdy by nie kontynuował zbliżenia z NATO, lecz rozumiał, że cofnięcie się z tej drogi będzie natychmiast odebrane w oczach społeczeństwa jako zdrada). Podobnie budowa polityki niezależności od Rosji pozostała trwałym wkładem rządu Olszewskiego w budowę suwerennego państwa.

Akcja lustracyjna

Akcja lustracyjna była pewnym impulsem do uderzenia w rząd przez środowiska prorosyjskie. Największym zaskoczeniem dla naszych przeciwników była bardzo szybka zmiana miejsca Polski na geopolitycznej mapie Europy. To była rewolucja. Nic nie było uzgadniane z żadnym krajem, poza USA i sekretarzem generalnym NATO Manfredem Woernerem. Nie mieliśmy czasu, by prowadzić subtelną grę polityczną. Nie było czasu, by rządy innych państw powoli oswajać, że my reorientujemy naszą politykę bezpieczeństwa. Skutki tego były nie mniejsze niż zjednoczenia Niemiec, to była rewolucja, nowa sytuacja w Europie. Prowadziłem wiele rozmów z zagranicznymi dyplomatami, ale to był i tak dla nich szok, coś, co przekraczało wyobraźnię.

Lustracja miała charakter wewnątrzkrajowy, dla innych państw nie miała ona dużego znaczenia. Prawdziwa rewolucja to były stosunki Polski z NATO i nowy układ relacji z Rosją. Służby specjalne w Rosji szybko się zorientowały, że to nie są tylko zmiany deklaratywne. Nasza polityka to były bardzo konkretne i nieodwracalne kroki. Zmiana polityki militarnej budziła przerażenie zarówno na Kremlu, jak i w kraju u tych, którzy zmontowali okrągły stół, którzy byli za utrzymaniem porozumień z komunistami, czyli z ludźmi Moskwy.

Nienawiść ludzi z Unii Demokratycznej i środowiska „Wyborczej" do rządu wzięła się nie z powodu lustracji, ale z powodu polityki zbliżenia z NATO, co burzyło porozumienia z okrągłego stołu, które zakładały, że Polska zostanie w tym miejscu geopolitycznym, gdzie była; w miejscu, gdzie komunistów się nie ściga, a jedyne, co może Polska zrobić, to pozostawać w pasie neutralnym

eprasa.pl df7f188d7b

między Wschodem a Zachodem. Przypomnę, że przed powołaniem rządu Olszewskiego polska delegacja głosowała przeciwko rozwiązaniu Układu Warszawskiego, a zrobił to w imieniu Polski działacz UD minister Janusz Onyszkiewicz. Zrobił to w pełni świadomie. Według działaczy Unii Demokratycznej i redaktorów „Gazety Wyborczej" Polska miała pozostać w pozycji, gdzie Moskwa nadal ma prawo weta. Podjęta przez rząd Olszewskiego budowa pełnej suwerenności burzyła ten punkt widzenia i interesy wielu środowisk w kraju, nie tylko jawnych komunistów. Gazety pisały o lustracji, ale tak naprawdę gra toczyła się o coś zupełnie innego. Jeżeli państwo przechodzi do obozu zachodniego, to nie ma już miejsca na utrzymanie układu okrągłego stołu, bo zwycięża wola społeczeństwa wyrażona w wyborach. Brak lustracji był częścią porozumienia zawartego przez uczestników okrągłego stołu w Magdalence. Utrzymanie dawnych porozumień z czasów PRL było możliwe tylko, kiedy Moskwa miała w Polsce swoje wpływy.

Wtedy, wiosną 1992 r., stało się jasne, że jest podział w obozie „Solidarności". Jedni chcieli, by Polska była związana z Europą Zachodnią, a inni – by pozostała tu, gdzie była, czyli związana z Rosją. Nie było przypadkiem, że Lech Wałęsa proponował budowę NATO-bis i EWG-bis, czyli alternatywy dla opcji prozachodniej rządu. Warto przypomnieć, że Lech Wałęsa był gotów podpisać w Moskwie traktat gwarantujący Rosji utrzymanie wpływu w Polsce. I tylko telegram premiera Olszewskiego go od tego powstrzymał. Po powrocie do Warszawy Wałęsa jawnie już zakwestionował możliwość współpracy z rządem. Zamieszanie wokół traktatu było możliwe, gdyż ludzie Belwederu oraz paru dyplomatów prowadzili rokowania w złej wierze. To od gen. Zdzisława Ostrowskiego, który był pełnomocnikiem rządu, premier dowiedział się, co Polsce grozi, jeżeli rząd pozostanie bierny i w sprawie traktatu da wolną rękę Lechowi Wałęsie.

Rząd mniejszościowy, rząd etyczny

Wówczas obowiązywała ordynacja, która sprzyjała rozbiciu parlamentu. Może też różni ludzie mieli za duże ambicje, może rozbicie polityczne to była także kwestia osobowości pewnych osób?

KPN – przywódca i parę osób wokół niego było uzależnionych od bezpieki. Warunkiem poparcia dla rządu było przejęcie MON. KPN nie chciał żadnego innego resortu. Chyba nie przypadkiem chcieli mieć kontrolę nad zmianami, jeśli chodzi o kurs prozachodni, bo nie zamierzali do niego dopuścić. To była próba dyktatu Leszka Moczulskiego wobec rządu. Jan Olszewski na to się nie godził.

Kierownictwo Kongresu Liberalno-Demokratycznego postawiło jeden warunek wejścia do rządu: premier miał zagwarantować im nietykalność związaną z prywatyzacją.

Negocjacje z Mazowieckim też się załamywały, z powodu Balcerowicza, choć nie tylko. Różne były mechanizmy obrony status quo. Jan Olszewski nie czuł się zobowiązany dotrzymywać układów okrągłego stołu, bo uważał, że dobro kraju jest ważniejsze niż układy, które zawierano nieformalnie. Było wtedy takie poczucie, że bez względu na wynik wyborów to cały czas tych samych kilkanaście osób będzie decydowało, co się robi i kto rządzi – to mieli być ludzie z Magdalenki. Wszyscy inni, nawet wybrani na posłów czy ministrów, mieli się im podporządkować. To było mafijne rozwiązanie, które Unia Demokratyczna chciała kontynuować.

Jan Olszewski nie miał umiejętności organizacyjnych, woli prowadzenia gry politycznej. Chociaż był popularny, nie czuł się dobrze na wiecach, nie chciał być trybunem ludowym, nie brał udziału w dużych manifestacjach. To był raczej polityk gabinetowy, działający w kuluarach. To nie była osoba wymarzona na pozycję lidera. Umiejętność pracy w grupie nie była jego atutem, co wyszło po obaleniu jego rządu. Nigdy nie miał woli kontynuowania współpracy z zespołem. Nie zbudował również wielkiej partii politycznej.

Jego osiągnięcia to pewne inicjatywy, których rząd nie zdołał do końca zrealizować. Prozachodni kurs, wzrost gospodarczy, próba oczyszczenia elity politycznej to trzy dziedziny, poprzez które rząd zmienił kierunek rozwoju kraju i pozycję Polski w świecie. Obok tego zostaje po tym rządzie pewien wzór działania politycznego. Dla jednych jest to wzór pozytywny, dla innych – trudny do akceptacji. Oto, co było dla premiera Olszewskiego charakterystyczne:

- zasada etyczna, że do godnych celów dochodzi się godnymi środkami;
- uznanie, że polityka to nie interes prywatny ani partyjny, lecz troska o sprawy ważne dla całego społeczeństwa;
- przyjęcie, że priorytetem jest umacnianie suwerenności państwa, co było związane z przyjęciem polityki prozachodniej;
- prospołeczna wrażliwość – reformy nie są celem samym w sobie, zawsze należy patrzeć na koszty społeczne reform ekonomicznych, gospodarka jest dla ludzi, a nie odwrotnie, jak to się Balcerowiczowi wydawało.

Polityk wyjątkowy

Sądzę po latach, że te założenia były podstawą uprawiania polityki przez premiera Olszewskiego. To Go istotnie różniło od tych, którzy byli przed nim, i tych, którzy przyszli po nim na stanowisko prezesa Rady Ministrów.

Wielka zaletą Jana Olszewskiego było zrozumienie podstaw suwerenności – roli wojska, Kościoła, szkoły itd. Patrzył na te instytucje przez pryzmat budowy państwa suwerennego.

Wadą był brak talentów organizacyjnych. Brak umiejętności walki politycznej, kiwania i oszukiwania. To dla jednych jest wadą, ale dla drugich to zaleta. W swojej aktywności politycznej zwracał uwagę nie tylko na to, co należy robić, ale także jak postępować, czyli jakimi metodami dążyć do skuteczności. Prawie każdy oglądał film „Nocna zmiana" i naradę u Wałęsy. Patrząc na zachowanie uczestników narady, ich słowa i styl, mowę ciała, widać, że interesują ich tylko przejęcie władzy i personalia. Nie pada tam refleksja o tym, czym w danej sytuacji jest dobro państwa, żaden nie mówi o Polsce. To nie jest spotkanie polskich polityków, lecz rozmowa na poziomie meliny. Nic dziwnego, że premier w czerwcu 1992 r. nie chciał poszerzać koalicji. Bo trudno sobie wyobrazić, by pracował z osobami, które zachowują się jak meliniarze.

Jan Olszewski miał idealistyczny styl uprawiania polityki, gdzie jest ona związana z moralnością. Nie wszystko można, nawet jeśli się ma władzę. On pojmował politykę jako działalność, w której obowiązują pewne granice, czyli zasady. To dziś rzadkie. Był osobą wyjątkową w naszym życiu publicznym.

Autor był ministrem obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego

eprasa.pl df7f188d7b

SPOTKANIA Z JANEM OLSZEWSKIM

PANA JANA OLSZEWSKIEGO SPOTKAŁEM W ROKU 1990, PRACOWAŁEM WÓWCZAS W KOMITECIE OBYWATELSKIM PRZY LECHU WAŁĘSIE. MOJA BLIŻSZA WSPÓŁPRACA Z PANEM MECENASEM ROZPOCZĘŁA SIĘ WTEDY, KIEDY JAN OLSZEWSKI DOSTAŁ PO RAZ PIERWSZY MISJĘ FORMOWANIA RZĄDU

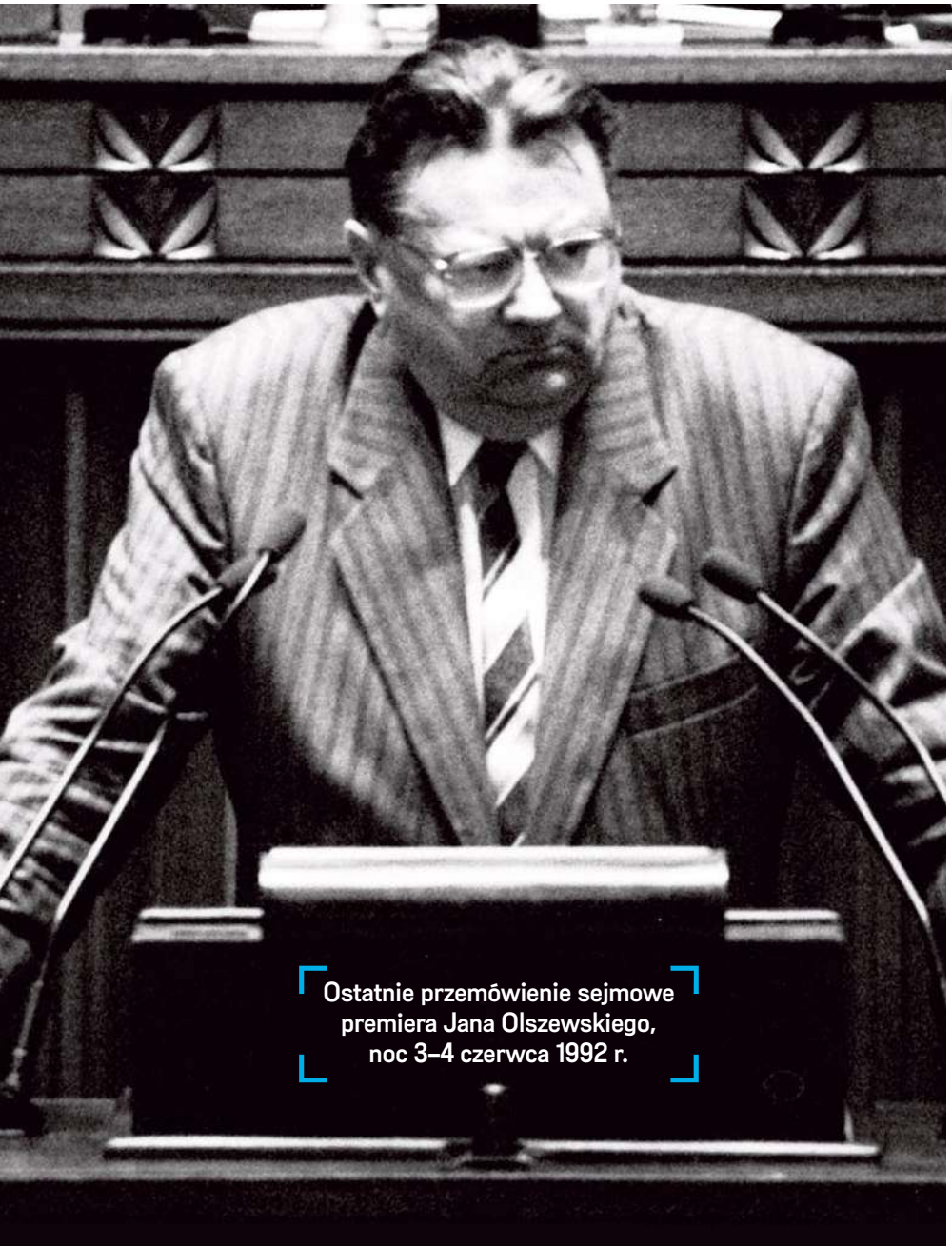

Ostatnie przemówienie sejmowe premiera Jana Olszewskiego, noc 3–4 czerwca 1992 r.

ZBIGNIEW KRZYSZTOŃ

Dnia 2 grudnia 1990 r. prezydent elekt Lech Wałęsa powierzył Janowi Olszewskiemu misję tworzenia rządu. Jak się okazało, misja ta była jedynie zagrywką prezydenta i z góry skazana była na niepowodzenie.

Prolog

Kiedy mec. Olszewski przyjął zadanie tworzenia gabinetu, zakotwiczył w ówczesnym biurze Komitetu Obywatelskiego (Pałacyk Sobańskich w Warszawie), a ja zostałem Jego sekretarzem. Dla mnie, 23-latka, był to początek kilkuletniej, bliskiej współpracy z osobą, od której nauczyłem się bardzo wiele. Nie byłem ani nie jestem politykiem, a współpraca z Janem Olszewskim była dla mnie ważna ze względu na Jego wyjątkową osobowość oraz wysokie standardy moralne – cechy wyjątkowe pośród naszych elit.

Pierwszy rozdział współpracy trwał niedługo, zakończył się 18 grudnia 1990 r. wieczorem, kiedy odczytałem dziennikarzom oświadczenie pana mecenasa. Była w nim mowa o rezygnacji Jana Olszewskiego z misji tworzenia gabinetu ze względu na istotne różnice w poglądach na rząd pomiędzy prezydentem a premierem.

Było to zaledwie 16 dni intensywnej pracy. Spędzałem z panem Janem Olszewskim czas od rana do wieczora, moja rola polegała na pomocy w zarządzaniu kalendarzem, spotkaniami i – na Jego życzenie – na izolowaniu Go od dziennikarzy. Nie chciał rozmawiać z mediami, ponieważ Jego misja była częściowo utrzymywana w tajemnicy. Byłem więc buforem. Sam Jan Olszewski, a także jego współpracownicy: Zdzisław Najder oraz Wojciech Włodarczyk, odbywali mnóstwo spotkań, ja starałem się pomóc, jak tylko mogłem. Pan mecenas okazał się niesłychanie ciepłym, wrażliwym człowiekiem. Pamiętam, że wielokrotnie miał wobec mnie skrupuły związane z pracą do późnego wieczora.

W kolejnych latach współpracy przekonałem się, że był to człowiek szczerze wyczulony na los innych. Skromny, życzliwy, okazujący szacunek każdej spotkanej osobie. Setki osób trafiało do Niego ze swoimi problemami. Chcieli uzyskać pomoc, radę lub po prostu porozmawiać. Pan mecenas znajdował dla nich czas. Było to autentyczne skupienie na ludziach i ich sprawach. To nie gra ani socjotechnika – on był z gruntu zainteresowany ludźmi i nie tworzył barier w kontaktach.

Sekretarzowanie

Po pierwszych w postkomunistycznej Polsce w pełni demokratycznych wyborach parlamentarnych Jan Olszewski otrzymał 6 grudnia 1991 r. kolejną propozycję sformowania rządu i wtedy ponownie rozpocząłem pracę dla Niego jako osobisty sekretarz.

W grudniu 1991 r. Jan Olszewski podjął decyzję, że do czasu otrzymania wotum zaufania i powołania pełnego składu rządu nie będzie pracował w Urzędzie Rady Ministrów (URM), tylko w Sejmie. Dostaliśmy od Kancelarii Sejmu, małe pokoiki, w jednym stworzyliśmy coś w rodzaju sekretariatu, a w drugim był gabinet premiera. Sprowadziliśmy dwie sekretarki z URM, liczba spraw była tak duża, że ja sam absolutnie nie byłem w stanie nad nimi zapanować. Generalnie nie korzystaliśmy ze służb rządowych, co było charakterystyczne dla pierwszych 2–3 tygodni formowania gabinetu. Dopiero po 23 grudnia, kiedy rząd został zaprzysiężony, przeprowadziliśmy się do URM. Mając w pamięci doświadczenia z poprzedniego roku, pan Olszewski uważał, że jego misja nie jest przesądzona. W związku z tym nie chciał się decydować na formalne wejście do URM. Chciał poczekać. Uważał, że najważniejsze jest uzyskanie akceptacji Sejmu w sprawie powołania rządu – to także pokazuje, że Jan Olszewski serio traktował demokratyczne reguły gry.

Pamiętajmy, że praktycznie cały aparat urzędniczy i państwowy był odziedziczony jeszcze po Mieczysławie Rakowskim. Aparat ten wymagał zmian, a bezpośrednie zaplecze pana premiera składało się zaledwie z kilku osób, zupełnie pozbawionych doświadczenia w administracji państwowej. Zarówno Jan Olszewski, jak i jego otoczenie musieli szybko się uczyć sztuki zarządzania administracją państwa. Nie było to proste, bo aparat państwowy na początku transformacji starał się hamować proces przekształceń.

Będąc z nim blisko, wiem, że jego ostatnie zdania wypowiedziane w roli premiera 4 czerwca 1992, chwilę przed głosowaniem Sejmu, nie były wyreżyserowanym spektaklem. Przypomnę: „Chciałbym mianowicie, wtedy kiedy ten gmach opuszczę, kiedy skończy się dla mnie ten – nie ukrywam – strasznie dolegliwy czas, kiedy po ulicach mojego miasta mogę się poruszać tylko samochodem albo w towarzystwie torującej mi drogę i chroniącej mnie od kontaktu z ludźmi eskorty, że wtedy, kiedy się to wreszcie skończy – będę mógł wyjść na ulice tego miasta, wyjść i popatrzeć ludziom w oczy". To były słowa szczere, słowa człowieka, któremu doskwierały wieczne ograniczenia i ciągła obecność ochrony. On lubił spacery i swobodne kontakty z ludźmi. Trudno to zrozumieć w dzisiejszym świecie zdominowanym przez sztucznie kreowane wydarzenia medialne, ale działania Jana Olszewskiego były podporządkowane wyłącznie logice prowadzonych prac i służbie wspólnemu dobru. Logika medialnego festiwalu wydarzeń będących „przykrywkami" odwracającymi uwagę opinii publicznej nie była stosowana.

Przy okazji przytoczonego cytatu warto przypomnieć, że Jan Olszewski nie odczytywał wygłaszanych przemówień. Tak też było 4 czerwca 1992. Jako świetny mówca zawsze improwizował. Mówił zdaniami wielokrotnie złożonymi i bardzo długimi (przytoczony wyżej cytat to jedno zdanie). Zdarzało się, że słuchając Go, traciłem wątek – a On, ku mojemu zaskoczeniu, perfekcyjnie zmierzał ku zakończeniu wypowiedzi – zachowując przy tym logikę, spójność, prawidłowy styl i posługując się piękną polszczyzną.

Premier, zwierzchnik, mistrz

Inną cechą Jana Olszewskiego, która mnie uderzyła, to Jego niesłychany intelekt. Pan Jan był erudytą, człowiekiem wielu pasji, który doskonale znał historię, literaturę, a przy tym – gawędziarzem. Wiązał zdarzenia z przeszłości ze współczesnymi. Nawet w najtrudniejszych momentach nie opuszczało Go poczucie humoru. Był to humor trochę sarkastyczny, często skierowany pod swoim adresem.

Strateg, erudyta, przewidujący kilka ruchów do przodu. Konsekwentny i stały w poglądach, zwolennik wysokich standardów moralnych w życiu publicznym. Człowiek wielkiej rozwagi, niepodejmujący szybko decyzji (o czym świadczyło jego premierowskie biurko, zasypane wciąż dokumentami). Nie był graczem politycznym – dla niego kompromis był możliwy, ale tylko do pewnych granic.

Sądzę, że wszyscy Jego współpracownicy mogą potwierdzić, że nie był typowym szefem wydającym dyspozycje i oczekującym ich realizacji. On zawsze stosował formę zwracania się z prośbą do współpracowników.

Kolejną cechą Jana Olszewskiego była rzetelna niezależność myślenia i poglądów. Mimo starań i zabiegów różnych osób, by wpływać na Jego stanowisko, premier samodzielnie podejmował decyzje, a przy ich podejmowaniu kierował się swoją wiedzą, doświadczeniem. Wiele czasu także spędzał na dyskusjach ze współpracownikami, z którymi wymieniał myśli i poglądy. Mam takie wrażenie, że dostęp do premiera mieli wszyscy, którzy potrzebowali rozmowy. Jan Olszewski wysłuchiwał różnych opinii, nie podejmując natychmiast decyzji. I do momentu publicznej deklaracji nikt z jego rozmówców nie był do końca pewien, co postanowił premier.

Jan Olszewski był autentycznie wolnym człowiekiem. Wolnym w sensie swobody myślenia i formułowania poglądów. Pieniądze, stanowiska czy inne apanaże nie stanowiły dla Niego wartości i nie mogły zakłócić Jego wolności. Jan Olszewski dał przykład, że i dziś można być przyzwoitym, uczciwym człowiekiem i funkcjonować w polityce.

Autor był sekretarzem osobistym Jana Olszewskiego w latach 1990–1994

eprasa.pl df7f188d7b

MŁODZI ANTYKOMUNIŚCI Z RMN

HISTORIA WIELOKROTNIE POKAZAŁA, ŻE POLSKA MŁODZIEŻ WALKĘ O WOLNOŚĆ MA WE KRWI. JEDNĄ Z MNIEJ ZNANYCH ORGANIZACJI, ALE ISTOTNYCH ZWŁASZCZA W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM, MIĘDZYRZECZU CZY ZIELONEJ GÓRZE, BYŁ DZIAŁAJĄCY W LATACH 80. RUCH MŁODZIEŻY NIEZALEŻNEJ

JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

Ruch Młodzieży Niezależnej w Gorzowie Wielkopolskim powstał po rozbiciu przez Służbę Bezpieczeństwa w listopadzie 1982 r. Młodzieżowego Ruchu Oporu, organizacji młodzieżowej działającej w tym mieście od stycznia 1982 r.

– Dwaj jego czołowi działacze: Marek Rusakiewicz i Krzysztof Sobolewski postanowili, że będą kontynuować działalność opozycyjną, mimo że jednemu groził wyrok w zawieszeniu, a drugi ukrywał się przed SB od 6 listopada 1982 r. W kwietniu 1983 r. wydali równocześnie pierwszy i drugi numer biuletynu „Szaniec". Spowodowane to było tym, że po wydrukowaniu pierwszego numeru „Iskry", pisma MRO, nastąpiła wpadka i większość jego członków została aresztowana. Dlatego, jak sami przekazywali w relacjach, „jak już mieli iść znowu do więzienia, to tym razem chociaż za dwa numery". Ukazanie się pierwszego numeru „Szańca" 20 kwietnia 1983 r. przyjmuje się więc za datę powstania gorzowskiego Ruchu Młodzieży Niezależnej – mówi o kulisach powstania RMN dr Zbigniew Syska, historyk i autor wydanej niedawno książki „Z bibułą w plecaku", opisującej opozycyjne organizacje młodzieżowe na ziemi lubuskiej.

Cel – niepodległa Polska

RMN był organizacją młodzieżową, zrzeszającą głównie młodzież szkół średnich Gorzowa Wielkopolskiego, a w późniejszym czasie również gorzowian studiujących na uczelniach Poznania, Szczecina czy nawet Lublina. Utrzymywali oni kontakt ze swoimi młodszymi kolegami z rodzinnego miasta, tworząc sieć dystrybucji bibuły między tymi ośrodkami. Zbigniew Syska uważa, że głównym celem statutowym, jaki stawiali sobie młodzi gorzowianie, „była walka o Polskę niepodległą, demokratyczną i sprawiedliwą społecznie".

– Oni odwoływali się do tradycji walk niepodległościowych, zwłaszcza okresu II wojny światowej, w tym do działalności harcerskiej. Tytuł pisma nawiązywał do działalności Szarych Szeregów opisanej w książce Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec". W tekstach zamieszczanych na łamach „Szańca" nawiązywano również do wystąpień społecznych w PRL, takich jak poznański

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA RMN (2X); IRENÄUS ILNICKI (2X)

eprasa.pl df7f188d7b

Czerwiec 1956 czy Grudzień 1970, a także do okresu „Solidarności" 1980–1981 – podkreśla historyk.

Pismo „Szaniec" było od 1983 do 1990 r. co dwa tygodnie samodzielnie redagowane i wydawane przez RMN. Jego nakład dochodził do 2 tys. egz. przy objętości (z czasem) ośmiu stron w technice sitodruku, a ogólna liczba 124 wydanych numerów pisma umieszcza go w ogólnopolskiej czołówce.

W latach 1982–1989 grupy RMN przeprowadziły kilkaset akcji ulotkowych, plakatowych, malując także na murach napisy o treści antykomunistycznej. W ulotkach informowano o rocznicach patriotycznych, wzywano do oporu, podawano dane o osobach represjonowanych, apelując o pomoc dla ich rodzin.

Dbano równocześnie o samokształcenie poprzez szeroką działalność edukacyjną, przez biblioteki czy wydawnictwa niezależne, letnie obozy szkoleniowe, pokazy filmów niedostępnych z powodu cenzury, prelekcje podczas pielgrzymek na Jasną Górę. Podkreślić też należy różnorodność i liczbę przeprowadzonych akcji ulotkowych i malarskich, demonstracji ulicznych, wieloletnią obsługę Radia „Solidarność", kolportaż i działalność kurierską obejmującą nie tylko Gorzów i region gorzowski, ale i największe ośrodki opozycyjne w kraju, takie jak Lublin, Poznań, Szczecin czy Warszawa.

Zbigniew Syska, pytany o najbardziej spektakularną akcję RMN, mówi, że trudno tu wymienić jedną, ponieważ było ich wiele. – Jedna jest specyficzna, choć dotyczy jeszcze działalności MRO; nie znam podobnego przypadku w całej Polsce. Kiedy 6 listopada 1982 r. do mieszkania Krzysztofa Sobolewskiego przyszli esbecy, aby go aresztować, on nie tylko zdołał im uciec, ale na dodatek zamknął ich w swoim mieszkaniu na siódmym piętrze w bloku; długo nie mogli się z niego wydostać.

Warto tu wspomnieć, że w 1984 r. za opozycyjną działalność bracia Olgierd i Ryszard Popielowie zostali wyrzuceni z Technikum Budowlanego w Gorzowie. Na przełomie marca i kwietnia 1985 r. usunięto z I Liceum Ogólnokształcącego czwórkę uczniów: Beatę Szrejder, Jacka Pieczyńskiego, Szymona Wieczorka i Jacka Kowalskiego, oraz dwoje nauczycieli I LO: Emilię Cieślę i Walentego Burkę. Dodatkowo we wrześniu 1985 r. usunięty z I LO został również Adam Borysławski.

Solidarny Kościół

Działalność RMN-owskiej młodzieży osobiście wspierało wielu gorzowskich duchownych Kościoła katolickiego: ks. Witold Andrzejewski, ks. Tadeusz Kondracki, o. Józef Koszarny (franciszkanin), ks. Ryszard Mulawa, ks. Jerzy Gałązka czy ks. Stanisław Czerwiński. Kiedy na przełomie lutego i marca 1985 r. doszło do fali aresztowań działaczy RMN, Kościół nagłośnił to, modląc się w ich intencji. W tym okresie zostało zatrzymanych, poddanych przesłuchaniom i rozmowom profilaktyczno-ostrzegawczym ponad 60 uczniów i nauczycieli z różnych szkół Gorzowa. Z tego grona rozmowy przeprowadzono z 42 uczniami i 6 nauczycielami I LO. Ponadto SB „zainspirowała dyrekcję I LO do przeprowadzenia określonych działań, w wyniku których dyrekcja szkoły zastosowała ostrzeżenie w stosunku do 56 uczniów". 11 osób aresztowano.

– Kiedy do mieszkańców Gorzowa dotarły informacje o metodach, jakie stosują funkcjonariusze SB podczas przesłuchań, w niedzielę 10 marca 1985 r. we wszystkich kościołach dekanatu gorzowskiego, podczas nabożeństw odczytany został komunikat wystosowany przez księży gorzowskich, którego treść przytoczę w całości: „W naszym mieście w dniach od 22 do 27 lutego br. zostało aresztowanych przez funkcjonariuszy SB kilkanaście osób, młodzieży. Większość z nich została już zwolniona, wiemy, że zatrzymano sankcją prokuratorską osiem osób. Znane są przypadki właściwego ludzkiego postępowania w stosunku do zatrzymanych, szczególnie ze strony funkcjonariuszy MO. Jednak w większości wypadków, w przypadku poszczególnych osób, sposób przesłuchania przez funkcjonariuszy SB był daleki od kulturalnego, często wręcz nieludzki. W czasie przesłuchania używano także zastraszania, przymusu psychicznego, a niekiedy fizycznego, z biciem, posługując się często przekleństwami. Wobec takich faktów duszpasterze miasta Gorzowa wyrażają zdecydowany protest, domagając się od funkcjonariuszy SB WUSW humanitarnego postępowania względem zatrzymanych osób, poszanowania ich godności i praw do sprawiedliwości, obrony i wolności" – podkreśla Syska. I dodaje, że „wystosowanie przez duchowieństwo takiego publicznego protestu, odczytanego na wszystkich mszach niedzielnych, we wszystkich kościołach gorzowskich, stanowiło swego rodzaju ewenement w skali kraju". Protest był nie tylko wyrazem solidarności z aresztowanymi uczniami, ale pokazywał również determinację gorzowskich księży w piętnowaniu metod stosowanych przez SB w śledztwie.

Stowarzyszenie

– RMN na pewno w niektórych regionach jak Gorzów Wielkopolski był organizacją ważną, działającą niekiedy jak podczas emisji audycji podziemnego Radia „Solidarność" w sposób wręcz brawurowy, z młodzieńczą fantazją. Niestety, pozostaje organizacją właściwie nieznaną – uważa Grzegorz Majchrzak, historyk z Instytutu Pamięci Narodowej.

Warto więc podkreślić, że w ośmioletnim okresie działalności przewinęło się przez gorzowski RMN ponad 300 osób, do tego trzeba dodać jeszcze dwa lub trzy razy większą liczbę jego sympatyków i kilkudziesięciu działaczy z Międzyrzecza i Zielonej Góry. Była to sprawna organizacja, posiadająca wyspecjalizowane struktury odpowiedzialne za poszczególne zadania. Regularnie ukazywały się pisma „Szaniec" i „Sokół". Poza poligrafią i siatką kolportażu istniały grupy wykonawcze odpowiedzialne za przeprowadzanie akcji rozrzucania ulotek, malowania napisów na murach czy nadawania ponad 80 audycji Radia „Solidarność". Transparenty z Gorzowa widoczne były podczas pielgrzymek na Jasną Górę, demonstracji patriotycznych, a zwłaszcza podczas wizyty Jana Pawła II w Szczecinie i Gdańsku, gdzie gorzowski RMN prowadził kilkusettysięczną demonstrację solidarności po mszy św. na Zaspie.

Co robią obecnie dawni działacze RMN?

– Są wśród nas posłowie, przedsiębiorcy, nauczyciele, historycy, politycy, naukowcy, pracownicy administracji publicznej i mediów, działacze społeczni, osoby piastujące odpowiedzialne kierownicze stanowiska. Wielu z naszych kolegów wyjechało za granicę: do Niemiec, Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii – mówi Lubomir Fajfer, prezes Stowarzyszenia Ruchu Młodzieży Niezależnej, propagującego wiedzę o tej organizacji. Wśród działaczy pozostały trwałe przyjaźnie. Fajfer podkreśla, że „nadal w RMN-ie dominuje przekonanie, że nie można ustawać w walce o tożsamość i polskie wartości".

eprasa.pl df7f188d7b

PIECZĘTUJĄ SIĘ „JASTRZĘBCEM" OD CZASU UNII W HORODLE

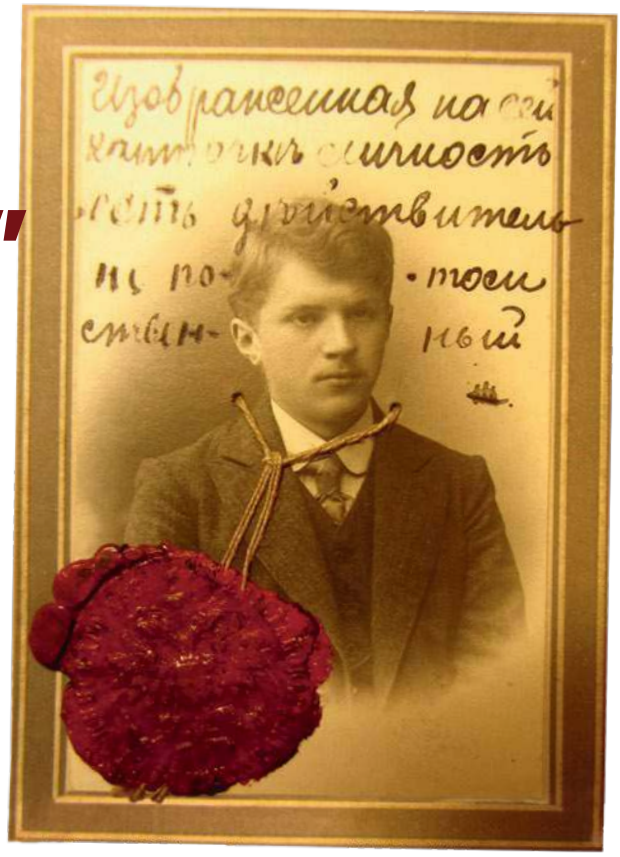

Krzysztof Niemirowicz-Szczytt, s. Iścisława – zdjęcie z okresu studiów na Uniwersytecie w Petersburgu, 1911 r.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

ZAWARTA W 1413 r. W HORODLE NAD BUGIEM UNIA POMIĘDZY POLSKĄ A LITWĄ MÓWIŁA M.IN. O PRZYJĘCIU LITEWSKICH BOJARÓW DO POLSKICH RODÓW HERBOWYCH. DO DZISIAJ W POLSCE MIESZKAJĄ POTOMKOWIE TYLKO DWÓCH RODZIN MOGĄCYCH TO UDOKUMENTOWAĆ

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Poza Radziwiłłami herbu Trąby są to Niemirowiczowie-Szczyttowie herbu Jastrzębiec. Według archiwalnych zapisów Jana Niemirę, właściciela dóbr Wsielub w nowogródzkim, i koniuszego księcia Witolda, przyjął do herbu Jastrzębiec biskup krakowski, późniejszy arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski Wojciech Jastrzębiec (ur. ok. 1362 – zm. 1436). Jakub Niemirowicz (zm. 1494), syn Jana i dziedzic Wsielubia, był starostą brzeskim i członkiem rady wielkoksiążęcej. Przez współczesnych nazywany był Szczytem, stąd jego potomkowie przyjęli nazwisko Niemirowicz-Szczytt. Wchodząc w korzystne mariaże z ważnymi rodami Wielkiego Księstwa Litewskiego, takimi jak Hlebowiczowie, Iliniczowie, Radziwiłłowie czy Chrapowiccy, poszerzyli oni swoje włości, które usytuowane były w wielu innych rejonach Litwy. Na przestrzeni wieków kilka znaczących linii rodu Niemirowiczów-Szczyttów wymarło, natomiast o wznoszonych przez nich pałacach i dworach przypomina Roman Aftanazy w swoim monumentalnym opracowaniu „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej".

Justynianów i Juchowicze

I tak na akwareli Napoleona Ordy z 2. poł. XIX w. podziwiać można rozległą panoramę majątku Justynianów należącego do wygasłej w XIX w. linii tabołockiej. Nazwa linii pochodziła od majątku Tabołki, który nabył od Teofila Chrapowickiego i w którym rezydował zmarły w 1712 r. Konstanty Niemirowicz-Szczytt. Justynianów położony na prawym brzegu Dźwiny swoją nazwę zawdzięczał wnukowi Konstantego Justynianowi Niemirowiczowi-Szczyttowi (1740–1824). Jego ojciec Jan nie tylko zmienił nazwę wsi Uzmiony na Justynianów, lecz także przebudował istniejący tam dwór oraz ufundował kaplicę i kościół pw. Świętej Trójcy. Na przełomie XVIII i XIX w. pałac w Justynianowie należał do większych polskich rezydencji na Białej Rusi.

W Archiwum Nieświeskim przechowywana jest korespondencja Jana Niemirowicza-Szczytta z architektem Carlo Spampanim dotycząca pałacu w Justynianowie: „Ziechać ma JMPan Spampani swoimi końmi do majętności moiey Justynianowa, Miesiąca Maia, dnia 29 z gotowym już Abrysem y elewacyami onego na Pałac według ołożoney Planty, oddanej JP Architektorowi z kondygnacyą odmienienia y poprawy... Przy założeniu zaś każdego piętra, obowiązał się JMPan Spampani niezawodnie sam być przytomnym y starać się powinien będzie zieżdżać do Justynianowa swoim poiazdem y kosztem na rok trzy lub cztery razy".

eprasa.pl df7f188d7b

Kolejna wymarła linia Niemirowiczów-Szczyttów z Juchowicz w woj. połockim zapamiętana została z przechowywanego w bibliotece Uniwersytetu w Wilnie kazania na cześć kasztelana mścisławskiego Józefa Niemirowicza-Szczytta (zm. 1745), napisanego i wygłoszonego w 1725 r. przez jezuitę i historyka Adama Ignacego Naramowskiego. Na karcie tytułowej tej oryginalnej publikacji czytamy: „Powitanie Jaśnie Oświeconego Trybunału Wielkiego Księstwa Litewskiego w Niedzielę trzecią po Wielkiejnocy Miane, A pod Prześwietnym Imienie dążącego w Herbownej Podkowie do nieśmiertelnej Sławy Iaśnie Wielmożnego Iego Mości Pana Józefa Niemirowicza Szczytta Cześnika W.X.L. Starosty Jaswońskiego & FORI COMPOSITI DYREKTORA na publiczne światło ogłoszone w kościele św. Janów w Wilnie" (kościół uniwersytecki w Wilnie pw. św. Jana Chrzciciela i św. Jana Apostoła Ewangelisty – przyp. J.K.).

Pamięć o dziadku Kazimierzu

Szeroko rozgałęziony ród Niemiryczów-Szczyttów, posiadający liczne i bogate majątki, przechodził różne koleje losu: od lat świetności po czasy wymierania i popadania w zapomnienie kolejnych linii. Najdłużej, bo aż do 1940 r., przy swojej posiadłości w Kożangródku (Białoruś) pozostawała linia Niemirowiczów-Szczyttów, zw. od majątku linią kożangródzką.

– Mój dziad Kazimierz Niemirowicz-Szczytt (1901–1940) był ostatnim właścicielem majątku i dworu w Kożangródku, których ślady obecnie znajdują się na terenie Białorusi – opowiada dziś wnuk Kazimierza Michał Niemirowicz-Szczytt (ur. 1979), radca prawny i działacz Związku Szlachty Polskiej. – Po dramatycznych wydarzeniach z okresu I wojny światowej, jakie zniszczyły majątek w Kożangródku, dziad Kazimierz, w przyszłości praktykujący zawodowo lekarz, zamieszkał jednak już w Warszawie. Częściowo uratowane rodzinne dokumenty przepadły w powstaniu warszawskim i w spalonej później Warszawie. Kilka nieznanych mi wcześniej szczegółów z młodych lat mojego dziada Kazimierza poznałem dopiero, gdy poszukując innych rozmaitych zaginionych rodzinnych dokumentów, odnalazłem jego życiorys wraz z podaniem o przyjęcie na wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego (ukończył jednak studia medyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie). Okazuje się, że jako ochotnik brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Jednak 20 lat później już jako oficer Wojska Polskiego został przez Sowietów rozstrzelany w Katyniu w 1940 r. Jego brat Krzysztof Niemirowicz-Szczytt, w okresie międzywojennym poseł na ostatni przed wojną sejm, pełnił też funkcję sekretarza komisji spraw zagranicznych, we wrześniu 1939 r. został aresztowany przez NKWD w swoim majątku Dworzec (Białoruś) i nikt z rodziny go już nigdy żywego nie widział.

WŁAŚCICIELE KOŻANGRÓDKA WIELOKROTNIE ZAPISALI SIĘ W DZIEJACH RODU JAKO POSTACIE NIEZWYKLE ORYGINALNE

Michał Niemirowicz-Szczytt swojego dziada Kazimierza znał tylko z opowiadań rodziców, krewnych oraz odnalezionych dokumentów. Osobiście go natomiast poznała pani Izabella Galicka (ur. 1931), znakomita historyk sztuki (odkryła wraz z Hanną Sygietyńską obraz El Greca w Kosowie Lackim) i współpracowniczka miesięcznika „wSieci Historii": – Nazywałam go wujkiem Kazikiem. Był przyjacielem mojego ojca jeszcze z czasów studenckich w Wilnie. Ojciec mój Karol Mikulski, psychiatra, ordynator szpitala psychiatrycznego w Gostyninie, który w roku 1940, nie zgadzając się z niemieckimi władzami okupacyjnymi zalecającymi eksterminację pacjentów, odebrał sobie życie, zawsze wymieniał Kazimierza wśród swoich najbliższych przyjaciół. Pracowali razem w Klinice Psychiatrycznej szpitala św. Jana Bożego w Warszawie. We wrześniu 1939 r. ojciec dostał mobilizacyjne powołanie do Sokółki Podlaskiej, gdzie nieoczekiwanie spotkał właśnie Kazimierza Niemirowicza-Szczytta. Już 17 września obaj wylądowali w bydlęcym wagonie, który wiózł ich na wschód. I tam, w tym pociągu, ojciec zaproponował Kazikowi, że ma pilnik, a ponieważ drzwi wagonu były po prostu zadrutowane, należało przeciąć drut i kiedy pociąg zwolni na zakręcie, wyskoczyć i uciec. Kazik jednak oraz inni oficerowie uznali, że niedługo wyjdą z sowieckiej niewoli i odmówili ucieczki. Ojciec zrobił to samotnie, uciekając z wagonu już prawie pod Smoleńskiem. Po dramatycznych przygodach, w cywilnym ubraniu powrócił do domu i wszystko nam opowiedział. Od Kazika przyszły później tylko dwa listy pisane pod kontrolą, zaś w 1943 r., kiedy w niemieckiej gazecie ukazała się lista zamordowanych w Katyniu polskich oficerów, nazwisko »

Barokowa brama niegdyś wiodąca do pałacu Niemirowiczów-Szczyttów w Kożangródku. Zdjęcie z lat 30. XX w.

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl df7f188d7b

» Kazika Niemirowicza-Szczytta oczywiście się tam znalazło. I tak obu mądrych i uczciwych polskich lekarzy tragiczna śmierć dosięgnęła mniej więcej w tym samym czasie.

Dzieje rezydencji w Kożangródku

Linia kożangródzka Niemirowiczów-Szczyttów zwana też była linią kasztelańską – od pierwszego właściciela tych dóbr kasztelana smoleńskiego Krzysztofa Benedykta zmarłego w 1720 r. Miasteczko Kożangródek położone nad jednym z dopływów Prypeci miało kiedyś charakter obronny. Niemirowiczowie-Szczyttowie na miejscu znanego tylko z lokalnych podań zameczku, w XVIII w. wznieśli drewniany, ale okazały dwór. Pożar, który go strawił, w XIX w. łączony był z postacią złowrogiego lokaja, celowo podkładającego ogień. Jedynym zachowanym do II wojny światowej śladem owej pierwszej rezydencji była barokowa brama wjazdowa. Tworzyła ona interesujący przykład drewnianej konstrukcji naśladującej murowane bramy wjazdowe prowadzące do obszernych założeń zamkowo-pałacowych.

Nowa siedziba wzniesiona też jeszcze w XIX w. była parterowa, ale stała na wysokim podmurowaniu. Zdobił ją czterokolumnowy portyk, który wraz z krytym gontem dużym dachem nawiązywał do polskiej architektury dworskiej. Dwór był stylowo urządzony i wyposażony w wiele ciekawych dzieł sztuki, być może uratowanych z poprzedniej spalonej siedziby. Obszerne rodzinne archiwum zawierało m.in. oryginalne afisze zapowiadające teatralne przedstawienia regularnie organizowane w kożangródzkiej rezydencji. Niestety w czasie I wojny światowej dwór w Kożangródku wraz z zabytkowym wyposażeniem został doszczętnie spalony. Uratował się tylko będący od wieków w posiadaniu rodziny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na ręku i aniołami, którego tło stanowiły zszyte dawne powstańcze sztandary. Po pożarze Kożangródka obraz przechowywany był w innym majątku Niemirowiczów-Szczyttów, mianowicie w sąsiednim Dworcu. W okresie międzywojennym ostatni właściciel kożangródzkiej posiadłości, wspomniany Kazimierz Niemirowicz-Szczytt (dziad żyjącego Michała), wybudował kolejny, trzeci w tym miejscu dwór, który niestety spłonął w 1940 r.

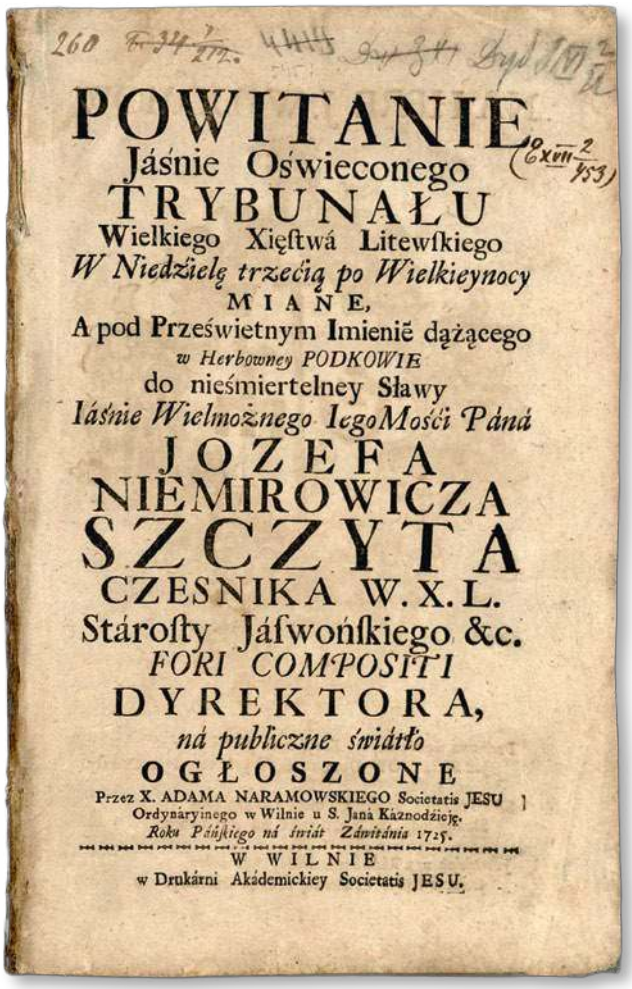
POWITANIE
Jáśnie Oświeconego
TRYBUNAŁU
Wielkiego Xięstwá Litewskiego
W Niedźielę trzećią po Wielkieynocy
MIANE,
A pod Prześwietnym Imieniē dążącego
w Herbowney PODKOWIE
do nieśmiertelney Sławy
Iáśnie Wielmożnego IegoMośći Páná
JOZEFA
NIEMIROWICZA
SZCZYTA
CZESNIKA W.X.L.
Stárosty Jáswońskiego &c.
FORI COMPOSITI
DYREKTORA,
ná publiczne świátło
OGŁOSZONE
Przez X. ADAMA NARAMOWSKIEGO Societatis JESU
Ordynáryinego w Wilnie u S. Jana Kaznodźieję.
Roku Páńskiego ná świát Zánitánia 1725.
W WILNIE
w Drukárni Akádemickiey Societatis JESU.

Powitanie Józefa Niemirowicza-Szczytta

Niebezpieczne podróże

Właściciele Kożangródka wielokrotnie zapisali się w dziejach rodu jako postacie niezwykle oryginalne. Roman Aftanazy przytacza wymagającą zdaje się kilku historycznych sprostowań opowieść o Krzysztofie Niemirowiczu-Szczycie, synu Józefa i ks. Tekli Druckiej-Lubeckiej, który w XIX w. zasłynął z wielu karkołomnych przygód. Otóż jako 18-latek udał się do Rzymu, gdzie akurat uroczyście obchodzono Niedzielę Palmową. Zgodnie z tradycją na czele wspaniałego orszaku ukazał się jadący na osiołku papież. Jakież było zaskoczenie zebranych tłumów, kiedy zobaczyli, iż naprzeciw papieskiego orszaku wyjechał również na osiołku jakiś cudzoziemiec, mianowicie Krzysztof Niemirowicz-Szczytt. Oczywiście wybuchł skandal, w wyniku którego Krzysztof znalazł się w lochach zamku św. Anioła. Podobno przesiedział tam kilka lat, a do rodzinnego Kożangródka powrócił już jako dorosły mężczyzna. Do wydostania go z rzymskiego więzienia przyczynił się administrator kożangródzkich majątków, sprzedając jeden z folwarków i przeznaczając wysoką kwotę na sądowe zwolnienie więźnia. Mówiono także, że pomagał w tych działaniach zaprzyjaźniony z Krzysztofem a mający w Rzymie szerokie znajomości Zygmunt Krasiński. Po powrocie do Kożangródka fantazja Krzysztofa Niemirowicza-Szczytta nie opuszczała. Na granicach swoich rozległych włości postawił słupy głoszące, iż od tego miejsca zaczyna się „Państwo Szczyttowskie", po drugiej stronie zaś leży „Państwo rosyjskie". Krzysztof pojął później za żonę Ewę Karaffę-Korbutt hr. Korczak, z którą miał kilkoro dzieci, kolejnych dziedziców posiadłości w Kożangródku, bezpośrednich przodków Michała Niemirowicza-Szczytta.

SZEROKO ROZGAŁĘZIONY RÓD NIEMIROWICZÓW-SZCZYTTÓW, POSIADAJĄCY LICZNE I BOGATE MAJĄTKI, PRZECHODZIŁ RÓŻNE KOLEJE LOSU: OD LAT ŚWIETNOŚCI PO CZASY WYMIERANIA I POPADANIA W ZAPOMNIENIE KOLEJNYCH LINII

eprasa.pl df7f188d7b

KATYŃ I OLIMPIADA W „OJCZYŹNIE ŚWIATOWEGO POKOJU"

POLACY PAMIĘTALI O SWYCH RODAKACH POMORDOWANYCH W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ PRZEZ SOWIETÓW. A DZIAŁACZE OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ PRZYPOMINALI O NICH TEŻ PRZY OKAZJI IGRZYSK OLIMPIJSKICH W MOSKWIE W 1980 r. I Z POWODU TEGO, CO WYDARZYŁO SIĘ W KATYNIU, WZYWALI DO ICH BOJKOTU »

FOT. EAST NEWS/AFP

eprasa.pl df7f1

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Pamięć, prawda o rodakach pomordowanych przez Sowietów w czasie II wojny światowej przetrwały w Polsce Ludowej, mimo że komunistyczne władze włożyły wiele wysiłku, aby tak się nie stało. O tym, że była to dla Polaków ważna kwestia, najlepiej świadczy choćby to, że w latach 70. i 80. pozycją najczęściej publikowaną w drugim obiegu była niewielka książeczka Ryszarda Zielińskiego „Katyń" (wydawana najczęściej pod nazwiskami pierwszej i ostatniej ofiary z listy katyńskiej, czyli Jana Abramskiego i Ryszarda Żywieckiego). Po raz pierwszy ukazała się w 1977 r. i w ciągu 12 lat doczekała się łącznie 32 wydań. Od wiosny 1979 r. ukazywał się również wydawany przez Instytut Katyński w Polsce „Biuletyn Katyński". Instytut ten został założony w Krakowie wiosną 1978 r. przez Adama Macedońskiego, Andrzeja Kostrzewskiego oraz Stanisława Tora, i do kwietnia 1979 r. działał w sposób tajny. Z kolei w Warszawie powstał we wrześniu 1979 r. Komitet Katyński. Jego inicjatorami byli: ks. Wacław Karłowicz, bracia Stefan, Andrzej, Arkadiusz i Sławomir Melakowie, Jan Waś i ks. Antoni Czajkowski. Deklarację założycielską podpisało 19 osób. Obie te organizacje opozycyjne uczyniły wiele dla przypomnienia prawdy o pomordowanych na Wschodzie, których symbolem był Katyń.

W cieniu Afganistanu

Moskiewska olimpiada (19 lipca – 3 sierpnia 1980 r.) odbywała się w szczególnej, niespotykanej dotychczas sytuacji. Z jednej strony w cieniu inwazji Związku Sowieckiego na Afganistan (1979), a z drugiej ogłoszonego przez USA i kilkadziesiąt innych państw bojkotu igrzysk.

Jak przy okazji innych tego rodzaju imprez sportowych, działania prowadziła Służba Bezpieczeństwa, zresztą na niespotykaną nigdy wcześniej ani później skalę. Monitorowała ona m.in. szczególnie uważnie działaczy opozycji, zwłaszcza od wybuchu w kraju 1 lipca 1980 r. strajków. Ci nie przejawiali zresztą zbyt dużej aktywności, przynajmniej w związku z moskiewskimi igrzyskami. Przypadki kolportażu ulotek lub plakatów antyolimpijskich w PRL – przynajmniej w ocenie SB – były sporadyczne. I tak np. raportowano, że do 23 lipca „ujawniono" jedynie cztery plakaty w Puławach, po jednym w Radomiu i Świnoujściu oraz kilka w Krakowie, a dzień później kilka następnych w Warszawie. Jednak stosunek działaczy opozycji – podobnie zresztą jak dużej części polskiej emigracji – do moskiewskich igrzysk był jednoznacznie negatywny. Znalazło to odzwierciedlenie na łamach prasy drugiego obiegu. W artykule zatytułowanym „Moskwiada 1980", który został zamieszczony równolegle na łamach dwóch pism wydawanych przez Komitet Samoobrony Społecznej KOR („Robotnika" oraz „Biuletynu Informacyjnego"), stwierdzano m.in.: „W Berlinie w 1936 roku triumfowała ideologia i propaganda. Wszystko wskazuje na to, że w Moskwie anno domini 1980 będzie podobnie. I pozostaje mieć tylko nadzieję, iż dalsze wypadki potoczą się inaczej niż w 1936". Krytykowano w nim decydentów, czyli działaczy Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, za wybór gospodarza zmagań olimpijskich i stwierdzano całkiem słusznie: „Igrzyska z wolna degenerują się i umierają, a decyzja przyznająca Rosjanom organizację olimpiady okazała się kolejnym gwoździem do trumny. Powierzenie im igrzysk, patetycznie – choć nie bez pewnej racji – zwanych świętem młodzieży i pokoju, było albo aktem obłędu, albo zupełnej bezradności świata wobec ekspansji tego najbardziej agresywnego mocarstwa imperialistycznego, gwałcącego bezkarnie prawo międzynarodowe i podstawowe prawa ludzkie". Artykuł ten kończyło wezwanie do bojkotu igrzysk, skierowane jednak nie do polskich sportowców, ale do potencjalnych ich widzów. I to do tych w kraju. „My natomiast bez żadnego uszczerbku możemy wyłączyć telewizor z relacją z Moskwy i pójść na spacer albo do kina" – apelowano.

40. rocznica Katynia

Tymczasem – o czym warto przypomnieć – w 1980 r. właśnie przypadała 40. rocznica zbrodni katyńskiej. Spowodowała ona oczywiście aktywizację organizacji opozycyjnych wokół tej kwestii. Okolicznościowe oświadczenia wydało wiele z nich (m.in. KSS KOR, Konfederacja Polski Niepodległej czy Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela). W tym sygnowanym przez członków Komitetu Obrony Robotników stwierdzano m.in.: „Domagamy się wraz z całym narodem polskim, wraz ze wszystkimi ludźmi na świecie, dla których zbrodnia jest zbrodnią – bez względu na to, kto jest jej sprawcą – ujawnienia i ukarania winnych. Żądamy tego nie w imię zemsty, którą odrzucamy, lecz w imię sprawiedliwości i prawdy". Na ciekawą i nietypową inicjatywę zdecydowali się działacze Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (KPSN), niepodległościowej organizacji założonej w 1979 r., którzy skierowali (27 kwietnia 1980 r.) do Organizacji Narodów Zjednoczonych list z żądaniem powołania międzynarodowej komisji w celu wyjaśnienia sprawy Katynia. Wydawano również okolicznościowe ulotki i publikacje, a także próbowano organizować rocznicowe obchody. Doszło do nich m.in. w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Łodzi czy Warszawie, mimo zdecydowanego przeciwdziałania ze strony władz (głównie Służby Bezpieczeństwa). Nie zapobiegły im rewizje, przeszukania, przechwycenie ponad 8 tys. okolicznościowych druków ani mające na celu zastraszenie rozmowy ostrzegawcze z potencjalnymi organizatorami. W trakcie tych nielegalnych obchodów zatrzymane zostały 72 osoby. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o najbardziej tragicznym proteście przeciwko kłamstwu katyńskiemu, czyli o samospaleniu weterana Armii Krajowej Walentego Badylaka na Rynku Głównym w Krakowie 21 marca 1980 r.

Apele o bojkot

Nic zatem dziwnego, że Katyń pojawiał się również w kontekście igrzysk olimpijskich w Moskwie. Największym echem odbił się apel KPSN do polskich olimpijczyków nawołujący do bojkotu moskiewskiej olimpiady, nagłośniony m.in. przez Rozgłośnię Polską Radia Wolna Europa. Jego sygnatariuszami byli Marian Piłka, Edward Staniewski oraz Wojciech Ziembiński. Apel został wydany 13 lutego 1980 r. w związku z rozpoczynającymi się właśnie igrzyskami olimpijskimi, ale nie tymi letnimi w Moskwie, lecz zimowymi w Lake Placid. Dotyczył jednak tych przyszłych, w stolicy Kraju Rad. Pisano tam: „Letnie igrzyska mają się odbyć w lipcu 1980 r. w Moskwie – stolicy kraju, gdzie przed 40 laty dokonano zbrodni ludobójstwa na około 15 tysiącach oficerów

eprasa.pl df7f188d7b

polskich wziętych do niewoli przez wojska rosyjskie, które wraz z wojskami niemieckimi dokonały inwazji Polski we wrześniu 1939 r. Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu proklamował rok 1980 »Rokiem Pamięci Narodowej« i domaga się ujawnienia przez rząd Związku Radzieckiego jego sprawców i okoliczności zbrodni katyńskiej oraz wskazania wszystkich mogił pomordowanych w ZSRR obywateli polskich". A także: „W oświadczeniu z 31 stycznia przeciwstawiliśmy się najnowszej inwazji wojsk radzieckich na Afganistan. W powyższej sytuacji udział polskich olimpijczyków na igrzyskach moskiewskich należy uznać za sprzeczny z godnością Narodu, od dwu wieków walczącego o swoją Niepodległość i przelewającego hojnie krew za »wolność waszą i naszą«".

Na koniec padało stwierdzenie, tyleż szlachetne, co – jak się później okazało – naiwne: „Uważamy, że Igrzyska Olimpijskie muszą pozostać symbolem rzeczywistego pokoju i szlachetnego braterstwa wszystkich narodów".

Apelem tym zainteresowała się oczywiście Służba Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze ustalili, że za granicę jego tekst przekazał „figurant sprawy operacyjnego rozpracowania »Hazardziści« [pod tym kryptonimem SB rozpracowywała Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela – przyp. aut.] Edward Staniewski w rozmowie telefonicznej z Piotrem Jeglińskim w Paryżu". Jako inicjatora jego wystosowania wskazywali oni jednak jednoznacznie Jeglińskiego, stwierdzając, iż „tekst został opracowany przez »Hazardzistów« na uprzednie [jego] żądanie złożone telefonicznie". Niestety w aktach bezpieki nie zachowała się treść – najprawdopodobniej podsłuchanej przez jej funkcjonariuszy – rozmowy, która poprzedziła powstanie apelu. Tak na marginesie to właśnie ten apel stał się dla Służby Bezpieczeństwa jednym z pretekstów do rozpoczęcia wielkiej operacji związanej z „ochroną" igrzysk odbywających się w Moskwie, a jego powstanie przypisywano nie polskim opozycjonistom lub emigrantom, lecz „zachodnim ośrodkom dywersji". Zapewne zdecydował o tym fakt, że Jegliński współpracował z tak znienawidzoną przez władze PRL paryską „Kulturą".

Inne inicjatywy

Apel Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu nie był jedynym wezwaniem do bojkotu olimpiady moskiewskiej. 1 lipca 1980 r. w Rzeszowie rozrzucono – jak raportowali esbecy – „w niewielkiej ilości" ulotki KPN z apelem do polskich olimpijczyków. Anonimowi autorzy pisali: „Zwracamy się do Was z apelem o zbojkotowanie Olimpiady. Ponad 50 państw nie weźmie udziału w moskiewskiej Olimpiadzie na znak protestu z powodu bezprawnego wkroczenia ponad 100-tysięcznej armii sowieckiej do Afganistanu i bezlitosnego mordowania obywateli i żołnierzy stawiających opór". I dodawali: „Pamiętajcie, że w roku 1939 armia sowiecka również bezprawnie wtargnęła na ziemie polskie – nasze matki i dzieci były deportowane w tajgi syberyjskie, zaś żołnierzy i oficerów więziono w karnych obozach. W samym Katyniu wymordowano około 15 tys. naszych oficerów i żołnierzy, a łagry w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie są jeszcze niezbadane". Pamiętali oni też o represjonowanych przez Sowietów po „wyzwoleniu" Polski spod okupacji niemieckiej. „Z Rzeszowa również w 1944–1945 roku wywieziono po wyzwoleniu sporą ilość żołnierzy i oficerów Armii Krajowej i innych organizacji do obozów sowieckich [...]. Powrócili z obozu schorowani i wycieńczeni z trudem dostawali pracę, gdzie również byli szykanowani za przynależność do Armii Krajowej. Wielu z nich już nie żyje, a wielu było ponownie przez U[rząd] B[ezpieczeństwa] więzionych i likwidowanych" – pisali. I na koniec stwierdzali: „Pamiętajcie, że polska młodzież kształtuje przyszłość naszej Ojczyzny".

Również prasa polonijna wzywała do bojkotu moskiewskich igrzysk. I tak na łamach „Wiadomości Polskich" – wydawanych w największym mieście Australii Sydney – w artykule zatytułowanym „Katyń a olimpiada w Moskwie" stwierdzano: „Godność narodowa Polakowi nakazuje zajęcie postawy: ani jeden grosz polski na moskiewską olimpiadę i ani jeden Polak na igrzyskach w Moskwie". Przypominano również, że letnia olimpiada jest rozgrywana w roku ogłoszonym „Rokiem Katyńskim" w 40. rocznicę mordu na polskich jeńcach. I wzywano do zamanifestowania pamięci o tym fakcie, a także „solidarności z narodem w Kraju walczącym o swój niepodległy byt polityczny i wolność obywatelską", poprzez wpłaty na ruch obrony praw człowieka w Polsce.

Oczywiście apele te nie przyniosły skutków. Tym bardziej że nie miały one – o co zadbali funkcjonariusze SB – większych szans na dotarcie do szerszego grona odbiorców. Nic nie wiadomo, aby jakikolwiek polski sportowiec zdecydował się na bojkot igrzysk olimpijskich w Moskwie. Nic też nie wiadomo, aby na taki krok zdecydował się którykolwiek nasz rodak wybierający się do stolicy Kraju Rad na tę imprezę, albo żeby Polacy nie oglądali transmisji przed telewizorami. Inna sprawa, że ci nasi rodacy, którzy znaleźli się na trybunach – jak potem narzekało KGB – w sposób wręcz demonstracyjny dopingowali rywali sowieckich czempionów. I to mimo że Służba Bezpieczeństwa zadbała o odpowiedni dobór polskich kibiców, którym był dany przywilej wyjazdu do Moskwy. Ale to już całkiem inna – równie zresztą ciekawa – historia. Podobnie jak dalsze działania opozycji (np. ustawienie pomników katyńskich na warszawskich Powązkach czy cmentarzu w Płocku w 1981 r.) w celu upamiętnienia Katynia i Polaków pomordowanych na Wschodzie.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

LETNIE IGRZYSKA W MOSKWIE W 1980 r. ODBYWAŁY SIĘ W STOLICY KRAJU, GDZIE DOKONANO ZBRODNI LUDOBÓJSTWA NA TYSIĄCACH OFICERÓW POLSKICH WZIĘTYCH DO NIEWOLI PO 17 WRZEŚNIA 1939 r.

eprasa.pl df7f188d7b

KRZYSZTOF TARKA

Vaclovas Sidzikauskas (1893–1973)

Adam Tarnowski (1892–1956)

MIĘDZY LACHAMI A BUDRYSAMI NA EMIGRACJI

GDY W POŁOWIE 1944 r. ARMIA CZERWONA PONOWNIE ZBLIŻAŁA SIĘ DO GRANIC LITWY, Z KRAJU RUSZYŁA FALA UCIEKINIERÓW NA ZACHÓD. WIĘKSZOŚĆ SCHRONIŁA SIĘ NA TERENIE NIEMIEC

Tam, w końcu 1944 r. reaktywował się Naczelny Litewski Komitet Wyzwoleńczy (Vyriausiasis Lietuvos išlaisvinimo komitetas – VLIK). Ta niepodległościowa organizacja powstała rok wcześniej na Litwie pod okupacją niemiecką. Jej siedziba mieściła się początkowo w Würzburgu w Bawarii, wkrótce VLIK przeniósł się do Reutlingen, miasta we francuskiej strefie okupacyjnej. Na czele komitetu stał ks. Mykolas Krupavičius, w przeszłości minister rolnictwa. Sprawami zagranicznymi kierował Vaclovas Sidzikauskas, były poseł litewski w Londynie. W skład komitetu weszli przedstawiciele najważniejszych ugrupowań emigracyjnych: narodowcy, chadecy, ludowcy i socjaldemokraci.

Jeszcze w drugiej połowie 1940 r., po aneksji Litwy przez Związek Sowiecki, litewscy dyplomaci utworzyli Komitet Posłów Litewskich. Jego przewodniczącym został były minister spraw zagranicznych, a następnie poseł w Rzymie, Stasys Lozoraitis. Po zakończeniu wojny obie grupy, choć utrzymywały ze sobą łączność, aspirowały do przywództwa wśród emigrantów.

Litewska inicjatywa

Inicjatywa nawiązania kontaktu z władzami polskimi na uchodźstwie wyszła ze strony Litwinów. W czerwcu 1946 r. do Paryża, gdzie obradowali ministrowie spraw zagranicznych Francji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Związku Sowieckiego, przyjechał Sidzikauskas. Przedstawicielom trzech zachodnich rządów wręczył memoriał z litewskimi postulatami. Pobyt nad Sekwaną wykorzystał również do rozmów z Polakami. W połowie czerwca trzykrotnie rozmawiał z działaczem Stronnictwa Narodowego Józefem Baranieckim oraz z Jerzym Drobnikiem. W ostatnim spotkaniu uczestniczyli również przedstawiciele Polskiej Partii Socjalistycznej Emanuel Freyd i Lucjan Krawiec. Delegat VLIK opowiadał się za daleko idącym zbliżeniem z Polską. Oba kraje prowadzić miały wspólną politykę zagraniczną i wojskową. Porozumienie obejmować miało ponadto współpracę kulturalną i ekonomiczną. Sidzikauskas informował też o planowanych na sierpień rozmowach z Komitetem Posłów Litewskich i zamiarze utworzenia rządu emigracyjnego. Poruszył również sprawę Wilna. Aby w przyszłości nie doszło do walk polsko-litewskich, wskazywał na konieczność jak najszybszego porozumienia w tej drażliwej kwestii. Problem był trudny do rozwiązania, polscy rozmówcy bowiem wyraźnie stwierdzili, iż nie uznają żadnych zmian terytorialnych na wschodzie, dokonanych po 1 września 1939 r. W sprawie granicy wschodniej Polacy mówili

FOT. NAC (2x)

eprasa.pl df7f188d7b

jednym głosem. Przedstawiciele dwóch największych stronnictw politycznych na emigracji zgodnie opowiadali się również za utworzeniem niepodległej Litwy. Podkreślili, że stosunek Polski do Litwy „będzie zawsze pozytywny". Popierali litewskie aspiracje do wschodniej części Prus Wschodnich, zamieszkanej przez Litwinów. Sidzikauskas złożył także wizytę byłemu ambasadorowi RP we Francji Kajetanowi Morawskiemu.

Polskie obawy

W „polskim" Londynie z zadowoleniem przyjęto litewską inicjatywę. Szef emigracyjnej dyplomacji Adam Tarnowski podkreślił: „Każdy krok, choćby nawet tak spóźniony, zmierzający do normalizacji stosunków polsko-litewskich, może tylko przynieść korzyść obu państwom". Mimo pozytywnej reakcji minister Tarnowski nie ufał w szczerość intencji Sidzikauskasa. Przeczuwał, że oferta prowadzenia wspólnej polityki zagranicznej i wojskowej w rzeczywistości miała uśpić czujność strony polskiej w sprawie wileńskiej. Jego zdaniem pod płaszczykiem daleko idących deklaracji kryło się wyrachowanie Litwinów liczących, że rząd RP na uchodźstwie wobec nadziei na tak głębokie powiązanie polityki polskiej i litewskiej pójdzie łatwiej na kompromis w sprawie uznania praw Litwy do Wilna. Tarnowski nie pozostawiał żadnych złudzeń co do tego, że rząd RP mógłby zrezygnować z przynależności Wilna do Polski. Nie chciał jednak, aby sztywne stanowisko polskie już na początku rozmów odstręczyło Litwinów od dalszych kontaktów: „Musimy więc ze swej strony powziąć cały szereg takich kroków – pisał w liście do ambasadora Morawskiego – aby miasto to udostępnić Litwinom i aby mieli oni pełne poczucie, iż mimo że znajduje się ono na terytorium Polski, Wilno jest jednak niejako wspólnym miastem obu narodów". Ówczesne realia były wszakże zupełnie inne, nad czym Tarnowski przeszedł do porządku dziennego.

Pozorne sukcesy

Kilka miesięcy później, w marcu 1947 r., Sidzikauskas przyjechał do Londynu na spotkanie z ministrem Tarnowskim. Szef emigracyjnej dyplomacji zdecydowanie odrzucił rozmowy w sprawie granic. Deklarując wolę porozumienia, oświadczył, że wszelkie spory, jakie mogą zaistnieć w przyszłości między obu państwami, powinny być rozwiązywane na drodze pokojowej. Chciał też, aby Wilno stało się miastem łączącym oba narody i państwa, a nie dzielącym je, jak to było w przeszłości. Strona polska wyraziła również zgodę na uznanie VLIK za polityczną reprezentację państwa i narodu litewskiego. Obie strony miały w tych sprawach wymienić listy.

Początkowo mogło się wydawać, że rozmowy londyńskie zakończyły się sukcesem. Paradoksalnie, im więcej strona polska zyskała w rokowaniach z Sidzikauskasem, tym bardziej oddalała się od końcowego porozumienia z Litwinami. Pominięcie sprawy wileńskiej okazało się pyrrusowym zwycięstwem Polaków, odstręczając Litwinów od sfinalizowania negocjacji. W rezultacie nastąpił zastój w rokowaniach.

W grudniu 1947 r. litewski negocjator ponownie spotkał się w Londynie z ministrem Tarnowskim. Sidzikauskas stanowczo domagał się gwarancji, że na tle sprawy wileńskiej nie dojdzie w przyszłości do konfliktu zbrojnego między obu państwami. Polacy argumentowali, że „ustalanie dzisiaj, kto jakie tereny wschodnie będzie przejmował z rąk rosyjskich, jest zgoła bezprzedmiotowe, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa tereny te będą zajęte przez wojska amerykańskie i angielskie, przeto też umowa o podobnym charakterze byłaby przysłowiowym dzieleniem skóry na niedźwiedziu".

Wymianę listów, których treść kilka miesięcy wcześniej Tarnowski uzgodnił w rozmowach z Sidzikauskasem, Litwini uzależniali od wprowadzenia „pewnych poprawek" oraz dołączenia tajnego protokołu, w którym obie strony zobowiązałyby się do nieuciekania się w żadnym wypadku do użycia siły przy obejmowaniu władzy w Wilnie „po wypędzeniu Rosjan". Polacy – nie bez racji – odczytywali to jako faktyczną zgodę na pozostawienie Wilna w ręku Litwinów. Wobec zasadniczo odmiennych stanowisk w sprawie wileńskiej trudno było liczyć na pozytywne rozwiązanie sporu. Ostatecznie nie doszło też do wymiany wspomnianych listów.

Deklaracje dobrej woli

Wiosną 1948 r. Litwini wystąpili z nową inicjatywą. 15 maja Juozas Vitenas, redaktor naczelny litewskiego tygodnika „Žiburiai" („Światło"), wydawanego w Augsburgu, zwrócił się z wieloma pytaniami do prezydenta RP Augusta Zaleskiego. Pytania dotyczyły oceny aktualnej sytuacji politycznej. Kilka z nich odnosiło się do relacji polsko-litewskich. Vitenas pytał np. o stosunek rządu RP do Litwy, sprawę polskiej granicy wschodniej czy warunki współpracy obu narodów.

Prezydent Zaleski odpowiedział litewskiemu dziennikarzowi listem z 1 lipca 1948 r. Podzielając przekonanie Vitenasa, że stosunki polsko-litewskie winny ulec w przyszłości radykalnej poprawie, stwierdził: „Dzisiaj, kiedy oba nasze narody są pozbawione przemocą możności swobodnego wypowiadania się, na obu naszych uchodźstwach ciąży obowiązek prowadzenia dalszej walki o niepodległość. Uchodźstwa te, biorąc pod uwagę identyczność celów, do których realizacji dążą wytrwale oba narody bez względu na napotykane przeciwności, winny przygotować drogę do ustalenia podstaw i form stosunków między Litwą i Polską po odzyskaniu niepodległości przez oba państwa. Nie wątpię, że jeśli po obu stronach istnieć będzie dobra wola, wspólne wysiłki wydadzą pomyślne wyniki dla obu narodów". List Zaleskiego wraz z fotografią prezydenta RP ukazał się w jednym z lipcowych numerów litewskiego pisma.

Szczegółowe odpowiedzi na każde z 15 pytań przygotowywał minister Tarnowski. Szef emigracyjnej dyplomacji ponownie deklarował się jako zwolennik „jak najbardziej harmonijnego ułożenia stosunków pomiędzy Litwą i Polską". W imieniu rządu ponowił ofertę oficjalnego wznowienia kontaktów dyplomatycznych. Opowiadał się za podejmowaniem wspólnych akcji politycznych, współpracą prasowo-propagandową. Wspomniał także o podobnych problemach uchodźców z obu krajów. Porozumienie z Litwą miało być fragmentem regionalnego sojuszu. Polacy od dawna byli bowiem orędownikami związku państw Europy Środkowo-Wschodniej. Za ścisłym porozumieniem regionalnym przemawiały względy bezpieczeństwa i korzyści gospodarcze. Współdziałanie z emigrantami z krajów, które znalazły się w sowieckiej strefie wpływów, było jedną z podstawowych wytycznych polityki rządu RP. I tym razem skończyło się na projektach.

W styczniu 1953 r. ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej Kazimierz Papée informował MSZ o dochodzących go pogłoskach, że Litwini zawarli umowę terytorialną z Republiką Federalną »

eprasa.pl df7f188d7b

Niemiec. W zamian za przyzwolenie na powrót Prus Wschodnich do Niemiec mieli uzyskać zgodę na pozostanie Wilna przy Litwie. Nieformalny szef litewskiej dyplomacji Stasys Lozoraitis zdecydowanie zdementował informacje przekazane przez polskiego dyplomatę. Twierdził, że taka akcja byłaby dywersyjną i samozwańczą inicjatywą, powziętą przez jakieś nieodpowiedzialne czynniki litewskie. Wskazując ewentualnie na Sidzikauskasa, przy okazji chciał zdyskredytować swego konkurenta w środowisku litewskim, pozostającego notabene od lat w dobrych kontaktach z Polakami.

Próby przełamania impasu

Rok później kontakty z Litwinami w Nowym Jorku nawiązali działacze Rady Politycznej, pozostający w opozycji wobec rządu RP. Ze strony polskiej w rozmowach uczestniczył działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego – Odłam Jedności Narodowej Stefan Korboński oraz socjaliści Otto Pehr, Lidia i Adam Ciołkoszowie. Komitet Wolnej Litwy reprezentował Juozas Kaminskas, Antanas Trimakas i Vaclovas Sidzikauskas. Litwini zaproponowali utworzenie wspólnej komisji dla przedyskutowania problemów z przeszłości oraz zagadnień bieżących. Zależało im przede wszystkim na omawianiu spraw terytorialnych. Polacy nie łudzili się jednak, że ich rozmówcy za podstawę rokowań przyjmą granicę sprzed 1 września 1939 r. W tej sytuacji członkowie Rady Politycznej starali się ograniczyć kontakty do bieżącego współdziałania, bez precyzowania kwestii terytorialnych. W marcu doszło do kolejnego spotkania. Wobec rozbieżnych stanowisk rozmowy podjęte przez Radę Polityczną nie przyniosły jednak pozytywnego rezultatu.

Po wewnętrznym rozłamie polskiego wychodźstwa w czerwcu 1954 r. „zamkowi" politycy zabiegali o podtrzymywanie kontaktów z emigrantami z Europy Środkowo-Wschodniej. Stwarzało to pozory uczestnictwa w polityce międzynarodowej. Premier i kierownik MSZ Stanisław Mackiewicz marzył nawet o stworzeniu rady państw zza żelaznej kurtyny. Podobne plany snuł szef litewskiej służby dyplomatycznej Stasys Lozoraitis. Rada obejmować miała przedstawicielstwa Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Węgier i Rumunii. 1 lipca 1954 r., podczas śniadania w jednej z londyńskich restauracji, obaj politycy w miłej atmosferze gawędzili o sytuacji międzynarodowej i wewnętrznych stosunkach na emigracji. Dwa dni później, na zaproszenie Mackiewicza, Lozoraitis był na śniadaniu u prezydenta Zaleskiego. Polsko-litewskie rozmowy coraz bardziej przypominały jednak towarzyską dyskusję niż polityczne rokowania.

Wilnem podzieleni

Kontakty z Polakami wywoływały opór i obawy wśród Litwinów. Emigracyjna prasa przedstawiała rozmowy jako pułapkę zastawioną przez Polaków, w którą dali się wciągnąć politycy litewscy. W lutym 1956 r. „Europos Lietuvis" w artykule „O jednym naszym sąsiedzie" ostrzegał, iż w pertraktacjach z Polakami trzeba być „ostrożnym i nie wpaść w pułapkę. [...] Trudno jest znaleźć bardziej zdradliwy naród od Słowianina". Podważając celowość rozmów, pytano retorycznie, czy korzystne jest popieranie polskich pretensji do Prus Wschodnich oraz ziem nad Odrą i Nysą Łużycką w sytuacji, gdy Litwa ma niezałatwione sprawy z Niemcami. Wskazywano, że propaganda sowiecka i tak już oskarża litewskich „nacjonalistów" o zamiar sprzedania Wilna Polakom. Polacy, nie chcąc się wyrzec Wilna, utwierdzali Litwinów w przekonaniu o podstępnym charakterze rozmów. Sprawa Wilna znów okazała się przeszkodą nie do pokonania. Sztywne stanowisko stron w sprawie wileńskiej oraz wewnętrzne podziały obu emigracji sprawiły, że na wiele lat ustały wzajemne kontakty.

Gestem dobrej woli wobec Litwinów był udział prezydenta RP Kazimierza Sabbata oraz ministra spraw zagranicznych Zygmunta Szkopiaka w obchodach rocznicy odzyskania niepodległości przez Litwę 16 lutego 1987 r. Nazajutrz prezydent obecny był na przyjęciu w Domu Litewskim. W ocenie ministra Szkopiaka podczas obchodów nie został jednak zachowany „kurtuazyjny protokół wobec Prezydenta RP. Wynika to z chłodnych stosunków polsko-litewskich".

11 marca 1990 r. parlament litewski proklamował deklarację niepodległości. Przewodniczącym parlamentu został Vytautas Landsbergis. Z tej okazji prezydent Ryszard Kaczorowski już nazajutrz wysłał depeszę gratulacyjną do Landsbergisa, którego tytułował prezydentem Litwy. Emigracyjny rząd z zadowoleniem powitał też ogłoszenie niepodległości przez Litwę.

Odzyskanie wolności i suwerenności przez Polskę oraz proklamacja niepodległości Litwy spowodowały, że stosunki między obu państwami weszły w jakościowo nową fazę. O wzajemnych relacjach dyskutowano oraz decydowano nad Wisłą i Niemnem, a nie na emigracji. Nie oznacza to, że automatycznie zniknęły zadawnione spory i urazy. Pojawiły się też nowe problemy.

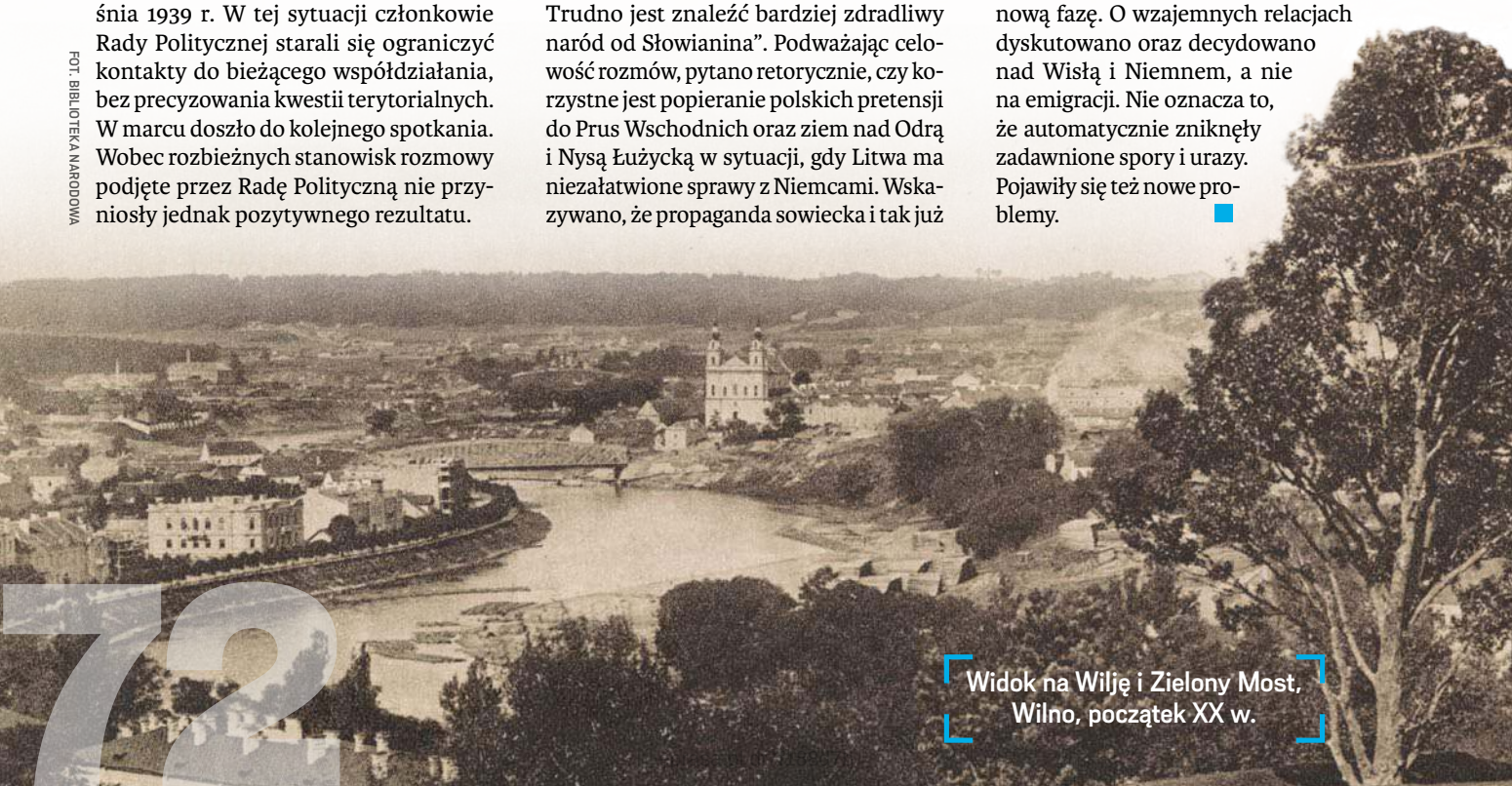

Widok na Wilję i Zielony Most, Wilno, początek XX w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Rok 1952. Edukacja alternatywna

WACŁAW LESZCZYŃSKI

Według obowiązującego podręcznika historii najnowszej tylko komuniści dbali o dobro Polski i mas pracujących. W czasie wojny polska burżuazja współpracowała z Niemcami z nienawiści do ZSRS, a Armia Krajowa była „agenturą Gestapo".

W XI klasie mieliśmy nowy przedmiot – Naukę o Konstytucji, prowadzony przez samego dyrektora Szponara. Na lekcjach uczyliśmy się o różnicy między demokracją socjalistyczną a burżuazyjną i między konstytucją socjalistyczną, zwłaszcza jej szczytowym osiągnięciem – konstytucją stalinowską, a konstytucją kapitalistyczną. Podręczników do tego przedmiotu nie było, należało mieć i znać uchwaloną w lipcu 1952 r. Konstytucję Polskiej Republiki Ludowej (taką nazwę komunistycznej Polski przyjęto w tej konstytucji wzorowanej, jak nam mówiono, na „stalinowskiej"). Uczono nas pojęcia „wolności", która nie jest dla wszystkich, dla kogo jest wolność w ustroju socjalistycznym, a dla kogo jej nie ma.

Dowiedzieliśmy się, że według najnowszych myśli genialnego Wodza Narodów, Chorążego Pokoju i Ojca Ludzkości Generalissimusa Józefa Stalina, wraz postępem zwycięskiej rewolucji i socjalizmu narasta opór klas wyzyskiwaczy. Nazywało się to „nauką o narastającej walce klas". Wobec tego należało wzmóc czujność klasową w celu „zdemaskowania knowań anglo-amerykańskich imperialistów, zachodnioniemieckich rewizjonistów oraz ich krajowych sługusów". Przykładem takiego demaskatora był bohater (patron) pionierów radzieckich Pawka Morozow. Był on synem przewodniczącego kołchozu oraz pionierem. Na zbiórkach pionierów słyszał o wrogach socjalizmu czyhających na możliwość szkodzenia radzieckiej ojczyźnie. Kiedyś, wracając ze zbiórki, usłyszał w stodole podejrzane szmery. Podkradł się i zobaczył swego ojca umawiającego się ze „spekulantami" (czyli handlarzami) na nielegalną sprzedaż kołchozowej pszenicy. Pawka szybko zawiadomił NKWD, funkcjonariusze urządzili zasadzkę, w którą wpadli jego ojciec oraz spekulanci. Ojciec Pawki powędrował do łagru, a syn dostał pochwałę przed frontem drużyny pionierów. Kiedy dumny wracał z tej zbiórki, zadźgał go nożem jego dziadek, były kułak. Miałem książeczkę z życiorysem Pawki Morozowa po polsku i po rosyjsku. Niestety kiedyś obie wyrzuciłem do śmieci. Jeżeli chodzi o Stalina, to krążył dowcip, że ma on awansować ze stopnia chorążego (wówczas pierwszy stopień oficerski) na stopień Podporucznika Pokoju.

Nowym przedmiotem była też logika z podręcznikiem Winogradowa (tłumaczenie z rosyjskiego). Prowadziła go pani Płazowska. Mówiono, że wcześniej nazywała się Płaza, ale zmieniła nazwisko, kiedy rzucił ją mąż, jakiś ważny urzędnik państwowy, dla innej kobiety i wyjechał (chyba z nią) do Rzeszowa. Od pierwszej lekcji uwzięła się na mnie, nie wiem dlaczego. „Leszczyński, czy wiesz, czym różni się twoja głowa od pustyni?". „Nie, pani profesor". „O, to niedobrze, bo to bardzo proste. Niczym się nie różnią. Zarówno twoja głowa, jak i pustynia są puste". Ja jej na to: „Rzeczywiście, pani profesor, nie ma między nimi różnicy, bo pustynia jest pełna piasku, a moja głowa jest pełna rozumu". To ją zamurowało, a klasa się głośno cieszyła. Po latach doszedłem do wniosku, że pewnie byłem podobny do jej byłego męża i dlatego mnie prześladowała.

Obowiązkowym elementem wystroju placówki oświatowej w PRL lat 50. były portrety przywódców PZPR na ścianach. W czytelni przy ul. Estońskiej w Warszawie na ścianie wisi portret prezydenta Bolesława Bieruta

FOT. NAC

W ramach przedmiotu historii przerabialiśmy w klasie XI czasy najnowsze, od 1864 r. do końca II wojny światowej. W tym celu wypożyczono nam (na cały rok) obowiązujący podręcznik, wydany w 1952 r. pod redakcją Żanny Kormanowej. Część dotycząca historii Polski niepodległej i II wojny światowej napisana była przez Marię Turlejską. W zasadzie była to historia partii komunistycznych rosyjskich i polskich. Według autorki oczywiście tylko komuniści dbali o dobro Polski i mas pracujących. W czasie wojny polska burżuazja współpracowała z Niemcami z nienawiści do ZSRS, a Armia Krajowa była „agenturą Gestapo". O rządzie Sikorskiego pisano tam w cudzysłowie „rząd", a sam Sikorski był „agentem austriackiego wywiadu". I cała gruba książka składająca się z tym podobnych bzdur. Nas to nawet nie oburzało, tylko śmieszyło, przecież myśmy wiedzieli z osobistych doświadczeń i doświadczeń naszych rodzin, jak było naprawdę. Czytałem Mamie wyjątki z tego „dzieła" i śmiałem się, że Mama przez pomyłkę trafiła do Oświęcimia, bo przecież była kurierką organizacji ponoć współpracującej z Niemcami. Ale musieliśmy się tego uczyć i według tego odpowiadać. Wspomniana autorka tych łgarstw, fałszerstw oraz oczerniania patriotów, Turlejska, potem była dysydentem, była honorowana w III RP i zmarła „w chwale" w 2003 r.

eprasa.pl df7f188d7b

WIĄZANIE HISTORII

Tajne akcje i nasze mity

PAWEŁ KOWAL

Debaty o okrągłym stole, ale także o wszystkich w zasadzie wydarzeniach związanych z latami 1980–1989 w Polsce toczą się w taki sposób, jakbyśmy byli wyspą odizolowaną od reszty świata. Bohaterowie tamtych wydarzeń skupieni są na swoich dokonaniach sprzed lat, co najwyżej spierając się pomiędzy sobą, kto dla polskiej wolności zrobił więcej.

Taki obraz ówczesnych wydarzeń chcemy przedstawić swoim dzieciom, czyli kolejnym pokoleniom, i taki obraz naszej roli chcemy przedstawić światu: my, my, my. Jakbyśmy niczego się nie nauczyli z historii walk o wolność w XIX w. Przecież to nie jest tak, że powstańcy listopadowi czy styczniowi nie byli wystarczająco zmobilizowani, to w dużej mierze kontekst międzynarodowy nie pozwolił im na sukces. Jest natomiast tak, że mobilizacja narodowa w czasie I wojny światowej przyniosła sukces, ponieważ wielu potężnych graczy na świecie, a szczególnie w Ameryce, było gotowych udzielić politycznego wsparcia aspiracjom Polaków.

„A Covert Action. Reagan, The CIA, and the Cold War struggle in Poland", napisana przez Setha G. Jonesa, a wydana w ubiegłym roku przez W.W. Norton & Company w Nowym Jorku, skłania do nowej refleksji nad naturą transformacji w Polsce. A może jednak nie tylko „my"? Może ktoś nam pomógł bardziej, niż sądzimy? W gruncie rzeczy gdybyśmy wciąż żyli w świecie, w którym poważnie dyskutuje się nad książkami, praca Jonesa byłaby sensacją. Nie ze względu na tytułowe „CIA", może wstawione tylko po to, by przyciągnąć oko czytelnika gotowego wydać 25 dolarów. Chodzi o pokazanie wieloletniej układanki dyplomacji amerykańskiej, żeby odwrócić bieg spraw po Jałcie, i czekania na odpowiedni moment, gdy społeczeństwo w Polsce będzie gotowe. Nie jest to pierwsza praca, która pozwala zobaczyć, jak mało wiemy, a może nawet jak mało rozumiemy z faktycznego znaczenia kontekstu światowego dla odzyskania przez nas wolności. Chodzi np. o polityczną rolę Jana Pawła II w odzyskaniu przez Polskę niepodległości, a tak naprawdę w rozmontowaniu systemu sowieckiego. Ale wróćmy do Ameryki. Jak mało rozumiemy choćby z roli Zbigniewa Brzezińskiego. „Tajne akcje" amerykańskie to były przecież w rzeczywistości polityczne przedsięwzięcia gdzieś na górze popierane przez administracje prezydentów USA w czasie wojny, ale podejmowane przez Polaków w Ameryce, w tym tych żydowskiego pochodzenia, którzy przybywali do USA w różnych okresach XX w. Opowieść o polskim roku 1989 wciąż jest niepełna i za bardzo skoncentrowana na „my byliśmy pierwsi".

POLSKIM OKIEM

Unia kulinarna i europejska

RYSZARD CZARNECKI

Przed wylotem do Belgradu pytam Dominikę Ćosić, korespondentkę TVP w Brukseli, pamiętającą wszak o serbskich korzeniach części rodziny, czy ma dla mnie jakieś sugestie. Odpowiada: „Rakija, ćevapčici, pljeskavica z kajmakiem".

Rakija to wódka. Ćevapčici – małe podłużne kotlety. A to trzecie to wielki kotlet z mielonego mięsa, choć naszego „mielonego" nie przypomina. Z porady skorzystałem, rakiję zostawiając na inny czas. Tyle że te serbskie smakołyki występują też w innych bałkańskich krajach. Możemy więc mówić o kuchni regionalnej, ponadnarodowej. Aha, kajmak to ser...

W Belgradzie jestem z delegacją komisji spraw zagranicznych Parlamentu Europejskiego. Wiem, że przyjeżdżam do państwa, które jako jedno z pierwszych dwóch, może trzech, znajdzie się w Unii Europejskiej. Nastąpi to zapewne w okolicach 2029–2030. Przed Serbią albo razem z nią wejdzie Czarnogóra, w tym samym czasie lub nieco później – Macedonia. Traktowana przez Serbów z niechęcią – z wzajemnością – Albania będzie pewnie na końcu tego peletonu.

Zachodni dyplomata mówi mi, że wpływy Rosji w tym kraju są przez obserwatorów zewnętrznych przeszacowane. Potwierdza to, co sam instynktownie czuję, patrząc chociażby na dane gospodarcze. Prawie dwie trzecie eksportu Serbii idzie do krajów UE i taka sama jest skala importu. Choćby nie wiem jakie historyczne sentymenty – ekonomia decyduje. Nawet jeśli w Belgradzie witać Putina wychodzi na ulice sto tysięcy Serbów. Skądinąd ci przyjezdni dostają na drogę powrotną suchy prowiant, co świadczy o tym, że nie była to taka całkiem spontaniczna manifestacja...

Na przykładzie tego siedmiomilionowego kraju widać, jak Moskwa traci wpływy nie tylko w Azji Centralnej czy Kaukazie Południowym, ale także na Bałkanach. Oczywiście starą rosyjską metodą Kreml gra powyżej tego, co ma w kartach, a Zachód od wieków daje się na to nabierać.

Za to Belgrad dość umiejętnie gra Serbami, którzy mieszkają na terenie dawnej Jugosławii. Gdy potrzeba, stają się problemem dla Bośni i Hercegowiny, Chorwacji czy dla innych krajów dawnej ojczyzny Josipa Broza-Tito (Chorwata zresztą).

Polaków i Serbów wiele łączy. Jesteśmy Słowianami. Mamy tragiczną historię. Mamy bardzo podobne hymny (ich jest wolniejszy). Mamy podobne języki – każdy Polak zrozumie, co to znaczy „mój kiosk" czy „gazirana woda". Mamy też podobne jedzenie, bo ich „sarma" to nasze gołąbki, ich „priebranac" to fasolka po bretońsku; mają też coś na kształt bigosu – „podvarak". No i pewnie będziemy razem w Unii. Tylko UE musi przetrwać...

eprasa.pl df7f188d7b

JADWIGA, ŻONA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA

BYŁA WIERNĄ I WSPOMAGAJĄCĄ MĘŻA TOWARZYSZKĄ, ZARÓWNO W OKRESIE WALKI O WŁADZĘ, JAK I NA TRONIE KRÓLEWSKIM

MAREK BARAŃSKI

Jadwiga urodziła się między 1270 a 1275 r. Ojcem jej był książę Wielkopolski Bolesław Pobożny, matką była Jolenta Helena, córka króla Węgier Beli IV i Marii Laskaris, córki cesarza Nikei. Zapewne Bolesław pod koniec swego życia obiecał oddać rękę swej córki Władysławowi, księciu księstewka brzesko-kujawskiego.

W tym czasie Łokietek nie liczył się w polityce. Jednak kilka lat później jego znaczenie wzrosło, gdy w 1288 r. odziedziczył po swym bracie Sieradz, a niedługo później opanował Sandomierz. Stał się jednym z ważniejszych władców polskich, równym księciu Wielkopolski Przemysłowi II. Za niego więc mógł Przemysł wydać swą bratanicę. Do ślubu Łokietka i Jadwigi doszło w 1292 lub 1293 r. Mariaż ten wzmacniał zawarty między obu książętami sojusz skierowany przeciwko królowi Czech, a zarazem księciu krakowskiemu Wacławowi II.

W 1296 r., po śmierci króla Przemysła II, Łokietek został władcą Wielkopolski i Pomorza, stając się jednym z najważniejszych książąt polskich. Wraz z nim rosło też znaczenie jego żony Jadwigi. Łokietkowi i jego małżonce mógł się w Polsce równać tylko książę Krakowa i Sandomierza Wacław II. Jednak jako król czeski był znacznie od Łokietka silniejszy. W 1300 r. doszło między nimi do konfrontacji i Wacław zajął niemal wszystkie ziemie piastowskie. Poza jego władzą pozostały tylko Mazowsze i Śląsk. Następnie koronował się na króla Polski. Natomiast Łokietek musiał uciekać z kraju. Nie wiemy, gdzie szukał schronienia; zapewne był na Rusi, na Węgrzech, może nawet w Rzymie. Wiemy natomiast, co robiła wtedy jego żona. Jadwiga nie zdołała uciec z kraju wraz z mężem. W Radziejowie ukrywana przez mieszczan żyła kilka lat jako jedna z nich. W opiece nad księżną zasłużył się zwłaszcza niejaki Gierek, którego Łokietek po powrocie do kraju hojnie wynagrodził, nadając mu wójtostwo w mieście.

Do Polski Łokietek powrócił w 1304 r. i zaczął odzyskiwać dawniej posiadane ziemie. Do 1306 r. opanował poza Małopolską także ziemię sieradzką i łęczycką oraz Kujawy i Pomorze. Poddał mu się też Kraków. Gdy książę Władysław zaczął odzyskiwać władzę, Jadwiga znowu znalazła się u boku męża. W dawniejszych latach para książęca doczekała się trojga potomków. Najstarsza spośród nich była Kunegunda, a potem przyszli na świat synowie, Stefan i Władysław. Niestety z tej trójki długo żyła tylko córka, która wyszła za mąż za księcia świdnickiego Bernarda. Natomiast po powrocie Łokietka zaczęły się rodzić następne dzieci, Elżbieta, która później została królową węgierską, Jadwiga i Kazimierz, późniejszy król Polski.

W 1311 r. wybuchł bunt mieszczan krakowskich. Książę Władysław zbierał wojska niezbędne do opanowania sytuacji, Jadwiga pozostała na Wawelu, broniąc grodu przed buntownikami.

Księżna współpracowała z mężem w rządzeniu i w prowadzeniu działań politycznych. Brała udział w objazdach kraju, wspierała Łokietka, przekazując wiernym poddanym należące do niej cła i inne uprawnienia. Brała też czynny udział w pobożnych fundacjach i uposażaniu już istniejących kościołów oraz klasztorów.

W 1320 r. Władysław Łokietek koronował się na króla Polski. Wraz z nim koronowana została Jadwiga. Od tego momentu była ona królową Polski. Ogromny sukces, ale nie koniec zmartwień. W 1327 r. bardzo poważnie zachorował syn Jadwigi i Władysława, Kazimierz. Choroba była tak ciężka, że rodzice zwątpili w jego wyzdrowienie. Król Władysław, nie mając innych synów, zaczął rozmawiać o sukcesji ze swą siostrą i z jej mężem, królem Węgier Karolem Robertem. Po raz pierwszy pojawiła się możliwość dziedziczenia polskiego tronu przez syna siostry Kazimierza, Elżbiety. Na szczęście Kazimierz wyzdrowiał i po śmierci swego ojca w 1333 r. zasiadł na polskim tronie.

Jadwiga oczywiście była szczęśliwa, że jej syn jest królem Polski. Nie chciała się jednak zgodzić, aby wraz z nim koronowana była na królową Polski żona Kazimierza, Anna. Uważała bowiem, że ona jest jedyną królową. Syn jednak wytłumaczył jej, że musi się zgodzić na koronację jego żony. Jadwiga ustąpiła i wyjechała do Sącza, gdzie pełniła funkcję namiestnika królewskiego w tej prowincji. Zmarła w Sączu w 1339 r., pod koniec życia przyjmując habit klaryski.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

MICHAŁA ŚWIDRA PAMIĘCI

MICHAŁ ŚWIDER MIAŁ 57 LAT. PO LUDZKU RZECZ UJMUJĄC, MÓGŁ JESZCZE DŁUGO POŻYĆ I NAMALOWAĆ WIELE NIEZWYKŁYCH OBRAZÓW

„073. CALIGO", 2012

JANUSZ KOTAŃSKI

Ta tragiczna wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba. To ogromna strata dla polskiej i światowej kultury. Michał był wyjątkowym artystą i wyjątkowym człowiekiem. Jakby nie z tego świata, nie z tych czasów. I nie chodzi tu o żadne artystowskie szaleństwo, ekstrawagancję ani pozę. Przeciwnie! Żył skromnie, z dala od świata.

Gdybym miał najkrócej scharakteryzować drogę Michała – tę ludzką i tę artystyczną – powiedziałbym: świadomy wybór, konsekwencja, jedność, absolutna wierność ideałom i przekonaniom. Był kompletnie ukształtowanym człowiekiem i artystą, żyjącym według Dekalogu, stawiającym sobie poprzeczkę niezwykle wysoko. Kroczył samotnie, realizując swoje powołanie.

Zadziwiał erudycją, oczytaniem, umiłowaniem muzyki. Choć ukryty za furtą, w Czernichowie, zawsze był na bieżąco. Uważnie śledził, co dzieje się w kraju i na świecie. Mówił nieraz: „Opowiedziałem się po jasnej, dobrej stronie. Po to maluję, by dawać temu świadectwo". Był patriotą. Zawsze reagował na wszelkie zło dziejące się w Polsce. Zarówno w czasach komunistycznego zniewolenia, jak i w wolnej ojczyźnie. Stawał po stronie bezbronnych, najsłabszych. Był tedy pięknym przykładem polskiego artysty, który tworzy nie dla próżnej chwały, lecz dla wartości najwyższych.

Zapatrzony w mistrzów średniowiecza, podążał ich śladami. Mozolnie pracował nad freskami, samodzielnie przygotowując farby, idąc za radą Cennnino Cenniniego. To uczyło go cierpliwości. W tej technice bowiem błąd jest niemożliwy do naprawienia. Świder podkreślał zawsze, jak ważny jest w twórczości warsztat. Nie cierpiał brakoróbstwa, „odpuszczania", tak częstego we współczesnej sztuce. Przypominał mi dawnych malarzy – rzemieślników dumnych z przynależności do cechu.

Nie był jednak w żadnym wypadku epigonem. To, że kochał sieneńskich mistrzów z Ducciem, Simone Martinim i braćmi Lorenzettimi na czele, nie znaczy, że wpatrzony był ślepo w to, co stworzono kiedyś. Cenił symbolistów: Wyspiańskiego, Boznańską, Wyczółkowskiego i Klimta, lecz podkreślał też wartość dobrego malarstwa akademickiego: Siemiradzkiego czy Puvis de Chavannes. Lecz i Degasa. Malował w sposób niepowtarzalny. Rozpoznawalny od razu.

Jego obrazy często odwoływały się do postaci oraz scen ze Starego i Nowego Testamentu. Także do apokryfów i chrześcijańskich przypowieści. Wszystkie miały łacińskie tytuły. Są tedy na jego pracach aniołowie, mnisi, rycerze pokonujący smoki, święci pańscy, jawnogrzesznice. W świetlistym pejzażu bądź na tle frag-

FOT. KERSTEN GALLERY

eprasa.pl df7f188d7b

mentów zabudowy sprzed wieków. Nie unikał jednak tematów współczesnych. Wstrząśnięty zagładą naszej elity w katastrofie pod Smoleńskiem, namalował obraz „Calliga" („Mgła"). Prosty, a przejmujący w swej wymowie. (Byliśmy zgodni, że to wtedy dokonał się w Polsce, w reakcji na tę tragedię, podział na ludzi szlachetnych i niegodnych. I nic to nie miało wspólnego z bieżącą polityką). Jest niezwykle pocieszające, że w czasach atrofii krytyki artystycznej i relatywizowania wszystkiego obrazy Świdra natychmiast znajdowały nabywców. Więcej, chętni w Stanach i w Polsce czekać musieli nieraz latami na zamówione prace. Kontrastowało to z zawstydzająco niewielkim odzewem, z jakim spotykały się jego dokonania wśród krytyków. „Ermellino", jak mówił o sobie Michał, nie bardzo się tym jednak przejmował.

Dwie jego prace zamieściłem na okładkach swych tomików poezji. (Michał kochał poezję i czytał ją nieustannie: Mickiewicza, Słowackiego, Wierzyńskiego, Herberta, lecz i twórców najmłodszego pokolenia). Na okładce „Kropli" piękna naga kobieta myje długie włosy w przezroczystej wodzie ocembrowanej sadzawki. To „Źródło". Niezwykłe jest tu połączenie erotyzmu z czystością. Oglądając „Źródło", ma się ochotę zanurzyć w chłodnej wodzie i zasnąć. By móc śnić o pięknych damach o tajemniczych lekko skośnych oczach. Podobnych do Lidki, żony Michała i wiernej towarzyszki jego życia.

„100. MORZE SARGASSOWE", 2016

„102. SZEPTY | SUSURRI", 2016

Do mojego ostatniego, jak na razie, tomiku „Głos" wykorzystałem podarowany nam w latach stanu wojennego obraz „Portentum". Portentum znaczy dobra wróżba. I ta skromna kompozycja przedstawiająca gołębicę siedzącą bez lęku przy żelaznych kratach zamykających okno była dla nas znakiem nadziei.

Michał był moim przyjacielem od lat. Wiernym i mądrym. Jego postawa inspirowała mnie do godnego zachowania, trwania przy wartościach, niepoddawania się zniechęceniu. Rozmowa z nim była niezwykłą przyjemnością. Podnosiło mnie na duchu to, że uważnie śledził i wspierał moją misję w Watykanie.

Jeśli spieraliśmy się o coś, to tylko w kwestiach sztuki. Surowy w swych sądach Michał nie tolerował przesłań, które jego zdaniem niosły nihilizm i relatywizm. Ja starałem się w niektórych pracach odnaleźć, jak u Francisa Bacona, oczyszczającą traumę. Takie to były między nami spory... Niestety. Były.

Drogi Przyjacielu, za szybko odszedłeś. Pozostaje nadzieja, iż podziwiasz teraz niebiańskie widoki, spacerując po łąkach raju...

Autor jest poetą, historykiem, zawodowym dyplomatą, obecnie ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej

eprasa.pl df7f188d7b

FOT. EAST NEWS/ADAM BROZ

Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Ze wszystkich bogactw – cztery ściany,
Z całego świata – tamta strona.

POWROTY WIERZYŃSKIEGO

eprasa.pl df7f188d7b

MAREK KLECEL

Kazimierz Wierzyński należał do najmłodszego pokolenia Polaków, które wzięło udział w I wojnie światowej. Już na jej początku, w sierpniu 1914 r., wstąpił jako ochotnik do Legionu Wschodniego w Galicji i odbył kampanię wojenną we wschodniej Małopolsce. Wcielony później do armii austriackiej, po kilku starciach z Rosjanami został wzięty do niewoli. Trafił do obozu w Riazaniu. Tam przebywał ponad dwa lata do początku 1918 r., kiedy po rewolucji bolszewickiej uciekł najpierw do Kijowa, gdzie wstąpił do POW, a po paru miesiącach przyjechał przez Lwów do Warszawy. Szybko włączył się w burzliwe już wtedy życie kulturalne i literackie stolicy, był jednym z założycieli, obok Lechonia, Tuwima, Słonimskiego, Iwaszkiewicza i Grydzewskiego, grupy poetyckiej i pisma „Skamander". Wydał pierwsze, entuzjastycznie przyjęte, tomy poetyckie „Wiosna i wino" oraz „Wróble na dachu", złożone w części jeszcze z wierszy powstałych w czasie całej kampanii wojennej i w obozie w Riazaniu. Nadal pracował w wojsku w służbie prasowej przy Naczelnym Dowództwie. Przed wybuchem wojny polsko-bolszewickiej został skierowany do organizowania prasy informacyjnej dla żołnierzy w Równem, a później w Kijowie.

W powojennej niepodległej Polsce wydawał kolejne tomy, m.in. „Wielką Niedźwiedzicę", „Pamiętnik miłości". Był jednym z założycieli najbardziej wpływowego w dwudziestoleciu pisma „Wiadomości Literackie", brał czynny udział w życiu kulturalnym i literackim kraju. Na olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 r. zdobył złoty medal w konkursie literackim za tom wierszy „Laur olimpijski". Przed 1939 r. opublikował tomiki poezji: „Rozmowa z puszczą", „Pieśni fanatyczne", „Gorzki urodzaj", „Wolność tragiczna", „Kurhany", a także prozę „Granice świata", szkice i recenzje. We wrześniu 1939 r. opuścił kraj, przez Lwów i Rumunię dostał się na Zachód, a później wojennym szlakiem wielu Polaków przez Francję, Portugalię, Brazylię trafił do Stanów Zjednoczonych, gdzie spędził z żoną całą wojnę. Tam również intensywnie pracował, biorąc udział w życiu kulturalnym i intelektualnym Polonii. Był jednym z założycieli w 1943 r. „Tygodnika Polskiego" w Nowym Jorku. Wydał liczne tomy poezji, cenną biografię Chopina, tomy szkiców „Cygańskim wozem", „Moja prywatna Ameryka". Pod koniec życia przeprowadził się do Londynu, z którym przez londyńską Polonię i redakcję „Wiadomości" był od dawna związany. Zmarł tam na początku 1969 r.

Powrót pośmiertny

Niemal dziesięć lat po śmierci Kazimierza Wierzyńskiego w 1978 r. sprowadzono jego prochy do Polski. Nie był to, jak wiadomo, obyczaj wtedy powszechny, lecz raczej tolerowany wyjątek, precedens, wyłom, by tak rzec, w murze systemu PRL. Poeta taki jak Wierzyński w żadnej postaci nie mógł być dobrze przyjęty, wracał zatem tylko symbolicznie, półlegalnie, skrycie, jak na pozacenzuralnego twórcę przystało. Nawet podwójnie symbolicznie, bo na recepcję jego dzieła kraj pod władzą systemu nie był przygotowany.

Pamięć o poecie wróciła dopiero później, po dłuższym czasie, gdy dojmująca rzeczywistość podupadła, straciła swą moc i władzę, kończyła się. Wtedy, w realiach systemu komunistycznego, symboliczny pogrzeb Wierzyńskiego nie był jeszcze zrozumiałym znakiem przyszłości, jakąś zapowiedzią upadku reżimu, który uwięził na wygnaniu takich ludzi jak Wierzyński. Wtedy jeszcze nie było takiej nadziei. Dopiero z perspektywy czasu możemy tak o tym pomyśleć.

Powrót pamięci

Dopiero teraz można w pełni zobaczyć wielkość twórcy i umiejscowić jego dzieło wśród najważniejszych dokonań polskiej poezji XX w. Pomijany wcześniej, w kraju oczywiście, nie na emigracji, nie tylko ze względów politycznych, ale i artystycznych jako archaiczny Skamandryta, teraz może być doceniony jako poeta wszechstronny, o największej skali lirycznej, poeta wielu doświadczeń, który przeszedł rzadką w XX w. ewolucję artystyczną, rozwijał się duchowo i doskonalił swój kunszt poetycki, nie poprzestając do końca życia na tym, co wcześniej osiągnął, poszukując wciąż lepszych środków wyrazu dla nowych doświadczeń. Tę ewolucję Wiktor Weintraub nazwał rewolucją: „Najbardziej imponującym przejawem jego młodości duchowej była ta rewolucja w jego pisarstwie, która zaszła po wojnie. [...] Rewolucja ta okazała się poetycko płodną dlatego, że była nie tylko warsztatowa, ale organiczna, że odpowiadała jej inna postawa wobec życia. Zdeterminowały tę postawę przeżycia wojenne, zgroza wobec okrucieństwa wojny, wyniesiona z lat wojny świadomość wiązań cywilizacji, poczucie obcości w nowym, powojennym świecie, tym ostrzej odczuwane, że żył przecież na obczyźnie, że był emigrantem. W znacznej mierze też ta nowa poezja, zwłaszcza wiersze z ostatniego dziesięciolecia, jest poezją pisaną w cieniu śmierci. Świadomość tego, że, aby użyć słów innego poety, »śmierć tuż za nami spore czyni kroki«, przejawia się nie tylko w tematyce jego wierszy („I pełny jestem śmierci jak ciszy,/ I pełny wieczności jak chłodu"), ale i w najbardziej intymnym ich aspekcie, bo w obrazowaniu. [...] Z gruntu nowy warsztat był naturalną konsekwencją z gruntu innej postawy poety wobec świata".

„Kazimierz Wierzyński był poetą integralnym" – pisał Tymon Terlecki w szkicu „Wierzyński, czyli poeta". „Znaczy to, był poetą poetycznym. Wcielał swoją poezję. Utożsamiał swoje długie życie z działaniem poetyckim. [...] Kto zobaczył Wierzyńskiego po raz pierwszy, doświadczał olśnienia, nieomal uszczęśliwienia, że jest właśnie taki jak powinien, jak się tego oczekiwało. Wyglądał jak »podmiot liryczny«, »bohater liryczny« wierszy z »Wiosny i wina«, miał harmonijną cielesność jak ludzie ubóstwieni w »Laurze olimpijskim«, uśmiechał się jak czarodziej z »Korca maku«, był wewnętrznie napięty jak człowiek z »Kufrem na plecach«. Kiedyś Henryk Kuna rzeźbił go jako młodego boga i olimpijczyka; tylko ci, którzy go znali w ostatnich latach, zachowają w pamięci tragarza ugiętego pod brzemieniem".

Poezja Wierzyńskiego nasycała się więc doświadczeniem czasu i doznaniami coraz bardziej niebezpiecznej epoki, wzbogacała się o nowe, pogłębione i przyciemnione tony. W latach 30. w tomach „Wolności tragicznej" i „Pieśni fanatycznych" pojawiły się dramatyczne zapowiedzi o nadchodzącej przyszłości, o nadciągającej wojnie i wygnaniu, »

eprasa.pl df7f188d7b

Przyszłaś, ziemio ojczysta, zasypałaś oczy
Ostatnią ciepłą garścią mego uwielbienia,
Jeszcze słyszę, jak szum twój nade mną się toczy,
Nad światem, nad urodą, nad nędzą istnienia.

>> które podzieliły na trwałe życie i twórczość poety.

Leopold Kielanowski tak wspominał lekturę wiersza „Wstążka z »Warszawianki«", będącego teatralną metaforą polskich losów i postaci, wiersza wydrukowanego 1 września 1939 r.: „Czytałem go w Wilnie w Teatrze na Pohulance, gdy pierwsze bomby spadały na lotnisko na Porubanku i zawyła syrena alarmu przeciwlotniczego. Ludzie mówili, że to ćwiczenia i że to worki z piaskiem rzucają nasi, że to generalna próba nadchodzącej wojny. Czytałem:

Za kurtyną śpią płótna. Noc jakby w katedrze
Wysoko w pułap leci i ściany obsiadła,
Po kątach wiszą maski i stoją widziadła:
Kontusze i pałasze odpasane Fredrze
Co w teatrze ostatni poloneza wodzi,
Krwawa wstążka, z nią łatwiej umierać i słodziej,
Stary wiarus; klawikord, dwa płaszcze Konradów
Z krakowskiego dramatu i litewskich Dziadów,
Kordian, któremu sztylet ktoś wbijał przez ucho,
I mundur Sułkowskiego z krwią rozdartej rany.
Chłopskie skrzypce Chochoła – świat zaczarowany,
Ten cały nasz labirynt ponad sceną głuchą,
Coś jak grecka tragedia, coś jak wieś spokojna...
...Patrzy na to i szepce:
– Znowu będzie wojna.

Na wysokim błękicie nieba ukazywały się czarne punkciki i raz po raz głuche wstrząsy rozlegały się nad »miłym miastem«. Nie była to generalna próba, lecz rozpoczynała się tragiczna premiera. Wojna stała się ciałem".

Powrót poezji

Te dramatyczne doświadczenia weszły w pełni do poezji Wierzyńskiego, wyrażając w indywidualny sposób doświadczenia wspólnoty polskich losów, całych pokoleń, doświadczenia diaspory, ale i nowych związków, dalszej polskiej ciągłości. Jego poezja rozwijała się więc od młodzieńczej swobody i euforii aż do swego rodzaju heroicznej jednak, może tragicznej, ale nie pesymistycznej, odpowiedzi na wyzwania zbiorowego losu jako indywidualny, poetycko ukształtowany, udoskonalony, głos pospólnie ludzkiego doświadczenia. Przeznaczeniem dojrzałej poezji Wierzyńskiego było zatem przyjęcie i tego odmiennego, nieludzkiego doświadczenia.

Kompozytor Roman Palester wspominał spotkania z Wierzyńskim po wojennej i emigracyjnej przerwie w końcu lat 50.: „Nie był to już poeta »Wiosny i wina«. Jego niesłychanie pogłębiona skala poetycka była już nasycona bólem i troską. W kolejnych powojennych tomach liryki od »Krzyży i mieczy« aż po »Tkankę ziemi« i »Czarny polonez« wypowiadał wszystkie nasze uczucia i myśli. Był najlepszym wyrazicielem naszych tęsknot i marzeń. W licznych spotkaniach w ciągu ostatnich dziesięciu lat w Paryżu, w Monachium czy w Rzymie przekonałem się, że lata wygnania, tak ciężkie dla wielkiego poety, nie potrafiły w niczym przytłumić jego temperamentu poetyckiego, jego entuzjastycznego stosunku do życia, jego dziwnej właściwości promieniowania poezją. Bo właściwie każdy kontakt z Wierzyńskim to był właśnie kontakt z poezją. Tu nie chodzi tylko o jego lirykę, ale o całe jego spojrzenie na świat".

Dzieło poetyckie Wierzyńskiego odnajduje teraz własne miejsce w dorobku polskiej poezji XX w. Zachowuje swój charakter także wśród rówieśników z grupy poetyckiej Skamander: Wierzyński jest inny niż tragiczny Lechoń, artystowski, lecz koniunkturalny później Iwaszkiewicz, wirtuozowski, lecz nieznajdujący miejsca, politycznie niepewny Tuwim czy Słonimski. Jest zjawiskiem odrębnym, rozwijającym się niezależnie od głośnych tendencji epoki, przeważających wpływów modernistycznych, awangardowych, poszukiwań i eksperymentów jedynie formalnych, czysto artystycznych. Podejmuje palące pytania swych czasów, problemy wspólne, nurtujące całą jego publiczność. Zarazem twórczość ta jest rzadkim w XX w. zjawiskiem sztuki afirmatywnej, niewątpiącej w wartość istnienia w ostatecznym rozrachunku mimo klęsk i zła, sztuki nienegatywistycznej. Wierzyński rozpoczyna od ód do młodości, a kończy na wieku klęski i doświadczenia, ale nie jest to pusta rozpacz i zwątpienie. Odnajduje coś trwałego, co nie ulega największym nawet katastrofom. Wiele jego późnych wierszy trzeba by nazwać heroicznymi i patriotycznymi, co dziś, w czasach poprawności i oschłości wszelkiej, brzmi wyzywająco i prowokacyjnie. Jak choćby utwór „Krzyże i miecze":

Krzyże i miecze – los wybrany
I przewalczone nasze lata
I nasza krew i nasze rany,
Polski cyrograf zapisany
Na wszystkiej ziemi tego świata

Jak wyjść nad rozpacz, wszystkie rany,
Nad ziemski czas i ruch zegara
I czytać z wieków los wybrany,
Polski cyrograf niepisany,
Że śmierć nie wieczna. Wieczna wiara.

Ksiądz Jan Twardowski, witając i zarazem żegnając poetę w Alei Zasłużonych na Powązkach w Warszawie w 1978 roku, posłużył się jego słowami, tego „który się tak często modlił swoimi wierszami":

wieczny odpoczynek
racz im dać Panie
na Powązkach, na placach, na skwerach
pod ruinami domów
w zasypanych piwnicach
tam gdzie kto padł
gdzie umierał

Wróć nas do kraju, gdzie nikt Ci nie bluźni
Jeśli w bezradnej udręce się zbliża
do starych proroctw prędzej czy później
losy ojczyste porówna do krzyża

Czytam Twą wieczność, przewracam karty
mijam wygnaniec piekła i raje
światłem objęty, nocą przeżarty
wierny co łaski Twej nie doznaje

„Czy jednak poeta – kończy ks. Twardowski – który wrócił do Boga jako człowiek, powrócił do Polski tylko prochem? Jako poeta – nigdy kraju nie opuścił i nie proch, ale poezja jego z nami zostaje". ■

117/0119/F

eprasa.pl df7f188d7b

Przy okrągłym stole

TOMASZ KARPOWICZ

Mityczne już wydarzenia wokół okrągłego stołu nie pozostawiają bez emocji nikogo, kto interesuje się najnowszą historią Polski. Bo niezależnie od opinii na jego temat okrągły stół, którego formalne obrady trwały od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r., był wydarzeniem przełomowym, którego skutki odczuwamy wciąż w życiu politycznym i społecznym. Mowa tu przecież o symbolicznym końcu komunizmu w Polsce, a zarazem o początku tworzenia się nowego, w założeniach już demokratycznego, państwa polskiego.

Historyczny moment zmian musi nieść za sobą polityczny bagaż i tego dowodem jest okrągły stół w Polsce. Jan Skórzyński w swojej książce „Okrągły stół" przedstawia czytelnikowi kompleksowy zarys procesu politycznego, który doprowadził do rozmów opozycji z komunistami. Krok po kroku prowadzi nas przez poszczególne wydarzenia, decyzje władz, reakcje opozycji, które doprowadziły do tytułowego efektu finalnego. Prezentuje najważniejszych uczestników wydarzeń od połowy lat 80. aż do wyborów 4 czerwca 1989 r. Znajdujemy najważniejsze nazwiska ruchu „Solidarności" i ich adwersarzy z PZPR. Na kartach książki generałowie Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak oraz Stanisław Ciosek spotykają Lecha Wałęsę, Władysława Frasyniuka, braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich czy Jacka Kuronia z Bronisławem Geremkiem. Gościmy w stołecznej willi przy ul. Zawrat, na manifestacjach ulicznych czy w słynnej willi w Magdalence. Zasiadamy też z nimi do rozmów w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu. Autor przedstawia poszczególne etapy rozmów, wydarzenia polityczne i społeczne, które miały w tym czasie miejsce.

Czytelnik szukający w książce zdecydowanej oceny poszczególnych działań czy też kontrowersyjnych teorii dotyczących przyczyn i skutków okrągłego stołu, może się zawieść. Skórzyński przedstawia po prostu kalendarium zdarzeń politycznych od połowy lat 80. aż do samego momentu politycznego przełomu.

Mamy przed sobą książkę, która bez wątpienia może być przydatna zarówno czytelnikowi, który próbuje poukładać sobie poszczególne zdarzenia związane z sytuacją polityczną drugiej połowy lat 80., jak i temu, który pierwszy raz słyszy o opisywanych wydarzeniach. ■

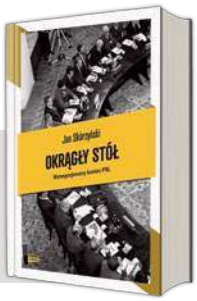

Jan Skórzyński, „Okrągły stół. Wynegocjowany koniec PRL", wyd. Znak Horyzont, 2019

REKLAMA

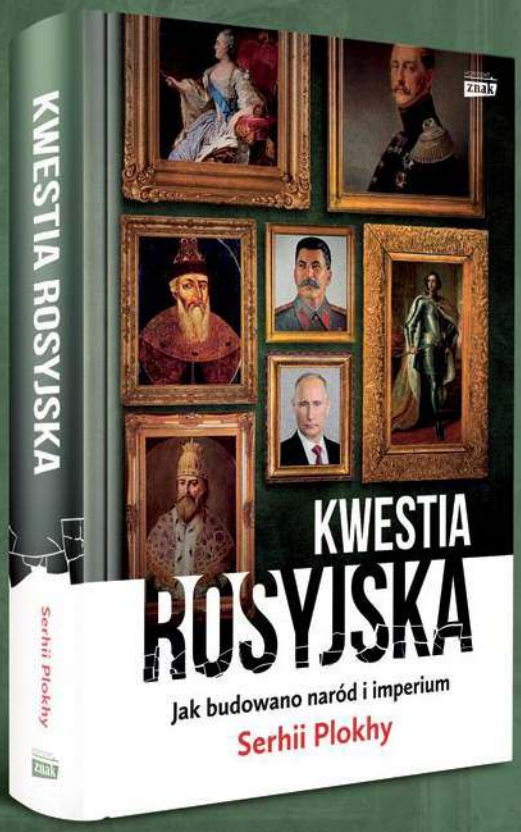

KWESTIA ROSYJSKA

Czy Rosja przeobrazi się w nowoczesne państwo narodowe?

Gdzie zaczyna się i kończy Rosja? Czy jej dzisiejsze granice polityczne pokrywają się z granicami ambicji Władimira Putina? Zagadnienie rosyjskiej tożsamości decyduje o wojnie i pokoju na wschodnich rubieżach Europy – i będzie o nich decydować jeszcze przez wiele pokoleń.

Data premiery 27 lutego

eprasa.pl df7f188d7b

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

„The Warsaw Institute Review"

Małgorzata Zawadzka, Zviad Adzinbaia, „Countering Russia's Disinformation and Propaganda in Georgia", Warszawa 2018
Andrzej Dubicki, „Lucjan Skupiewski. Biografia społeczno-polityczna", Warszawa 2018
Anna Karolina Piekarska, „Lech Kaczyński. Prezes Najwyższej Izby Kontroli w latach 1992–1995", Warszawa 2018

Wyraźnie widać, jak bardzo brakuje wpływowego ośrodka na terenie USA mogącego stanowić polski głos w sporach o politykę historyczną. Wzorem powinny być organizacje, stowarzyszenia i fundacje żydowskie, które zdobyły bardzo poważny wpływ na amerykańską politykę i historiografię. Można zaryzykować nawet stwierdzenie, że wiele instytucji w USA działa wprost w interesie narodowym tej przecież niewielkiej (pod względem procentu populacji) mniejszości. Oczywiste jest, że nie zdobędziemy tak daleko idących wpływów w amerykańskiej administracji, ale warto tworzyć ośrodki, które będą realizowały polskie interesy za oceanem. Dzięki temu będziemy mieli szansę na wprowadzenie na amerykański rynek polskiego spojrzenia na politykę i historię. Próbę takiej aktywności podjęła utworzona w 2014 r. Fundacja Warsaw Institute zajmująca się głównie geopolityką.

Najważniejszym przejawem aktywności Fundacji jest wydawany od 2017 r. kwartalnik „The Warsaw Institute Review", który trafia do (ponad 1,3 tys.) najważniejszych ośrodków badawczych, analitycznych i eksperckich na całym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem odbiorców w Stanach Zjednoczonych i w krajach wspólnoty europejskiej. Celem pisma, jak wskazuje redakcja, jest podkreślenie roli Polski jako geopolitycznego lidera w Europie Środkowo-Wschodniej – państwa prowadzącego konsekwentnie prozachodnią, proatlantycką i proeuropejską politykę. Strategiczną rolą kwartalnika jest, jak się wydaje, organiczne wzmacnianie pozytywnego wizerunku Polski na świecie.

Czasopismo „WIR" składa się ze stałych działów poświęconych różnorodnym kwestiom związanym z polską polityką i w mniejszym zakresie również działaniom na polu historycznym, choć te, sądząc z treści każdego z dotychczasowych numerów, rysują się jako istotne dla redakcji.

Na pierwszy plan wysuwa się niewątpliwie geopolityka. Ta tematyka zajmuje zwykle około połowy treści każdego wydania. Oprócz tego mamy: Eastern Europe Raport i Western Europe Report, Opinions, Economy i History. W ostatnim numerze (nr 4/2018) szeroko została omówiona działalność Grupy Wyszehradzkiej, zarówno pod kątem współczesnej polityki, jak i jej historycznej roli. Czwórka autorów: Maciej Małecki, Piotr Bajda, Joanna Antczak i Aleksandra Romanowska, przedstawiła różnorodne aspekty funkcjonowania V4, zwracając uwagę nie tylko na polityczną stronę jej działalności, ale również pokazując bliskości kulturalne i cywilizacyjne. Szczególnie interesująco prezentuje się tekst Bajdy na temat roli Grupy Wyszehradzkiej w europejskim systemie bezpieczeństwa oraz artykuł Romanowskiej o stosunku V4 do agresji Rosji na Ukrainę. W numerze znalazł się także ciekawy esej Krzysztofa Raka, który w syntetyczny sposób omówił powody niszczenia przez wpływowe lewicowe środowiska idei państwa narodowego, oraz dwa teksty historyczne: Karola Wołka o sytuacji w powojennej Polsce i oporze społecznym wobec nowej czerwonej okupacji oraz artykuł Mariusza Klereckiego o wybitnym malarzu Józefie Brandcie.

Równie ciekawie prezentuje się numer szósty pisma. Tym razem głównymi tematami są miejsce Polski w Europie Wschodniej oraz wyzwania, jakie stają przed naszym państwem w tym

eprasa.pl df7f188d7b

regionie. Warto zwrócić uwagę także na analizę Pawła Ozdoby poświęconą polityce zagranicznej Lecha Kaczyńskiego. Dalej znalazły się też trzy teksty historyczne: Julliete Bretan o wyzwaniach polskiej niepodległości na przełomie 1918 i 1919 r.; Mariusza Klereckiego o kolekcjach sztuki w Warszawie zbombardowanej przez Niemców we wrześniu 1939 r. oraz Katarzyny Utrackiej o powstaniu warszawskim i jego miejscu w polskiej pamięci historycznej. Wszystkie są ciekawe, ale najbardziej interesująco przedstawia się ostatni wspomniany artykuł.

W treści poprzednich numerów znalazły się z kolei dwie wartościowe analizy dotyczące historii Polski w czasie II wojny światowej autorstwa Bogusława Kopki i Pawła Kosińskiego. Pokazują one we właściwym świetle i w przystępny sposób zarówno walkę zbrojną Polaków, jak i kryminalny charakter okupacji niemieckiej i sowieckiej na polskich ziemiach.

Oprócz wydawania kwartalnika opublikowano nakładem Fundacji trzy książki. Pierwsza z nich to „Countering Russia's Disinformation and Propaganda in Georgia" – dwujęzyczna (w językach polskim i gruzińskim) publikacja autorstwa Małgorzaty Zawadzkiej i Zviada Adzinbaia. Poświęcono ją funkcjonowaniu rosyjskiej dezinformacji w praktyce i metodom zwalczania szkodliwych narracji medialnych w Gruzji. Druga to dwujęzyczna biografia Lucjana Skupniewskiego (po polsku i rumuńsku) przygotowana przez Andrzeja Dubickiego z Uniwersytetu Łódzkiego. Jej bohater był Polakiem aktywnie działającym w rumuńskim życiu politycznym w okresie między I a II wojną światową – na poziomie regionalnym (jako wicemer Bukaresztu) oraz centralnym (jako senator Królestwa Rumunii). Niewątpliwie warto tego typu postacie eksponować, żeby pogłębiać polską współpracę z państwami znajdującymi się między Niemcami a Rosją. Trzecia książka wydana przez Fundację to publikacja Anny Karoliny Piekarskiej omawiająca działalność Lecha Kaczyńskiego jako prezesa Najwyższej Izby Kontroli w latach 1992–1995. Wspomniana praca to kompetentne dzieło umieszczające aktywność przyszłego prezydenta RP w szerokim kontekście politycznym. Szczególnie wartościowe są rozważania na temat okoliczności wyboru Kaczyńskiego na prezesa NIK.

Podsumowując – dorobek Fundacji wygląda interesująco i ma ona szansę stać się polskim głosem w USA i Europie Zachodniej. Pozostaje mieć nadzieję, że podtrzyma wysoki poziom swojej aktywności, szczególnie w zakresie wydawania pisma „The Warsaw Institute Review". Warto by było pozyskać stałego komentatora o uznanym w USA dorobku intelektualnym, co niewątpliwie ułatwiłoby promocję pisma we wpływowych kręgach amerykańskiej polityki. To moim zdaniem kwestia kluczowa, rzutująca na przyszłość Fundacji i szanse jej zaistnienia na rynku idei.

Powstanie wielkopolskie w najnowszej historiografii

Włodzimierz Lewandowski, „Udział Wielkopolski w odbudowie Rzeczypospolitej w latach 1918–1919", Zysk i S-ka, Poznań 2018
Marek Rezler, „Powstanie Wielkopolskie 1918–1919. Po 100 latach", Wydawnictwo Rebis, Warszawa 2018

Setna rocznica powstania wielkopolskiego stała się okazją do przypomnienia dziejów jednego z niewielu polskich zrywów niepodległościowych, które zakończyły się sukcesem. W Poznaniu jej świętowanie miało huczny charakter, zorganizowano wiele seminariów i konferencji naukowych. Szczególnie aktywny był pod tym względem Instytut Pamięci Narodowej. Polska historiografia wzbogaciła się o ważne opracowania o walce Wielkopolan, by stać się częścią odbudowanej po ponad wieku zaborów Rzeczypospolitej. Wydawnictwo Zysk i S-ka opublikowało ważny skrypt autorstwa Włodzimierza Lewandowskiego (jednego z pierwszych historyków powstania), wydanego po raz pierwszy w 1939 r. To syntetyczna monografia powstania wielkopolskiego, wpisująca je w szerszy proces odbudowy Rzeczypospolitej w latach 1918–1919. Warto się z nią zapoznać ze względu na rolę autora w dokumentowaniu historii tego zrywu niepodległościowego oraz wkład, jaki wniósł w odkrycie wielu faktów z nim związanych. Bez pracy takich osób historiografia byłaby z pewnością uboższa. Dzieło Lewandowskiego warto czytać łącznie z nowym wydaniem monografii Marka Rezlera, która oddaje aktualny stan wiedzy na temat powstania wielkopolskiego. Jego opracowanie zawiera podstawowe informacje na temat: przyczyn wybuchu, przebiegu oraz miejsca powstania w polskiej polityce pamięci.

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

10/0119/F

eprasa.pl df7f188d7b

Państwowy Instytut Wydawniczy

Inne oblicze Krwawej Mary

MICHAŁ KARPOWICZ

Dzieje Anglii w XVI w. są niezwykle burzliwe. A wszystko za sprawą Henryka VIII, który dla zaspokojenia swoich zachcianek zniszczył odwieczny porządek religijny na wyspie. Powody jednak nie były stricte duchowe. Król zmieniał kolejne żony na nowe, poprzednie wyrzucając z dworu często krótsze o głowę. Nowa królowa to nowe dworskie koterie, intrygi, krwawe rozgrywki, a wokół tego rozpętana wojna religijna suto podlewana krwią politycznych przeciwników monarchy oraz prześladowaniami kleru wiernego Rzymowi.

W oku tego cyklonu, wraz z innymi dziećmi króla, wychowywała się Maria – jego najstarsza córka zrodzona z pierwszej żony, Katarzyny Aragońskiej. Początkowo rozpieszczana księżniczka, niebawem została odtrąconym bękartem. Wierna papieżowi, po odmowie złożenia przysięgi monarsze jako głowie Kościoła, mogła nawet obawiać się o życie. Przysięgi takiej żądali ojciec i młodszy brat, następca Henryka, Edward. Dzieciństwo i dorastanie zaiste trudne do pozazdroszczenia. Jednak po wczesnej śmierci Edwarda Maria jako pierwsza w historii Anglii została kobietą królem.

Nowa biografia Marii Tudor pióra Anny Whitelock jest wynikiem badań i przemyśleń prowadzących do zgoła innego obrazu bohaterki niż ten stereotypowy, utrwalony przez zideologizowaną historiografię protestancką. I oto pierworodna córka Henryka VIII jawi się nie jako krwawa i żądna odwetu monarchini, lecz jako zaradna władczyni kierująca skutecznie państwem w okresie niepokojów i kryzysów zarówno wewnętrznych, jak i w polityce zagranicznej. To ona de facto wprowadziła do dziejów brytyjskiej monarchii postać silnej królowej, mocno trzymającej ster rządów, obraz zwykle przypisywany dopiero jej przyrodniej siostrze i następczyni Elżbiecie I. To Maria właśnie „nauczyła" doradców korony służyć królowi kobiecie. I służyli z powodzeniem.

W wizerunku tym nie zabrakło także opowieści o Marii katoliczce, zwalczającej z całym przekonaniem odstępstwa od wiary, czasem okrutnie, choć to dopiero Elżbieta prześladowaniami papistów zbliży się do krwawych standardów ojca. Niemniej u Tudorów trudno czasem oddzielić prześladowania religijne od czystek politycznych zgoła...

Otrzymujemy portret Marii Tudor wyważony, wolny od mitów i zakłamań, pogłębiony i bliski prawdzie epoki. Z jednej strony konterfekt władcy, a z drugiej doświadczonej przez los kobiety, trawiącej gorycz porzucenia przez ojca, a potem męża.

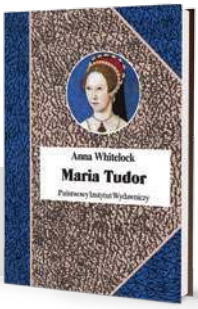

Anna Whitelock, „Maria Tudor. Pierwsza królowa Anglii", PIW 2019

Tajemnice nazwisk

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Dlaczego tak się nazywam? Skąd się wzięło moje nazwisko? Takie pytania zadają rodzicom dociekliwi potomkowie. Czasem sprawa jest bardzo prosta do wytłumaczenia, ale bywa, że się komplikuje. I właśnie wtedy pomocna może być lektura książki Henryka Martenki „Skąd się wzięło moje nazwisko? Niezwykłe historie Basi i Tomka".

Właśnie spędzają oni wakacje w mieście i wydaje się, że nie spotka ich nic ciekawego tego lata. Remont domu nie pozwolił na wyjazd do Chorwacji, więc chłopiec nie ma zbyt wielkich nadziei na pełne przygód letnie dni. Tymczasem w odwiedziny przyjeżdża dziadek. Spędza on wiele godzin z książkami i niekoniecznie wydaje się dobrym towarzyszem dla pełnego energii chłopca i jego przyjaciół.

Jedna rozmowa wszystko zmienia – dziadek Antoni podczas wspólnego posiłku zaczyna tłumaczyć chłopcu, skąd pochodzi jego nazwisko. Zaskoczony wielością i różnorodnością informacji Tomek zaczyna dociekać, jaki jest źródłosłów nazwisk kolegów i koleżanek z klasy, bliższych i dalszych znajomych... Do zabawy wciąga przyjaciół i wspólnie podczas spacerów czy grilla w ogrodzie starają się rozwiązywać zagadki związane z historią nazwisk. Stopniowo wtajemniczani przez dziadka w kolejne zakresy wiedzy, czują się jak prawdziwi detektywi, którzy dzięki dedukcji i szukaniu śladów znajdują klucz do tego, by poznać prawdę o pochodzeniu kolejnych nazwisk.

W taki sposób pasja dziadka: etymologia nazwisk, stała się wspólną zabawą trzech pokoleń, bo angażują się w nią także rodzice Tomka. Starszy pan odkrywa przed wnukiem kolejne tajemnice, przekazuje zasady tworzenia polskich nazwisk, przemycając przy okazji sporą dawkę wiedzy. Młodzi bohaterowie poznają m.in. trudne słowa, archaizmy, nieistniejące zawody, a także historię Polski.

Wiedza, którą główni bohaterowie zdobyli podczas rozmów z dziadkiem, nieoczekiwanie przydaje się w zupełnie innej sytuacji. Jakiej? Zachęcam do lektury, by poznać odpowiedź na to pytanie. A także do tego, by była ona pretekstem do rodzinnych rozmów, poszukiwań i do znalezienia odpowiedzi na pytanie: skąd się wzięło moje nazwisko?

Henryk Martenka, „Skąd się wzięło moje nazwisko?", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa, 2016, wiek 8+

eprasa.pl df7f188d7b

12. EDYCJA PLEBISCYTU Wydarzenie Historyczne Roku 2018

Muzeum Historii Polski we współpracy z portalem historia.org.pl po raz 12. ogłosiły plebiscyt Wydarzenie Historyczne Roku, którego celem jest uhonorowanie organizatorów, twórców oraz inicjatorów najciekawszych przedsięwzięć historycznych w minionym roku. To pierwszy taki plebiscyt w kraju, którego laureatów wyłaniają jurorzy oraz internauci. Zgłoszenia są przyjmowane do 31 marca 2019 r.

Trwa pierwszy etap, w którym osoby prywatne, instytucje, organizacje, ośrodki kultury zgłaszają projekty w trzech kategoriach:

- **WYDARZENIE** – tj. festiwal, impreza plenerowa, konferencje i sympozja, komplet wydarzeń (książka, wystawa, strona WWW, tablice), rekonstrukcje historyczne, wykopaliska archeologiczne, spektakle, akcje społeczne etc.,
- **WYSTAWA** – tj. nowa wystawa stała lub czasowa, e-wystawa, otwarcie muzeum etc.,
- **EDUKACJA I MULTIMEDIA** – tj. projekty edukacyjne (takie jak warsztaty, lekcje, gry edukacyjne), publikacje, komiks, e-wydarzenia/multimedia (film, audiobook), strona WWW, aplikacje mobilne i inne.

Aby zgłosić wydarzenie, należy wejść na stronę Plebiscytu www.whr.muzhp.pl, zapoznać się z Regulaminem i wejść w zakładkę „Zgłoś projekt”. Każdy zgłaszający ma prawo zgłosić maksymalnie po jednym projekcie w każdej kategorii.

W drugim etapie spośród wszystkich zgłoszeń jurorzy wybierają finałową piętnastkę, która zostaje umieszczona na stronie internetowej plebiscytu i poprzez nią internauci wskazują swoje typy.

Jak co roku plebiscyt zakończy uroczysta gala w Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie, gdzie nastąpi ogłoszenie wyników. Podczas gali najpierw prezentowane będą krótkie filmy o każdym finałowym projekcie, a następnie ujawnione zostaną rezultaty głosowania i zwycięzcy we wspomnianych wcześniej kategoriach, a przedstawiciele organizatorów wręczą

im efektowne rzeźby-statuetki projektu krakowskiego artysty Macieja Zychowicza. Pozostała dwunastka otrzyma dyplomy i nagrody książkowe.

Plebiscyt cieszy się prestiżem i zainteresowaniem mediów. W poprzednich latach było coraz więcej zgłoszeń z ośrodków polonijnych, m.in. z Austrii, Belgii, Białorusi, Czech, Francji, Grecji, Holandii, Irlandii, Kanady, Litwy, Łotwy, ze Stanów Zjednoczonych, Szwecji, z Ukrainy, Węgier i Wielkiej Brytanii. Plebiscyt angażuje wiele środowisk lokalnych, które chcą wypromować organizowane przez siebie przedsięwzięcia. Z roku na rok wzrasta liczba zgłaszanych projektów, które rywalizują o miano tego najważniejszego. Od początku istnienia plebiscytu zgłoszono ponad tysiąc przedsięwzięć, a w głosowaniu wzięło udział łącznie blisko 50 tys. internautów.

Prezentacja laureatów z poprzedniej edycji dostępna na kanale YouTube: **https://youtu.be/YqaGAoSosmo**

Harmonogram:

1–31 marca 2019
zgłaszanie projektów (I etap)

do 11 kwietnia 2019
jury wybierze po pięć projektów w każdej z kategorii

15 kwietnia–15 maja 2019
głosowanie internetowe na wybrane projekty (II etap)

czerwiec 2019
oficjalne ogłoszenie wyników podczas uroczystej gali finałowej Plebiscytu (Pałac Rzeczypospolitej)

Plebiscyt został objęty Honorowym Patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Organizator:
Muzeum Historii Polski w Warszawie (www.whr.muzhp.pl)

Partnerzy:
historia.org.pl, Biblioteka Narodowa

Patroni medialni:
Polskie Radio, Polska Agencja Prasowa, dzieje.pl, Telewizja Polska, TVP Kultura, „Sieci”, „wSieci Historii”

eprasa.pl df7f188d7b

CHART ROSYJSKI

MAGDALENA SZCZEPANIAK

NIE BYŁO W ROSJI BARDZIEJ LUKSUSOWEGO I SZLACHECKIEGO PSA NIŻ BORZOJ

Borzoj, czyli chart rosyjski, to jeden z najwyższych psów o długim, falującym włosiu, kanciastej sylwetce, stworzony do prędkości i polowań. Długo podejrzewano, że przodkowie chartów przybywali na Ruś z Bizancjum na przełomie IX i X w. i później z mongolskimi najeźdźcami. Ostatnie badania archeologiczne udowodniły jednak, że pierwotnie chart pojawił się i rozwijał na terenach teraźniejszego Kirgistanu, Kazachstanu i Afganistanu. Borzoja wyhodowano w Rosji ze skrzyżowania dawnego charta rosyjskiego z chartami krymskimi i górskimi. W starorosyjskim jego nazwa wzięła się od słowa „szybki". Zaledwie kilka wieków temu centralne równiny obecnej Rosji porastały lasy i charty nie miały dość przestrzeni do biegania oraz rozwijania potężnej prędkości, do jakiej zostały stworzone. Nie były także potrzebne ze względu na specyfikę średniowiecznych polowań, kiedy zwierzęta ścigali myśliwi na koniach, a psy tylko im towarzyszyły.

Polowania z borzojami rozpoczęły się na Rusi w XV w. i od samego początku były drogą przyjemnością, dostępną dla najbogatszych. Wtedy też, w wyniku połączenia się z lokalnymi psami, ukształtował się rosyjski borzoj. Rasa rozpowszechniła się w XVIII–XIX w., kiedy polowania były dla ziemiaństwa jedną z najbardziej atrakcyjnych, elitarnych rozrywek. Niektórzy trzymali nie tuziny, ale setki psów przeznaczonych do polowań. Hodowcy selekcjonowali borzoje, rozmnażali tylko najszybsze i najbardziej inteligentne. Dla arystokracji polowania były rytuałem. Trwały na stepie przez wiele dni. Najliczniej ginęły zające i inne niewielkie zwierzęta, ale myśliwi szczególnie posmakowali wykorzystywanie borzojów do polowań na wilki. Myśliwy spuszczał dwa lub trzy psy, które ścigały wilka, atakowały jego kark z dwóch stron i trzymały, dopóki nie przybył człowiek. Klasycznie myśliwy zabijał wilka nożem. W XIX-wiecznej Rosji nie można było posiadać borzoja, chyba że podarował go komuś sam car.

Wielki książę Mikołaj Romanow, trzeci syn cara Mikołaja I, był zapalonym myśliwym. W swojej posiadłości miał 160 borzojów, które traktował z wielką troską. Jego hodowla była bardzo ceniona w zachodnim świecie. W 1889 r. książę ustalił standard rasy.

Trend ekstrawaganckich polowań niespodziewanie odwróciło wprowadzenie reformy uwłaszczeniowej cara Aleksandra II w 1861 r. Na jej mocy 22 mln rosyjskich chłopów zyskały wolność osobistą: nie mogli być przedmiotem transakcji kupna i sprzedaży, zastawu i darowizny. Właściciele ziemscy stracili prawo do ich dowolnego przesiedlania i karania. Chłopi z kolei zyskali wiele praw. Jednym ze skutków uwłaszczenia było drastyczne zmniejszenie liczby polowań, ponieważ bez darmowej pracy na rzecz szlachty ta nie mogła sobie pozwolić na tę drogą rozrywkę. Gatunek borzoja został zagrożony wyginięciem.

Kolejny dramat spotkał te psy w czasie rewolucji październikowej w 1917 r., kiedy zginęły prawie wszystkie borzoje należące do arystokracji. Rasa przetrwała dzięki temu, że część osobników była hodowana w bogatych domach mieszczańskich Europy Zachodniej i Stanów.

Kiedy II wojna światowa dobiegła końca, sowiecki żołnierz Konstanty Esmont dostał zadanie odwiedzania rolniczych gospodarstw i wybierania koni dla armii. Dużo podróżował po stepach południowej Rosji i widział wiele miejscowych chartów. Był zaniepokojony tym, że rasa dziczeje, bo nikt nie interesował się jej kontrolą i hodowlą. Przekonał rząd, że borzoje są cennym nabytkiem dla myśliwych,
a ich rola w rozwijaniu przemysłu futrzarskiego jest nie do przecenienia. Udało mu się doprowadzić do uregulowania hodowli. W czasach Związku Sowieckiego eksportowanie borzojów zdarzało się niezwykle rzadko.

Borzoje mają swoje miejsce w literaturze. Lew Tołstoj w „Wojnie i pokoju" opisał scenę polowania na wilki z chartami. F. Scott Fitzgerald w powieści „Piękni i przeklęci" ustami Glorii porównuje Anthony'ego do borzoja jako symbolu arystokratycznej klasy. Rasa ta była także chętnie wykorzystywana w sztuce art déco. Borzoj – przyznają państwo – to brzmi dumnie.

FOT. SHUTTERSTOCK (2X)

eprasa.pl df7f188d7b

WŁOSKIE DOWÓDZTWO NIE WYKORZYSTAŁO POTENCJAŁU UDANYCH OKRĘTÓW TYPU VITTORIO VENETO

PANCERNIKI TYPU VITTORIO VENETO, CZYLI WŁOCH TEŻ POTRAFI

KACPER GROCHOCKI

Stojące po zwycięskiej stronie w I wojnie światowej mocarstwa kilka lat po zakończeniu konfliktu, w 1922 r., podpisały traktat ograniczający nadmierną rozbudowę marynarek wojennych. Restrykcje objęły głównie kwestię liczby i wyporności posiadanych i planowanych jednostek typów uważanych za wyznacznik siły danej floty, czyli pancerników, krążowników liniowych oraz lotniskowców. Traktat waszyngtoński – taką bowiem otrzymał on nazwę – miał ograniczyć wyścig zbrojeń i potencjalną eskalację nowego konfliktu. Sygnowany był przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Japonię, Francję i Włochy. Przez blisko 10 lat w mniejszym lub większym stopniu ustalone restrykcje wpływały na rozwój sił morskich największych mocarstw. Impuls do świadomego obchodzenia obostrzeń przyszedł spoza państw zwycięskich Wielkiej Wojny.

W 1931 r. Niemcy zwodowali pierwszy tzw. pancernik kieszonkowy typu Deutschland. Francja w odpowiedzi rozpoczęła budowę nowego pancernika typu Dunkerque, co z kolei zmobilizowało Włochów do prac projektowych nad własnymi okrętami liniowymi. Początkowo planowali oni trzy nowe jednostki, by ostatecznie zdecydować się na budowę dwóch, lecz w zamian silniejszych, okrętów.

Stępki pod nowe pancerniki położono w październiku 1934 r. – w Trieście pod Vittorio Veneto, a w Genui pod Littorio. Oba ostatecznie przekraczały przyznany traktatowy limit 35 tys. ton wyporności standardowej (tj. z załogą, amunicją i żywnością, ale bez paliwa i zapasowej wody do kotłów) o ok. 6 tys. ton. W 1938 r., już po wygaśnięciu ograniczeń, rozpoczęto budowę dwóch kolejnych jednostek tego typu o nazwach Roma i Impero. Ten ostatni pancernik nie został ukończony.

Vittorio Veneto został zwodowany w lipcu 1937 r. Przez blisko trzy lata okręt był wyposażany i uzbrajany, by w kwietniu 1940 r. wejść do służby. Miesiąc później również Littorio pojawił się na etacie Królewskiej Marynarki Wojennej, czyli Regia Marina.

Uzbrojenie główne włoskich pancerników stanowiło dziewięć dział kal. 381 mm rozmieszczonych w trzech trójlufowych wieżach (dwie w części dziobowej, jedna na rufie). Uzbrojenie średniego kalibru stanowiło 12 dział kal. 152 mm, które nie były jednak przystosowane do zwalczania samolotów wroga. Do tego celu przeznaczonych było 12 dział kal. 90 mm oraz po 20 działek kal. 37 mm i 20 mm. Pancerz osiągał maksymalną grubość do 350 mm. Ochronę podwodnej części kadłuba miał zapewniać system projektu gen. Umberto Pugliese, działający na zasadzie wewnętrznego, wzdłużnego „bąbla" przeciwtorpedowego, który miał pochłaniać energię uderzenia i nie pozwalać na przerwanie poszycia okrętu. W praktyce rozwiązanie okazało się mało skuteczne. Vittorio Veneto osiągał prędkość 31 węzłów (ok. 57 km/h), a załoga okrętu liczyła ok. 1850 osób. Wyporność standardowa wynosiła niespełna 42 tys. ton.

Littorio i Vittorio Veneto brały aktywny udział w działaniach wojennych aż do kapitulacji Włoch. Nie odniosły specjalnych sukcesów, same jednocześnie kilkukrotnie doznały istotnych uszkodzeń. Trzeci pancernik, Roma, wszedł do służby w czerwcu 1942 r.; nie walczył z wrogą flotą, wielokrotnie stał się celem nieprzyjacielskiego lotnictwa.

Po wycofaniu się Włoch we wrześniu 1943 r. z wojny po stronie III Rzeszy, nazwę Littorio zmieniono na Italia, a cały zespół pancerników wraz z kilkunastoma mniejszymi jednostkami miał się skierować na Maltę i poddać aliantom. Konwój po drodze został zaatakowany przez niemieckie lotnictwo, które użyło w nalocie specjalnych, kierowanych radiowo bomb SD 1400X. Roma otrzymała dwa bezpośrednie trafienia. Okręt zatonął, a wraz z nim zginęło ok. 1,3 tys. członków załogi, w tym admirał Carlo Bergamini.

Pancerniki typu Vittorio Veneto były okrętami o porównywalnej klasie do podobnych jednostek niemieckich, brytyjskich czy francuskich. Zawiodło ich wykorzystanie, szczególnie w początkowym okresie wojny, kiedy Włosi dysponowali przewagą na Morzu Śródziemnym. Nie było to winą okrętów, ale dowództwa i wywiadu Regia Marina.

FOT. NAVAL HISTORY AND HERITAGE COMMAND

eprasa.pl df7f188d7b

SZKOŁY MATKI DAROWSKIEJ

Bł. Matka Marcelina Darowska

MARCELINA KOTOWICZÓWNA UKOŃCZYŁA ELITARNĄ I KOSMOPOLITYCZNĄ PENSJĘ MADAME SCHEDOUEVER W ODESSIE, KTÓRY TO ZAKŁAD NAUKOWY Z ZAŁOŻENIA WYPUSZCZAŁ WZOROWE MAŁŻONKI I POSŁUSZNE OBYWATELKI IMPERIUM

JOANNA PUCHALSKA

Za mąż wcale wychodzić nie chciała, a i z posłuszeństwem było u niej nietęgo. Podczas corocznych wizyt egzarchy prawosławnego nie całowała jego dłoni, uważając, że byłoby to obłudne. U jednej z najzdolniejszych uczennic w szkole ciało pedagogiczne postanowiło to tolerować. Już w Odessie czuła powołanie zakonne, ale że spowiednik zalecił jej podporządkowanie się woli rodziców, przez kilka lat po powrocie do domu pomagała ojcu prowadzić majątek, a w 1849 r., gdy miała 22 lata, poślubiła Karola Weryhę-Darowskiego. Urodziła mu dwoje dzieci, Józefa i Karolinę. Była dobrą żoną, matką i panią majątku, męża kochała uczuciem „szczerym i świętym".

Dziwne drogi powołania

W 1852 r. Darowski zmarł na tyfus, wkrótce potem dyfteryt zabrał Marcelinie synka i wtedy znów zaczęła myśleć o klasztorze. W Paryżu, dokąd pojechała w odwiedziny do siostry i szwagra, poznała sławnego ks. Aleksandra Jełowickiego, który był przełożonym zakonu zmartwychwstańców, i odbyła u niego spowiedź generalną. „Pan Bóg przywiódł młodą wdowę, spłakaną po młodym mężu. I nie utuliła się w żalu swoim, aż się poślubiła Chrystusowi Panu" – napisze później ks. Jełowicki. Nakłonił ją do wyjazdu do Rzymu, gdzie spotkała się z założycielem zmartwychwstańców, niemniej słynnym ks. Hieronimem Kajsiewiczem. Spowiednik Norwida i Krasińskiego właśnie się przymierzał, by wspólnie z Józefą Karską założyć żeński zakon, który zostałby skierowany do pracy na ziemiach polskich. W Rzymie 27-letnia Marcelina Darowska pierwszy raz doświadczyła mistycznego kontaktu z Bogiem i 12 maja 1854 r., pomimo wątpliwości i przeszkód, złożyła przed ks. Kajsiewiczem prywatne śluby pokory i posłuszeństwa.

Ze względu na sprawy spadkowe i obowiązki wobec córki musiała na razie wrócić do kraju, gdzie czekała ją sądowa walka z braćmi zmarłego męża o prawo własności do majątku Żerdzie, który miał być zabezpieczeniem dla Karoliny. Załatwiwszy co trzeba, wróciła do Rzymu, tym razem z córką. W grudniu 1857 r. zgromadzenie otrzymało z Watykanu pozwolenie na wspólne życie oraz zatwierdzenie nazwy: Siostry Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

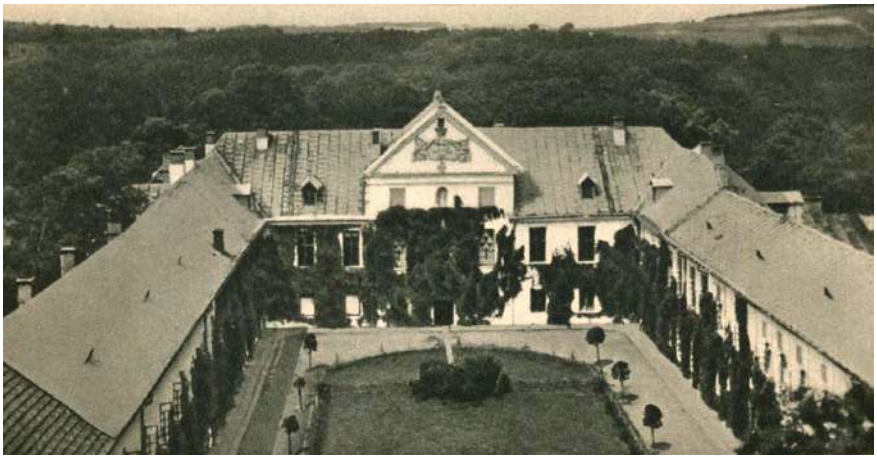

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

Klasztor ss. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Jazłowcu

Trudne wybory

Wkrótce Marcelina Darowska znów została wezwana do kraju w sprawach majątkowych. Rodzice usiłowali ją zatrzymać na stałe, zarzucali jej „mrzonki zakonne" oraz zaniedbywanie córki. Była w rozterce, gdy ojciec wymusił na niej przyrzeczenie, że nie pojedzie więcej do Rzymu,

eprasa.pl df7f188d7b

a jednocześnie ks. Kajsiewicz zarzucał jej zbytnią uległość rodzinie i niespełnienie ślubów posłuszeństwa.

Wiosną 1859 r. sfinalizowała kwestie majątkowe i do Rzymu jednak pojechała – ojciec na łożu śmierci nazwie ją wyrodną córką. Złożyła wieczyste śluby zakonne, a po śmierci Józefy Karskiej objęła funkcję przełożonej. Wspólnota znajdowała się wtedy w trudnym położeniu materialnym i Matka Darowska uratowała sytuację za pomocą swoich prywatnych środków.

Zakon z założenia miał się zajmować młodzieżą żeńską na dawnych ziemiach polskich i jesienią 1861 r. Marcelina Darowska przyjechała na Podole, by znaleźć miejsce na pierwszą siedzibę. Wybrała Jazłowiec, na co zgody udzielił arcybiskup lwowskiego obrządku łacińskiego Franciszek Wierzchlejski. W 1862 r. umieściła córkę Karolinę w szkole sióstr Sacré Coeur w Poznaniu i odtąd poświęciła się całkowicie temu, do czego od dawna czuła powołanie. Na dom zakonny i szkołę poszły środki uzyskane ze sprzedaży dóbr odziedziczonych po śmierci rodziców. Nim transakcja, opóźniona z powodu wybuchu powstania styczniowego, doszła do skutku, Matka Marcelina założyła pożyczone pieniądze i część posagu córki.

Główne założenia

Zakon był „demokratyczny". Matka Darowska uważała, że należy przyjmować kandydatki z wszystkich stanów społecznych. Do projektu otwarcia szkoły środowisko galicyjskie odnosiło się z początku nieufnie, a władze austriackie wręcz rzucały kłody pod nogi. Mimo to udało się i w Jazłowcu powstała elitarna szkoła dla dziewcząt z internatem oraz szkoła elementarna dla miejscowych, przeważnie wiejskich dzieci, narodowości zarówno polskiej, jak i rusińskiej. Edukację dzieci chłopskich Matka Darowska uważała za potrzebną dla zbliżenia się stanów. Kształcenie dziewcząt z rodzin szlacheckich i ziemiańskich było jej zdaniem konieczne dla przyszłego odrodzenia kraju.

Kobiecość jest ważna

To kobiety w odradzającym się po powstaniu styczniowym społeczeństwie miały pielęgnować i przekazywać młodemu pokoleniu poczucie tożsamości: „W wychowaniu naszym uszanować mamy narodowość". Sakrament małżeństwa, obowiązki wynikające z odpowiedzialności za drugą osobę oraz wychowanie dzieci są społecznie ważne, przy czym dziewczęta powinny mieć zapewnione edukacyjne równouprawnienie z chłopcami. Szkoła miała uczyć samodzielnego myślenia i przygotowywać do życia obywatelskiego. Patriotyzm Matka Darowska widziała bardziej w organizowaniu się i budowaniu własnych struktur niż w powstańczych zrywach.

Praktyczna pedagogika Matki Marceliny

Program nauczania był nowatorski, zakładał indywidualne podejście do każdej uczennicy, umiejętne stymulowanie rozwoju i traktowanie adekwatne do możliwości. „Dawajcie, ile możecie, bierzcie, ile musicie" – zalecała swoim nauczycielkom. Przeciwna była przeciążaniu uczennic nauką pamięciową, stawiała na kreatywność. „Nauczcie, jak mieć ideę, myśl przewodnią w życiu, w każdej pracy, w czynie".

Siostry opracowywały własne podręczniki i skrypty, a matka Marcelina osobiście dokształcała te nauczycielki, którym brakowało doświadczenia pedagogicznego. Stawiała na dobrą atmosferę wychowawczą i pracę na wzmocnieniu dodatnim. Postępy w nauce były nagradzane (przeważnie książkami), a niestosowne zachowanie nigdy nie było karane publicznie – aby nie upokarzać winowajczyni – i skutkowało jedynie „dalszym i mniejszym serdecznym stosunkiem". Wydalenie z zakładu stanowiło ostateczność.

Przedmiotów siostry oferowały sporo: polski, francuski, niemiecki, historię, geografię, nauki przyrodnicze, arytmetykę, estetykę i sztuki piękne, śpiew, muzykę, rysunek, malarstwo, taniec i kaligrafię. Były też przedstawienia teatralne, deklamacja, roboty ręczne i gospodarcze. Szkoła niepokalanek nie miała być oderwana od świata, ale do niego przygotowywać, a program nauczania z założenia był modyfikowany wraz z postępem wiedzy.

Nie tylko w szkolnej klasie

Matka przełożona utrzymywała listowne kontakty z uczennicami, wspierała mądrą radą, udzielała życiowych wskazówek. Także siostry miały z nią stały korespondencyjny kontakt w kwestiach duchowych i tych dotyczących pracy dydaktycznej. Właściwie mógł do niej napisać każdy, kto miał taką potrzebę. Wydaje się to niemożliwe, by jedna osoba nad tak wieloma sprawami potrafiła zapanować i tak wiele osobistych relacji podtrzymywać. „On daje mi życie i siły wbrew zwykłemu prawu natury" – mówiła Matka Darowska.

Przez cały ten czas doświadczała przeżyć duchowych, zapoczątkowanych w Rzymie, i otrzymała szereg objawień dotyczących działania wspólnoty. Pozostawiła po sobie wiele pism teologiczno-mistycznych. I całe archiwum listów.

Idźcie na cały świat

Zgromadzenie się rozwijało, przybywały nowe siostry, do szkoły jazłowieckiej zgłaszało się coraz więcej chętnych i w latach 70. XIX w. należało pomyśleć o kolejnej placówce. Druga szkoła powstała w Jarosławiu, trzecia – w Niżniowie, niedaleko Jazłowca, a czwarta w Nowym Sączu.

Następnie przyszła kolej na poszerzenie działalności zakonnej na zabór rosyjski, najtrudniejszy z powodu restrykcyjnej polityki, i powstały placówki w Słonimie i Szymanowie. Matka Marcelina myślała nawet o zakładaniu szkół w innych krajach. Zawsze miała to być szkoła narodowa. „Będziemy wychowywać w duchu i charakterze ich narodowości".

Po owocach ich poznacie

Matka Darowska przyjmowała kandydatki do zakonu, nie oglądając się na ich posag, toteż w pierwszych latach zgromadzenie borykało się z problemami finansowymi, tym bardziej że w szkołach pobierano opłaty wyłącznie za naukę, bez dodatków na utrzymanie klasztoru. Później było lepiej dzięki funduszom wnoszonym przez zakonnice pochodzące z zamożnych rodzin. Przełożona radziła sobie ze wszystkimi trudnościami, zachowując radość życia i pogodę ducha. Przeszkody pokonywała, jak sama mówiła, dzięki bezgranicznemu zaufaniu. „Bóg jest i to mi wystarczy".

Zmarła 5 stycznia 1911 r. w wieku 84 lat. Po jej śmierci powstały kolejne szkoły: w Wirowie, Maciejowie, Dębowej Łące, Warszawie, Ilii, Głębokiem, Wiszniewie, Wołożynie i Hołobach. Dziś w Polsce siostry niepokalanki prowadzą kilkanaście placówek oświatowych – szkół podstawowych, średnich i przedszkoli.

W 1996 r. Matka Marcelina Darowska została beatyfikowana.

eprasa.pl df7f188d7b

PO PROSTU CZEKOLADA

KWIECIEŃ JEST MIESIĄCEM, W KTÓRYM BĘDZIEMY ŚWIĘTOWAĆ ZMARTWYCHWSTANIE PANA JEZUSA. JAK ZAWSZE ŚWIĘTO TO POPRZEDZA OKRES POSTNY, A CZĘSTO WTEDY OBIEKTEM NASZYCH WESTCHNIEŃ BYWA CZEKOLADA

KRZYSZTOF ŻARYN

Czterdzieści dni ascetycznego życia ma nas przygotować na spotkanie z Bogiem, upamiętnić post Chrystusa na pustyni oraz nawiązywać symbolicznie do czterdziestu lat wędrówki Izraelitów po ucieczce z niewoli egipskiej. W tym czasie wielu z nas decyduje się na poważne postanowienia. Jedni chcą wdrożyć więcej ruchu, inni za cel postawią sobie wstrzemięźliwość od alkoholu, jeszcze inni postanowią czytać więcej książek i więcej się uczyć. Jednak myślę, że najczęstszym postanowieniem jest chęć ograniczenia rozpusty związanej z jedzeniem. Jezus pościł długo kuszony przez diabła, więc i my postanawiamy się ograniczać w jedzeniu. Podstawą tej zmiany na dobre jest zmniejszenie spożycia słodyczy. Najbardziej kuszącym z nich jest czekolada, i to ona sprawia największe problemy. Jak człowiek odkrył jej obezwładniający smak? Gdzie szukać początku przygody ludzkości z tą ciemną pokusą? I w końcu – w jaki sposób przetwórstwo czekolady okazało się wspaniałym biznesem dla jednej z polskich rodzin?

Pochodzenie

Historię czekolady musimy łączyć z dziejami kakao, ponieważ to z niego wytwarza się ten przysmak. Z odkryciem przydatności tego surowca wiąże się pewna legenda. Na terenach obecnego Meksyku, około 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa żyli Olmekowie, jedno z najstarszych plemion indiańskich. To im właśnie bóg Queatzalcoatl (Upierzony Wąż) podarował drzewo kakaowca, by mogli wytwarzać z niego gęsty, gorzki napój. Raczyli się nim tylko arystokracja plemienna i zasłużeni wojownicy. Sposób oraz ceremonię przyrządzania wywaru przejęli od Olmeków Majowie. Traktowali ten napar jak napój bogów. Wytwarzali rozmaite mikstury, które nosiły nazwę xocolatl, czyli gorzka woda. W ich skład wchodziły ucierane i rozrabiane potem w wodzie ziarna kakaowca, papryczki chili i kukurydzy.

Śmietana z czekulatą. Na przystawkę

Dwie tabliczki utrzyj czekulaty, wsyp w rondel i pół ćwierci cukru, wlej kwartę mleka, pół kwaterek śmietany, zagotuj, wysadź trzy części, wpół ostudziwszy, wbij pięć żółtków, przecedź przez sito, dogotuj w bani szklanej"

W. Wielądek, „Kucharz doskonały", 1783

Cenna gorycz

Ziarna, z których wytwarzano napój godny boskiego podniebienia, stały się obiektem zainteresowania kupców, a wkrótce potem walutą przetargową. Przed XVI w. w Ameryce Środkowej za kilkadziesiąt ziaren kakaowca można było kupić królika, a za ponad sto niewolnika. Pokazuje to, że kakao było mocną walutą, a także rodzi smutną konstatację, że człowiek zniewolony był wart niewiele więcej niż zwierzę. Napar okazał się tak cenny, że używano go niemal wyłącznie do obrzędów ceremonialnych. Niezwykły „prestiż" tych ziarenek w Ameryce Środkowej nie powtórzył się w Europie, choć na Starym Kontynencie kakao cieszyło się także dużym zainteresowaniem.

Za odkrywcę surowca do wyrobu czekolady uznaje się hiszpańskiego konkwistadora – Hernana Cortesa. Jego czyny szeroko opisywane były w dziełach Bernala Diaza del Castillo. Wsławił się przede wszystkim podbiciem Meksyku, zakorze-

eprasa.pl df7f188d7b

niając tam głęboko wpływy hiszpańskie. Jego podboje spowodowały dużą wymienność towarów między starym kontynentem a nowo odkrytym lądem. Legenda głosi, że smak wywaru z ziaren kakaowca Cortes poznał już pierwszego dnia po przybiciu do brzegu Ameryki. Tam przywitano ich napojem, który szybko wszystkim przypadł do gustu. Według listów, które konkwistador miał wysyłać do swoich namiestników, najbardziej zadziwiać miał efekt pobudzający naparu. Ponoć jeden kubek dawał żołnierzowi niespotykaną energię na cały dzień.

Rozkosz dla wybranych

Do tego czasu napar z ziaren kakaowca był napojem gorzkim. Sam smak naturalnego ziarna ma bardzo gorzki smak, co potwierdzić może wysokoprocentowa czekolada. Dopiero Europejczycy, po zapoznaniu się z walorami sprowadzonego zza oceanu surowca, postanowili nadać mu więcej słodyczy. W Hiszpanii zaczęto wzbogacać napar cukrem oraz miodem. Taka forma znacznie łagodziła jego cierpki smak. Wraz z rozwojem handlu i popularyzacją wypraw zwiększyła się również dostępność ziaren kakaowca. Jednak z początku smaku rośliny przywiezionej z Ameryki Środkowej mogli uświadczyć jedynie arystokraci i bywalcy dworów królewskich. Wiek XVI był czasem eksperymentowania, a na dworach przyrządzano różne wariacje. Tam też zaczęto wytwarzać pierwsze masy przypominające dzisiejszą czekoladę. Ich przygotowanie było z początku bardzo mozolną, ręczną pracą. Dlatego wyroby te były bardzo drogie. Mogli sobie na nie pozwolić jedyne najbardziej zamożni. Pierwszy sklep z czekoladą otwarto już w 1657 r. w Londynie, jednak popularyzacja tego smakołyku przypada dopiero na następne stulecie. Zastosowanie maszyn znacznie ułatwiło i obniżyło koszty wyrobu czekolady. Również w Polsce można było zauważyć tego rezultaty.

Polska słodycz

Środkowa Europa na popularyzację słodkiego przysmaku czekała aż do przełomu XVIII i XIX w. Rozpowszechnienie czekolady w Polsce zawdzięczamy naszym zachodnim sąsiadom. To z terenów dzisiejszych Niemiec przybywali do nas specjaliści wykształceni w dziedzinie wytwarzania tego deseru. Jednym z nich

był urodzony w 1813 r. w Ihlenfeld Karol Wedel. Przyjechał on do Warszawy w 1845 r. na zaproszenie kolegi po fachu – cukiernika Karola Grohnerta. Po sześciu latach współpracy postanowił się usamodzielnić i otworzył cukiernię na rogu ulic Miodowej i Kapitulnej. Cukiernia ta jako pierwsza wsławiła się użytkowaniem pieca ogrzewanego parą, dzięki któremu w ofercie były różne wyroby biszkoptowo-czekoladowe. Na początku w zakładzie oprócz maszyn gastronomicznych pracował również warsztat rzemieślniczy, co mogło zniechęcać potencjalnych nabywców. Wedel był jednak osobą wyjątkowo obrotną i dzięki nowatorskim pomysłom udało mu się wypromować swoje produkty na dużą skalę. Jednym ze sposobów były kolorowe reklamy na łamach „Kuriera Warszawskiego" takich produktów jak karmelki, syropy czy pastylki miętowe.

Cukiernia od początkowych lat prężnie się rozwijała. Najpierw do pracy sprowadzano wykształconych cukierników z Niemiec, szybko jednak rodzina się spolonizowała i wychowała miejscowych fachowców. Od początku pracy Karola Wedla oraz znamienitych zachodnich kucharzy przyglądał się syn właściciela – Emil. Pobierał on również wiele nauk oraz praktyk m.in. w paryskich cukierniach. Wszystko po to, by w 1872 r. objąć kierownictwo nad prężnie działającym biznesem. To właśnie za jego „panowania" odnotowano największy rozkwit cukierniczego przedsiębiorstwa na terenie Polski. Rozwój ten musiał być poparty nowymi rozwiązaniami technologicznymi. Nowy właściciel zmienił również siedzibę firmy i przeniósł cukiernię na ul. Szpitalną, gdzie do dziś mieści się pijalnia czekolady. Wraz z dużym popytem na towary produkowane przez Emila Wedla zaczęły się pojawiać liczne próby podrabiania tych wyrobów. W związku z tym właściciel wpadł na pomysł, by każdy wyrób czekoladowy podpisywać własnoręcznie charakterystycznym zamaszystym podpisem E.Wedel, którego pierwowzór jest dziś emblematem marki. Dalsza historia przedsiębiorstwa cukierniczego marki Wedel nie była usłana różami. Największe straty właściciel firmy poniósł w trakcie II wojny światowej. Jan Wedel – ówczesny prezes spółki – wykazał się jednak wspaniałym patriotycznym zachowaniem i bohaterstwem, wspierając w czasie niemieckiej okupacji podziemie oraz najbiedniejszych obywateli ciepłymi posiłkami w stołówce starej fabryki.

Po wojnie w wyniku upaństwowienia zakładów przemysłowych rodzina Wedlów utraciła swoje prawa do przedsiębiorstwa, zwanego odtąd ZPC „22 lipca d.(awny) E. Wedel". Zgodnie z krążącym wówczas dowcipem, gdy upadł w Polsce komunizm, powrócono do dawnej nazwy. Dziś koncern związany jest z azjatycką firmą, która jednak w pewnym stopniu szanuje tradycję przejętej instytucji.

Powszechny dostęp do czekolady to dopiero niedawne czasy. Wcześniej ludzie nie mieli tej przyjemności. Dzięki temu naszym przodkom na pewno łatwiej było dbać o linię. Nie musieli również tak koncentrować się na postanowieniach wielkopostnych w celu ograniczenia spożycia słodyczy. Dziś jesteśmy niestety dużo bardziej narażeni na pokusy, ale życie bez czekoladowych przysmaków musiało być ponure.

FOT. SHUTTERSTOCK, BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl df7f188d7b

WYZWOLENIE OBERLANGEN

Stalag VI C Oberlangen

„MELDUJĘ POSŁUSZNIE BATALION KOBIET Z OBRONY WARSZAWY. STAN 1716 ŻOŁNIERZY NA PLACU, 20 W IZBIE CHORYCH I 7 NIEMOWLĄT" – TAK BRZMIAŁ PIERWSZY POLSKI RAPORT W STALAGU VI C. MELDUNEK ODEBRAŁ PŁK STANISŁAW KOSZUTSKI, DOWÓDCA 2. PUŁKU PANCERNEGO 1. DYWIZJI PANCERNEJ GEN. STANISŁAWA MACZKA

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

12 kwietnia 1945 r. ok. godz. 18.00 obóz został zdobyty przez Polaków. Jedna z osadzonych tam kobiet tak wspomina ten moment: „W otwartą bramę obozu wjechał pierwszy żołnierz na motocyklu. Był szary od kurzu i czerwony z wysiłku. Kiedy przestał strzelać z karabinu, zszedł z motocykla i mruknął: „Psia krew... tyle tu bab". Z czołgu, który wjechał zaraz po nim, wybiegł kolejny żołnierz. Porwał w ramiona napotkaną dziewczynę i zaczął siarczyście całować". Wielu „pancerniaków" odnalazło- wśród przebywających tam kobiet swoje żony, matki, córki, siostry czy narzeczone.

W najśmielszych marzeniach nie oczekiwały one Polaków, lecz Anglików czy Amerykanów. Na wysokim maszcie zawieszono biało-czerwoną flagę i orła zrobionego z puszek po konserwach, a następnego dnia do obozu przybył gen. Stanisław Maczek. Kobiety musiały pozostać jeszcze przez kilka tygodni w Oberlangen, potem przeniesiono je do obozu w Niederlangen, skąd we wrześniu 1945 r. rozjechały się po świecie: do Anglii, Belgii, Italii. Część kobiet znalazła się również w miasteczku Haren w Dolnej Saksonii, zwanym „Maczkowem" – enklawie dla Polaków, których uwolniono z obozów jenieckich, z gospodarstw, gdzie pracowali jako przymusowi robotnicy.

Pierwsze transporty Polek, podoficerów i szeregowych, przybyły do obozu w listopadzie 1944 r., miesiąc po kapitulacji powstania warszawskiego. Oberlangen nad rzeką Ems, oficjalnie zlikwidowany przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż z powodu fatalnych warunków, był pomyślany jako obóz karny dla kobiet, które nie chciały pracować. „Obóz był olbrzymi – poszczególne sektory: administracyjny, szpitalny, gospodarczy oddzielone bramami i drutem. Dookoła bezludne moczary i torfowiska, wilgoć i mgła" – tak wspominają stalag osadzone kobiety. Warunki tam panujące były fatalne: w barakach na trzypiętrowych pryczach spało po 200 osób. Pomieszczenia były praktycznie nieogrzewane, z prymitywnym sanitariatem. Racje żywnościowe były bardzo ubogie, nie można było liczyć na paczki z MCK, gdyż nie wiedział on, że w obozie przebywają kobiety. Mimo tych podłych warunków uwięzione były pełne nadziei i starały się urozmaicać sobie ponurą codzienność, organizując kursy, szkolenia i różnego rodzaju wydarzenia kulturalne oraz uroczystości religijne. Cel był jeden: przeżyć i nie dać się złamać!

Komendantką stalagu kobiecego była Maria Irena Mileska, która zainicjowała również dokumentowanie obecności kobiet w obozach jenieckich; po wojnie kobiety wyzwolone z Oberlangen zajęły się gromadzeniem relacji, fotografii i pamiątek. Całość tego niezwykle cennego archiwum została przekazana w 2009 r. do zasobu AAN.

Gen. Stanisław Maczek rozmawia z kobietami żołnierzami, uczestniczkami powstania warszawskiego, uwolnionymi ze Stalagu VI C Oberlangen, 1945 r.

FOT. SHUTTERSTOCK; AAN

NAC

Warszawski Muranów. Obecność schronu zdradza „grzybek" przed blokiem z prawej strony (ul. Dzielna 4), 1963 r.

FOT. NAC/GRAŻYNA RUTOWSKA

SCHRONY – ZIMNOWOJENNY SPADEK

Jednym z przejawów zimnowojennej psychozy w PRL była masowa budowa schronów przeciwlotniczych. Przygotowywano się zarówno na wyprzedzający atak państw NATO, jak i na odwetowe uderzenie po rozpoczęciu działań przez kraje Układu Warszawskiego. Oprócz przygotowań militarnych dążono do zabezpieczenia ludności cywilnej, tworząc najpierw Terenową Obronę Przeciwlotniczą (1950–1966), a później Powszechną Samoobronę (1966–1973), przekształconą następnie w Obronę Cywilną (1973–2008). Uchwałą Rady Ministrów nr 858 z 10 października 1952 r. wytypowano 72 miasta najbardziej narażone na bombardowania, w których należało wybudować schrony. W 1958 r. liczbę tę zmniejszono do 42, a niedługo potem w ogóle zrezygnowano z budowy schronów dla ludności cywilnej. Ostatecznie w 1966 r. zdecydowano o budowie ukryć jedynie dla załóg wybranych zakładów pracy. Budowle ochronne były lokowane pod powstającymi blokami mieszkalnymi, budynkami użyteczności publicznej i zakładami pracy, czasem też budowano osobne obiekty: zagłębione w gruncie schrony i szczeliny przeciwlotnicze. W przypadku istniejących budynków na schrony adaptowano piwnice, wzmacniając ściany i stropy oraz montując odpowiednie wyposażenie.

Schrony miały chronić zarówno przed konwencjonalnymi bombardowaniami, jak i przed bronią masowego rażenia – nuklearną, biologiczną i chemiczną, której coraz potężniejsze arsenały były w posiadaniu obu stron zimnej wojny. Ochrona przed skażeniami wymagała zapewnienia szczelności z utrzymywaniem nadciśnienia powietrza wewnątrz schronu, co utrudniałoby przedostawanie się czynników rażących do środka. Powietrze doprowadzały do wnętrza urządzenia filtrowentylacyjne z napędem elektrycznym oraz awaryjnym na korby lub pedały. System umożliwiał też całkowite odizolowanie wnętrza schronu od środowiska zewnętrznego w razie rozległych pożarów pochłaniających tlen, silnego zapylenia czy znacznych skażeń na powierzchni.

Wejście do schronu odbywało się przez śluzę w postaci przedsionka z dwiema parami gazoszczelnych drzwi. Specjalne zawory przeciwwybuchowe chroniły przed gwałtownym wzrostem ciśnienia powietrza, wywołanym falą uderzeniową. Na wypadek zawalenia się budynku, pod którym znajdował się schron, przewidziano wyjście awaryjne w odległości równej połowie wysokości obiektu plus 1,5–3 m. Wielkość tę przyjęto na podstawie obserwacji zasięgu zagruzowania budynków zawalonych w czasie działań wojennych. Do dziś na wielu osiedlach z lat 50. i 60. widać charakterystyczne betonowe „grzybki" wyjść awaryjnych. Obecność schronu zdradzają też osłony wlotów powietrza w postaci prostokątów z grubej blachy, nieznacznie odstających od muru, zwykle między parterem a pierwszym piętrem. Budowano również czerpnie wolnostojące albo wspólne z wyjściem awaryjnym.

Uzupełnieniem systemu schronów były wieżowe punkty obserwacyjne (WPO), stawiane zwykle na najwyższym budynku danego osiedla. Nadbudówki te, na planie kwadratu lub koła, mieściły dwóch obserwatorów, którzy dysponowali łącznością telefoniczną z placówką TOPL w schronie pod danym budynkiem. Punkty te budowano zarówno na nowo powstających obiektach, jak i na przedwojennych, czego przykładem może być kamienica Jana Łaskiego przy pl. Unii Lubelskiej w Warszawie. Na dachach instalowano także syreny alarmowe umożliwiające szybkie ostrzeganie ludności przed spodziewanym atakiem powietrznym lub skażeniami.

W razie alarmu schron powinien był zostać zajęty w ciągu kilku minut. Osoby przychodzące po zamknięciu wejścia do schronu musiały przechodzić przez śluzę, po odpowiednim odkażeniu. Ruchem ludności w schronach zarządzała służba schronowa. Komory schronowe zapewniały miejsca leżące zwykle tylko dla 1/3 przebywających tam osób, pozostała część zajmowała miejsca siedzące. Wyjątek stanowiły schrony kierowania obroną cywilną danego miasta lub zakładu pracy. Istniały też schrony przewidziane na Punkty Pomocy Lekarskiej (PPL), wyposażone w salę operacyjną, izbę chorych, a nawet specjalny podjazd ułatwiający przewożenie pacjentów na noszach i łóżkach.

Po 1989 r. większość schronów była likwidowana i przerabiana na piwnice oraz pomieszczenia gospodarcze, inne ulegały zniszczeniu podczas rozbiórek budynków. Nieliczne zostały wyremontowane przez hobbystów i pełnią funkcje muzealne. ■

ŁUKASZ KAROLEWSKI

eprasa.pl df7f188d7b

CZEKOLADA NA PRZETRWANIE

W MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJE SIĘ TEKTUROWE PUDEŁKO Z NIGDY NIESKONSUMOWANĄ AMERYKAŃSKĄ CZEKOLADĄ WOJSKOWĄ ZE ZRZUTU

PAWEŁ BRUDEK

To dar pana Wojciecha Chmiela, którego rodzice wzięli udział w powstaniu: Halina Chmiel była sanitariuszką, podchorąży Julian Chmiel „Pająk" służył zaś w Oddziale II Informacyjno-Wywiadowczym Komendy Głównej AK. Na pudełku jest napis: „U. S. Army Field Ration D" (Racja polowa D armii amerykańskiej) oraz krótka notka: „Jeść powoli (w ciągu około pół godziny). Może być rozpuszczona przez kruszenie w filiżance wrzącej wody. W razie potrzeby jako napój. Składniki: czekolada, cukier, odtłuszczone mleko w proszku, tłuszcz kakaowy, mąka owsiana, wanilina (sztuczna), B2 (chlorowodorek tioaniny), 150 l. U., 4 uncje netto (ok. 113 g), 600 kalorii". Jest też nazwa producenta: Hershey Chocolate Corporation.

W 1937 r. armia amerykańska zwróciła się do Korporacji Hersheya ze zleceniem na opracowanie dla niej specjalnej racji żywnościowej D, podtrzymującej życie w sytuacji krytycznej, w odróżnieniu od „normalnych" racji żywnościowych A, B i C. Kpt. Paul Logan chciał uzyskać rację o wysokiej wartości energetycznej; by nie została przedwcześnie spałaszowana przez szeregowców, musiała odznaczać się smakiem budzącym respekt, „nieco tylko lepszym od gotowanych ziemniaków". Miała ważyć ok. 113 g, cechować się wysokimi wartościami odżywczymi i dużą odpornością na wysokie temperatury, by nie rozpuściła się żołnierzowi w kieszeni. Uzyskano twardą tabliczkę ciemnobrązowej czekolady, odpornej na kruszenie się, odpornej na ciepło do 49°C. Trzy batony dostarczały minimalnej dziennej wartości odżywczej, czyli 1800 kalorii. Skomplikowany okazał się proces produkcji. Dotąd po prostu wlewano do form ciepłą czekoladę; tymczasem tę nietopliwą masę trzeba było ręcznie ugniatać, ważyć i wtłaczać do foremek. Już po trzech tygodniach powstało 90 tys. batonów. Wkrótce garnizony amerykańskie w Panamie, na Filipinach i w Teksasie otrzymały pierwsze batoniki Logana. W 1939 r. produkowano ich już 100 tys. szt. dziennie, a do końca 1945 r. ok. 24 mln sztuk. Opakowanie czekolady miało być odporne na działanie gazów bojowych, więc pokryto pudełka przeciwgazową powłoką.

Żołnierze z jednostek frontowych niechętnie przyjęli nowy produkt Kwatermistrzowskiego Instytutu Pakowanej Żywności Sił Zbrojnych. Racja D wkrótce zasłynęła jako „tajna broń Hitlera", tak gorzka, że wyrzucano ją zaraz po otrzymaniu; miała powodować problemy żołądkowe i stomatologiczne, niekiedy skrobano ją nożem, by móc chociaż żuć jej płatki. Podczas walk na Pacyfiku racja D otrzymała swoją tropikalną wersję, znaną jako „czekolada na dyzenterię". Wkrótce pojawiły się kolejne jej wersje: dla żołnierzy piechoty morskiej, dla walczących w górach, dla rozbitków na morzu. Korporacja Hersheya przekroczyła wszelkie normy w produkcji racji D, za co w 1945 r. nagrodzono ją uroczyście specjalnymi nagrodami wojska i marynarki.

W chwili zakończenia wojny armia pozostała z masą niespożytej racji D – próbowano więc odsprzedać je producentom słodyczy. Ci jednak nie kwapili się do kupna czekolady wymieszanej z mąką owsianą oraz do każdorazowego zdejmowania z batonów powłok przeciwchemicznych. Sugerowano, by nadwyżki były rozpakowywane przez jeńców wojennych oraz by odsyłać je do fabryk, celem ponownego przetworzenia na słodycze mogące wykarmić cywilów na terenach dotkniętych przez wojnę. W ten sposób racja D trafiała do Polski nie tylko podczas powstania w postaci alianckich zrzutów, ale także w latach 1945–1947 w paczkach żywnościowych UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy). Polskie relacje rzadko zawierają informacje o smaku tej czekolady, za to mówią, że niekiedy trzeba było ją „dziabać tasakiem".

Tzw. batonik Logana z amerykańskiego zrzutu: tabliczka ciemnobrązowej czekolady, odpornej na kruszenie się

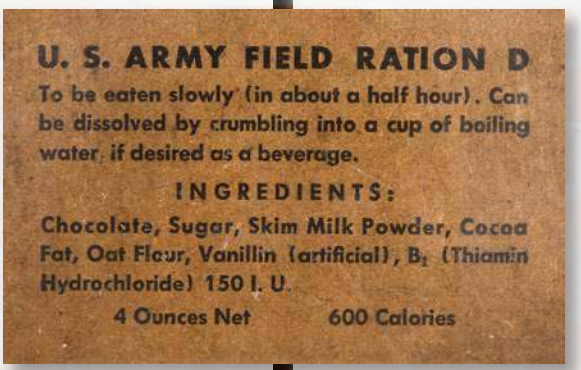

Napis na pudełku „Racja polowa D armii amerykańskiej" oraz krótka notka, jak ją spożywać

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

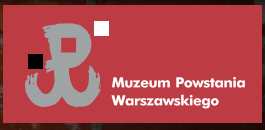

GÓRNA PÓŁKA

Reagan

ANTONI DUDEK

„Od 1970 r. Związek Sowiecki zainwestował w swoje siły zbrojne 300 mld dolarów więcej niż my" – oświadczył w lutym 1981 r. Ronald Reagan, przedstawiając swój pierwszy projekt budżetu USA. O dokładności tego szacunku można byłoby długo dyskutować, ale zrobił on na członkach Kongresu takie wrażenie, że zaakceptowali propozycję prezydenta zakładającą radykalne zwiększenie amerykańskich wydatków na obronę.

Pięcioletni budżet przygotowany w Pentagonie przez sekretarza obrony Caspara Weinbergera zakładał wydanie na wojsko astronomicznej kwoty 1,5 bln dol. Po dekadzie okazało się, że było to równoznaczne z wydaniem wyroku śmierci na pogrążający się w kryzysie społeczno-ekonomicznym Związek Sowiecki.

Amerykański historyk Henry W. Brands, przypominając te wydarzenia, kreśli sylwetkę 40. prezydenta USA z sympatią, ale bez skłonności do hagiografii. Widać to we fragmencie, w którym opisuje słabość Reagana do konferencji prasowych: „Lubił mierzyć się z dziennikarzami, których nazwiska starał się zapamiętywać, i lubił udowadniać, że aktor nie musi być głupkiem. Jeśli nawet jego znajomość detali polityki była mniejsza niż wiedza Jimmy'ego Cartera, to przed kamerą prezentował się o wiele lepiej. I wiedział, że dla telewidzów, widowni, która go obchodziła, prezencja liczyła się bardziej niż detale jego odpowiedzi".

Dokładnie tak samo jest z książką Brandsa. Czytelnik może się zgubić w obszernym kalejdoskopie aż 114 krótkich i pozbawionych tytułów rozdziałów, na jakie podzielił swą obszerną, dwutomową książkę. Gdy jednak uda mu się wznieść ponad morze szczegółowych informacji, anegdot i cytatów, którymi naszpikował swoją pracę historyk z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin, wówczas dostrzeże realny powód, dla którego 15 lat po swej śmierci Reagan jest uznawany za jednego z najwybitniejszych amerykańskich prezydentów. Sprowadza się on do umiejętności dostrzeżenia dwóch, związanych ze sobą przyczyn kryzysu Ameryki w dekadzie lat 70. XX w. Pierwszą było nadmierne obciążenie gospodarki podatkami, drugą zaś zbyt daleko posunięta ustępliwość wobec Kremla, która doprowadziła do jego ekspansji w Azji i Afryce. Terapia zastosowana przez Reagana, polegająca na wykorzystaniu owoców ożywienia gospodarczego (wywołanego redukcją podatków) do przeprowadzenia forsownego programu zbrojeń, uczyniła z USA po dekadzie zwycięzcę zimnej wojny, dając – jako efekt uboczny – wolność Polakom i innym narodom Europy Środkowej. ■

H.W. Brands, „Reagan. Życie", t. I–II, wyd. GAB-OSS, Warszawa 2019

JASNA SCENA

Spójrz w lustro

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

W znakomitej „Śmierci komiwojażera" w Teatrze Wybrzeże Willy Loman jest bardziej ofiarą samego siebie niż bezdusznego kapitalizmu.

Spektakl Radosława Stępnia to trochę paradoks, w pewnym sensie być może również dla samego reżysera. Z jego przedpremierowych wypowiedzi wynika, że zależało mu, aby „Śmierć komiwojażera" Arthura Millera po raz kolejny zadziałała na scenie przede wszystkim jako dramat antykapitalistyczny, demaskujący polski mit sukcesu, tak jak kiedyś demaskowała ten mit w Ameryce (od czasu prapremiery na Broadwayu w 1949 r.).

Stało się nie tyle zupełnie inaczej, ile bardziej wieloznacznie. W gdańskim przedstawieniu ten społeczny kontekst zostaje zachowany, ale ostatecznie chyba bardziej liczy się to, co u Millera warto czytać między wierszami. „Śmierć komiwojażera" dotyczy też rodziny, tego, co przez lata się z nią dzieje, i tego, że to ona pozostaje często najcięższym wyrzutem sumienia, z którego w pewnym momencie trzeba się rozliczyć. Mirosław Baka gra Willy'ego Lomana, który powinien spojrzeć w lustro. Bo z pewnością nie jest tylko starcem udręczonym rzeczywistością, której zawsze musiał stawiać czoła. To człowiek, który chętnie szukałby winy na zewnątrz, a ona jednak jakoś dziwnie przyczepiła się do niego. Mirosław Baka prowadzi rolę konsekwentnie, stając się niewolnikiem własnej pamięci. Rodzinne chwile, relacje z synami, wspomnienia z młodości – powracają z podpowiedzią, jak wiele się nie udało. Być może w ogóle największą tajemnicą Lomana jest jego własna słabość, której świadkami muszą być synowie i żona: świetni Piotr Biedroń i Piotr Chys; choć odnoszę wrażenie, że reżyser za mało uwagi poświęcił Annie Kociarz. Za to Loman Baki – przypomnijmy, że w ostatnich dekadach tę rolę grali Jerzy Kamas, Janusz Gajos i Bronisław Wrocławski – jest kolejnym w sztafecie mistrzów.

Perspektywa „Śmierci komiwojażera" każe czytać ten wybitny dramat jako raport z upadku współczesnej rodziny. Tej naszej, w której dialog zaczyna się, kiedy jest już za późno. Zostawmy ekonomię, rozmowy o niespłaconych kredytach i rachunkach za prąd. To w dalszej kolejności. Żeby stworzyć nasz pejzaż codzienny, wystarczy przejrzeć rachunki, które sami sobie wystawiliśmy. ■

Arthur Miller, „Śmierć komiwojażera", reż. Radosław Stępień Teatr Wybrzeże (scena Stara Apteka) premiera: 2 marca 2019 r.

eprasa.pl df7f188d7b

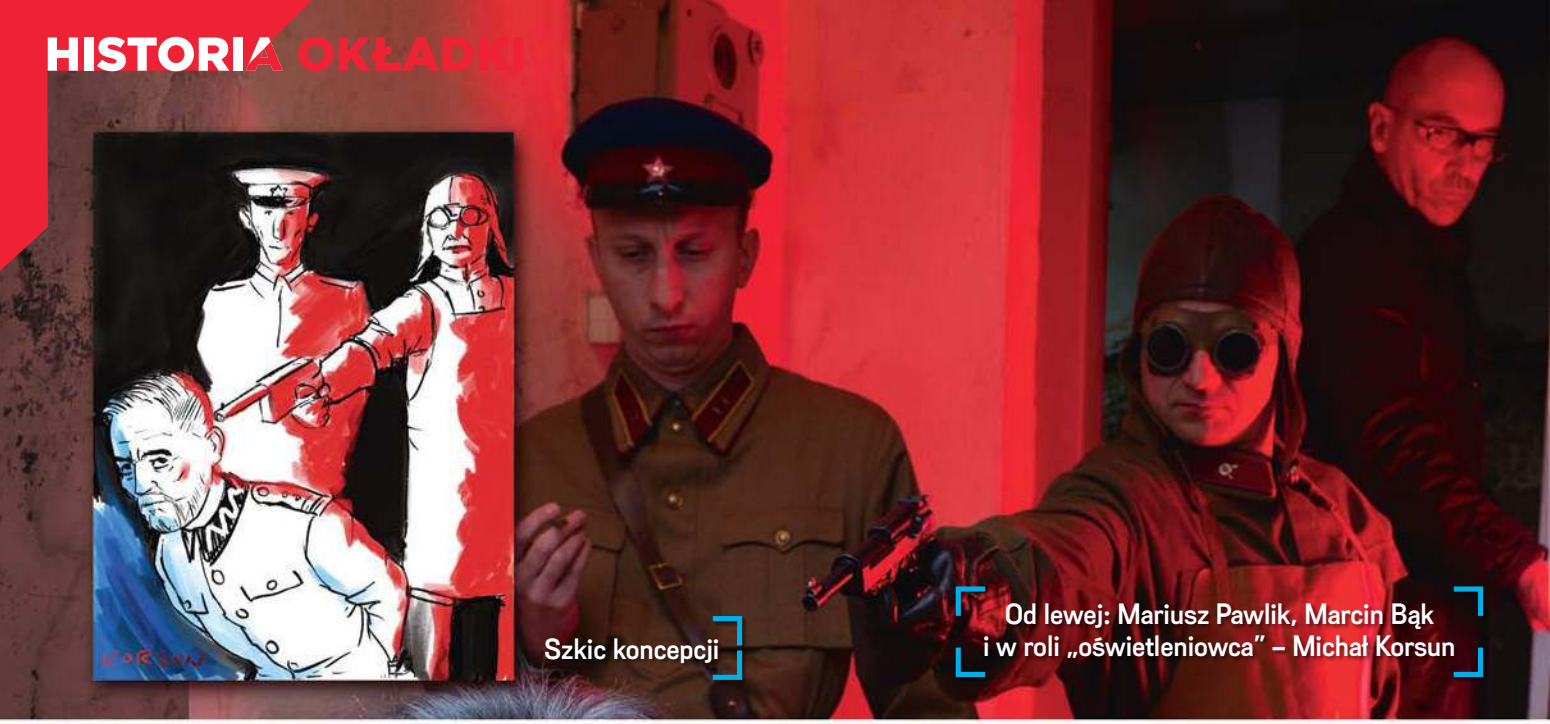

Szkic koncepcji

Od lewej: Mariusz Pawlik, Marcin Bąk i w roli „oświetleniowca" – Michał Korsun

Zło" ma nieograniczoną kreatywność, o czym można się przekonać z okładkowego tekstu Krzysztofa Jasiewicza „U drzwi Twoich stoję, Panie". Autor przedstawia w nim drastyczne metody rosyjskich oprawców mordujących polskich oficerów w 1940 r.

Powagę i rangę okładkowego zdjęcia podkreśla miejsce sesji. Jest to piwniczny korytarz aresztu śledczego byłego więzienia (a obecnie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL) przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie w czasach stalinowskich wykonywano egzekucje na polskich patriotach tzw. metodą katyńską. Miejsce szczególne, smutne, zmuszające do zadumy, jak zresztą cała wystawa „Dowody zbrodni", którą gorąco polecam w imieniu swoim i dyrektora muzeum Jacka Pawłowicza.

Kilka dni wcześniej na terenie muzeum miała miejsce edukacyjna gra miejska „Tajemnice Rakowieckiej", zorganizowana przy wsparciu Instytutu Pamięci Narodowej. Jej głównymi wykonawcami były Stowarzyszenie Grupy Historycznej „Zgrupowanie Radosław" oraz Stowarzyszenie Historyczne im. 11 Grupy Operacyjnej Narodowych Sił Zbrojnych. W grze wzięło udział również kilka innych grup rekonstrukcyjnych, m.in. koledzy z GH „Patriotyczny Głogów". Tak duże zainteresowanie grą oraz pozytywne reakcje uczestników były jednak możliwe tylko dzięki nieprzeciętnemu zaangażowaniu wszystkich osób biorących w niej udział. Projekt składał się z kilku punktów odpowiadających różnym okresom historycznym, począwszy od okupowanej przez Niemców Warszawy, przez powstanie warszawskie, „drugą" konspirację, aż do tzw. amnestii i procesu sądowego, w którym „skazywano" uczestników gry na karę więzienia pomimo zapowiadanej amnestii. W trakcie całego przejścia uczestnicy mogli odwiedzić nieudostępniane wcześniej budynki byłego więzienia, realizować różne zadania, takie jak śpiewanie „zakazanych piosenek", malowanie konspiracyjnych znaków, rozszyfrowanie wiadomości, pomoc w szpitalu powstańczym i wiele innych. Za przebieg gry oraz jej scenariusz odpowiadali członkowie SGH „Zgrupowanie Radosław", w tym Tomasz Karasiński i Grzegorz Krynicki.

MICHAŁ KORSUN

Klaudyna Pabudzińska-Kossek postarza Tomka Prusa. W tle Marcin Bąk

Piwnica aresztu śledczego przy Rakowieckiej w obiektywie Andrzeja Wiktora

eprasa.pl d7188d7b

Groźny Damian Parzelski i Piotr Owczarek (GRF Bemowo) oraz Igor Wolański (Heer 39-45)

Od lewej: Tomasz Karasiński (SGH „Zgr Radosław") i Robert Angowski (Krakowska Filmowa Grupa Rekonstrukcyjna)

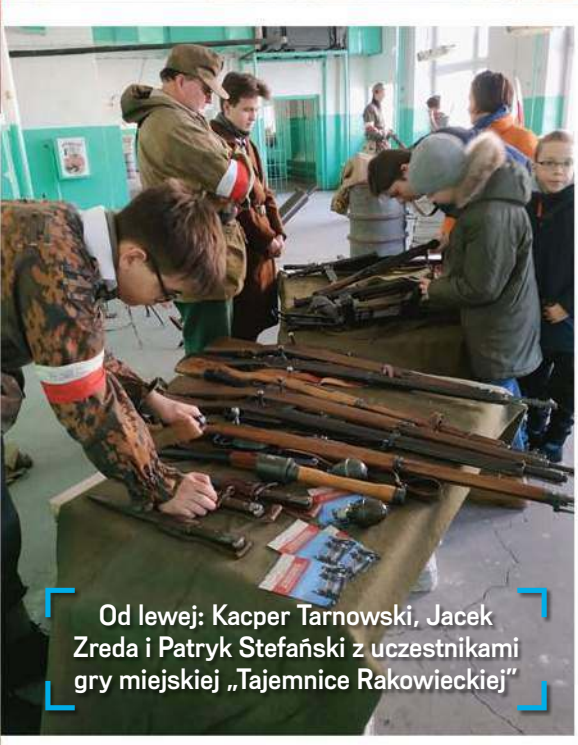

Od lewej: Kacper Tarnowski, Jacek Zreda i Patryk Stefański z uczestnikami gry miejskiej „Tajemnice Rakowieckiej"

Katarzyna Piwowarska prezentuje powstańcze kulinaria

Z kolei Jarosław Wróblewski zaprasza na wojskową grochówkę

Piękne sanitariuszki z SGH „Zgr. Radosław" – Marta Choromońska i Agata Skrzat-Klapaczyńska

Reporterka Polsat News i dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych – Jacek Pawłowicz

TYLKO GUZIKI NIEUGIĘTE

Urodę tego sosnowego lasu trudno oddać jakimikolwiek słowami. Piękne są w nim strzeliste drzewa, piękne są trawy i mchy w nim rosnące. Pięknie wiją się w nim ścieżki, nad którymi unosi się dostojna cisza, przerywana jedynie przez piękny śpiew ptaków. Najpiękniejszy jest w nim jednak usytuowany tam cmentarz wojenny.

Wejścia strzegą, umieszczone na metalowych kolumnach, polskie orzełki wojskowe, a dalej po obu stronach wykładanej betonowymi płytami dróżki, na murowanych podstawach osadzone są powiększone odznaczenia: Krzyż Virtuti Militari i Krzyż Kampanii Wrześniowej. Za nimi rozpościera się widok na polanę, na której dominują rdzawe, metalowe krzyże – sześć ułożonych płasko na ściółce i jeden pionowy, ustawiony za brązowo-brunatną, pokrytą korozją i zaciekami ścianą. Z bliska widać jednak, że przed samym murem stoi jeszcze ołtarz, wykonany z tego samego materiału, a powierzchnia ściany jest pokryta nie złuszczającymi się płatkami rdzy, lecz polskimi imionami i nazwiskami. Są ich setki, tysiące. Nieokreślona liczba mężczyzn i jedna, jedyna kobieta – Janina Antonina Lewandowska. Właściwie podporucznik pilot Janina Antonina Lewandowska, córka generała broni Wojska Polskiego, dowódcy powstania wielkopolskiego i Sił Zbrojnych Polskich w byłym zaborze pruskim.

Ona jako jedyna przedstawicielka swojej płci podzieliła los polskich oficerów – jeńców wojennych z obozu w Kozielsku – zamordowanych przez NKWD w Katyniu wiosną 1940 r. Od strzału w tył głowy zginęło w tym lesie ok. 4,4 tys. naszych rodaków. Na miejsce kaźni transportowano ich najpierw pociągami przez Smoleńsk do pobliskiego Gniezdowa, skąd czarnymi autobusami więziennymi wieziono ich na uroczysko Kozie Góry. Operacja zgładzenia takiej liczby ludzi, przewożonych w grupach liczących od kilkudziesięciu do kilkuset osób, trwała od 3 kwietnia do 12 maja. Zamordowani zostali potajemnie pochowani w masowych grobach.

Plan sowieckich oprawców się nie powiódł. W lutym 1943 r. miejscowi wskazali Niemcom dokładne miejsce pochówku polskich oficerów. Podczas ekshumacji ujawniono, że mieli oni ręce krępowane sznurkiem sowieckiej produkcji, część z nich została przebita czworokątnymi bagnetami używanymi przez Armię Czerwoną. Większość znalezionych łusek pasowała do niemieckiego pistoletu Walther, co – jak się okazało – miało skierować podejrzenia o popełnienie tej zbrodni na Niemców. Dopiero 13 kwietnia 1990 r. władze ZSRS przyznały, że mord na bezbronnych polskich oficerach w Katyniu i gdzie indziej był „jedną z ciężkich zbrodni stalinizmu".

Obecnie miejsca, w których znajdowały się doły śmierci, są oznaczone metalowymi płytami układającymi się w ich nieregularny kształt. Ekshumowane ciała zostały ponownie przywrócone ziemi – tym razem z szacunkiem godnym misterium śmierci, a miejsca ich spoczynku znaczy sześć ułożonych na ściółce metalowych krzyży. W dwóch oddzielnych grobach pochowano ciała odnalezionych w Katyniu generałów – Mieczysława Smorawińskiego i Bronisława Bohaterewicza.

Poniżej poziomu cmentarza, na okalającym teren murze, umieszczono tysiące tabliczek z imionami, nazwiskami, stopniami i funkcjami wojskowymi, datami urodzin i zawodami zamordowanych tu Polaków. Do niektórych przymocowane są zdjęcia i biało-czerwone chorągiewki. W ostatniej linijce każdego napisu widnieje tylko rok – 1940.

Cóż z tego, że katyński cmentarz jest naprawdę piękny, skoro pogrzebano na nim ludzi, którzy mogli zapewnić Polsce piękną przyszłość? Gdyby nie ta zbrodnia, nasz kraj dzięki spoczywającej tu elicie mógłby być zupełnie w innym miejscu.

Smoleńska ziemia dwa razy zaciążyła na naszej historii, dwa razy Katyń odcisnął na niej swoje piętno. W kwietniu 2010 r. polska delegacja z prezydentem RP Lechem Kaczyńskim i jego małżonką na czele udawała się właśnie na ten cmentarz, by oddać hołd poległym...

Zbigniew Herbert wiersz „Guziki", poświęcony pamięci zamordowanego w Katyniu kpt. Edwarda Herberta, zaczął od słów:

„Tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyny pomnik na ich grobie"

Wytrwałe guziki stojące na straży pamięci o rozstrzelanych zastąpił piękny i zarazem straszny cmentarz. Piękny, bo w żaden sposób nie można mu odmówić, że taki właśnie jest. Straszny, bo katyński las, symbolizujący wszystkie miejsca kaźni polskich oficerów na rosyjskiej ziemi, napełnia serca trwogą. Cóż nam po nawet najwspanialszych panteonach, gdy nie jesteśmy w stanie wypełnić wyrwy, która powstała po stracie tak wielu przedstawicieli elit. Nie jest możliwe ukojenie bólu rodzin po odebraniu im nie tylko ojców, mężów, synów, lecz także przez wiele lat pamięci i prawdy o ich losie.

Oby ten cmentarz był dla przyszłości przestrogą przed totalitaryzmami. Chwała poległym!

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

ZDJĘCIA: ARCHIUM AUTORA

GALERIA ZDJĘĆ Z KATYŃSKIEGO CMENTARZA: wPolityce.pl/m/historia/436327-katynski-cmentarz

eprasa.pl df7f188d7b

GROBY PAŃSKIE W CZASACH ZNIEWOLENIA

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

RADOSŁAW MORAWSKI

Figura zmarłego Chrystusa owinięta w całun, otoczona kwiatami i świecami, nad nią na białym słupie monstrancja z hostią na tle Orła Białego w koronie. Przed grobem wyrastające z podłogi olbrzymie ręce trzymające w dłoniach sznur zakończony pętlą zaciskającą się na wysokim krzyżu. Tak w okresie Triduum Paschalnego w 1985 r. wyglądał Grób Pański wystawiony w kościele pw. św. Anny w Warszawie.

Tradycję wystawiania Grobów Pańskich w kościołach w Polsce wprowadził w XII w. zakon bożogrobców. Początkowo nie były one dekorowane. Zwyczaj ten pojawił się dopiero w okresie kontrreformacji i baroku. W okresie zaborów w dekoracjach zaczęto umieszczać elementy patriotyczne. Również w czasie okupacji hitlerowskiej i okresie PRL, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego, dekoracje nawiązywały do sytuacji społeczno-politycznej w Polsce, wzbudzając wśród odwiedzających zadumę i refleksje nad losem ojczyzny. Pojawiające się w nich motywy nawiązujące do znaku „Solidarności" podtrzymywały nadzieję społeczeństwa.

Motywem przewodnim wielu dekoracji Grobów Pańskich w 1985 r. była śmierć ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego przez funkcjonariuszy SB niespełna pół roku przed Wielkim Piątkiem. Niektóre dekoracje były bardzo dosłowne, np. w kościele pw. św. Brygidy w Gdańsku pojawiła się figura skrępowanego księdza. W Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej na warszawskiej Starówce owinięta w całun figura Chrystusa spoczywała na pomarszczonej przezroczystej folii imitującej wodę, co było nawiązaniem do utopienia księdza w Zalewie Włocławskim. Również pętla zaciśnięta na krzyżu widoczna na opisywanym zdjęciu przywodziła skojarzenia ze sposobem skrępowania męczeńskiego kapłana, a olbrzymie ręce ukazywały moc oprawców.

Autorem scenografii do grobu w kościele św. Anny był Stanisław Miedza-Tomaszewski, znany rysownik, grafik i architekt wnętrz. Nie był to jego pierwszy projekt związany z dekoracją wielkanocną w tym kościele. Tomaszewski zasłynął już z działających na wyobraźnię widza wystrojów w latach 40., gdzie grób otoczony był przedstawieniami gruzów zniszczonej stolicy, sylwetkami żołnierzy podziemia i mogiłami ofiar egzekucji. Tradycja jego projektów została przerwana na kilkadziesiąt lat, gdy komunistycznym władzom nie spodobało się umieszczenie symboli sierpa i młota w dekoracji z 1946 r. i bezpieka nakazała demontaż instalacji. W 1980 r. z inicjatywy rektora kościoła św. Anny ks. Tadeusza Uszyńskiego Miedza-Tomaszewski powrócił do projektowania Grobów Pańskich. Po wprowadzeniu stanu wojennego w jego projektach pojawiły się m.in. zakrwawiony pieniek z wbitą siekierą i postać człowieka zakutego w dyby. Stanisław Miedza-Tomaszewski był autorem w sumie 26 Grobów Pańskich w kościele św. Anny. Ostatni zaprojektował w 1998 r. Zmarł dwa lata później.

Dekoracja Grobu Pańskiego w kościele pw. św. Anny w Warszawie, Wielkanoc 1985 r.

FOT. IPN

eprasa.pl/d7f1188d7b

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl df7f188d7b